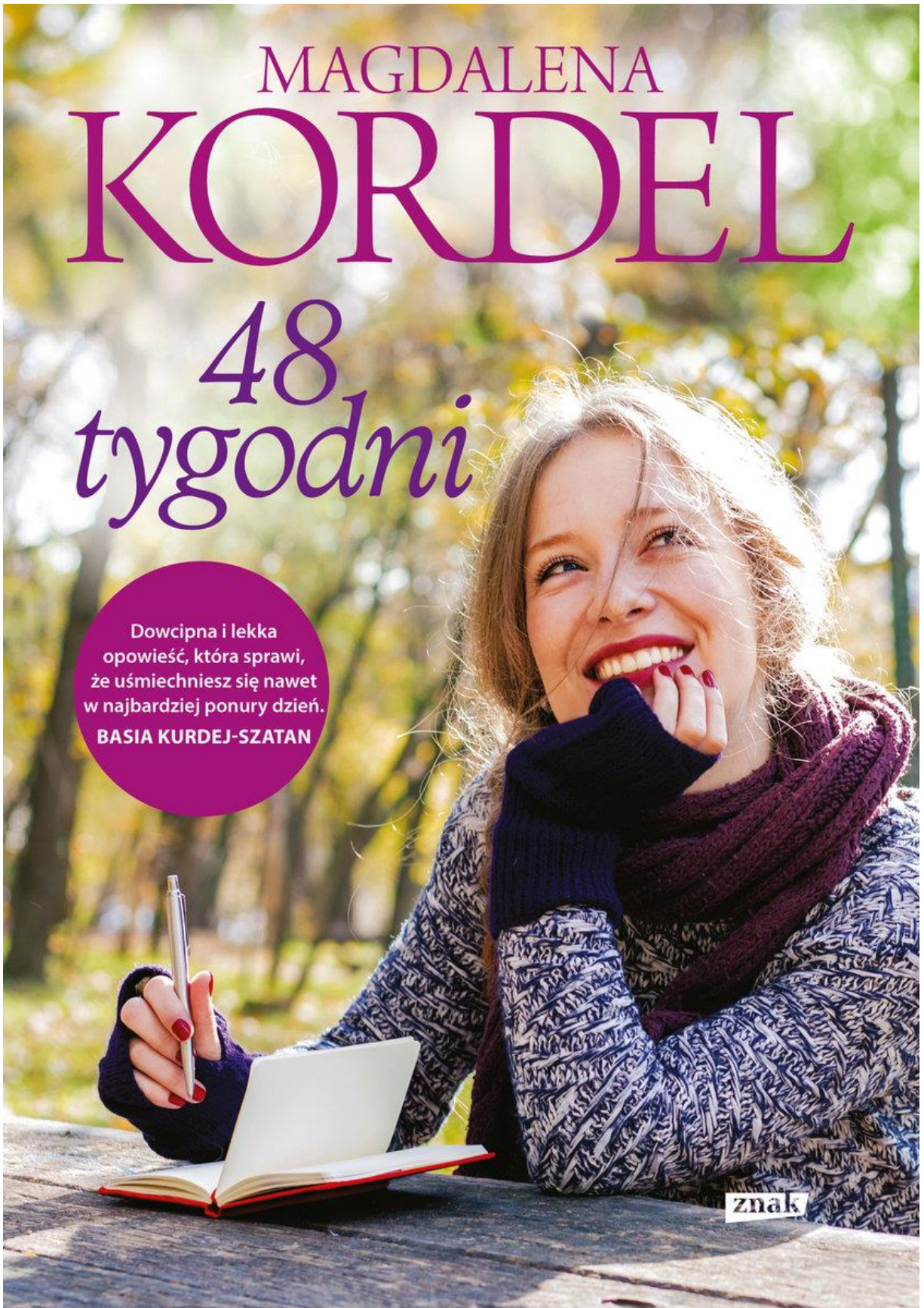


MAGDALENA
KORDEL

48
tygodni

Dowcipna i lekka
opowieść, która sprawi,
że uśmiechniesz się nawet
w najbardziej ponury dzień.

BASIA KURDEJ-SZATAN



znak

Magdalena Kordel

48 tygodni

Moim rodzicom za to, że w niczym me przypominają rodziców Nataszy.

23 sierpnia 2002

Przed chwilą odebrałam telefon od Sylwii. Ostatnio dość dużo czasu spędzam w jej towarzystwie z racji tego, że jest ona przyjaciółką Sebastiana, a jak radośnie twierdzi mój mąż, jego przyjaciele muszą być też moimi przyjaciółmi. Mam na ten temat nieco inne zdanie. Szczególnie jeżeli owi przyjaciele są byłymi sympatiami mojego męża, w których był zakochany na zabój. Sylwia należy do dziewcząt, które uważają, że są alfą i omegą (choć według mnie jest raczej małpą i amebą). Chodzi zawsze nienagannie ubrana, uśmiecha się z wyższością, a jej twarz pokrywa starannie zrobiony makijaż. Swoją drogą ciekawe, jak ona to robi, że nigdy nie zdarza jej się rozmazać ani potargać. Miłe to dziewczę, telefonując do nas i słysząc mój głos w słuchawce, mówi głośno i wyraźnie: „Cześć. Co słyszała?”. Samo to sylabizowanie wyrazów, jakbym była przygłucha i przygłupia,

do prowadzi mnie do szału. Przy tym głos ma tak miutki, jakby głaskała zarażonego parchem kota. Gdy już zada to odwieczne pytanie, z ulgą w głosie prosi, bym zawołała do telefonu Sebastiana. Widocznie w jej odczuciu spełnia naprawdę ciężki obowiązek, zniżając się do rozmowy ze mną. Ale żeby było śmieszniej, ostatnio po rozmowie z nią Sebastian przyszedł do mnie do kuchni, gdzie wyładowywałam wściekłość, szorując gary, i zapytał:

- Czy ty naprawdę nie możesz być dla niej trochę bardziej uprzejma? Sylwia skarżyła się, że wyczuwa w tobie jakąś niechęć. Przecież ona, w przeciwieństwie do ciebie, zwykle stara się być miła.

- Doprawdy? - spytałam ironicznie. - Czy dlatego traktuje mnie jak upośledzoną?

- Chyba jesteś przewrażliwiona. Ona jest po prostu kobietą interesu. Ma pewne zachowania wpojone w pracy.

- Gdyby rozmawiała ze swoimi klientami w takim tempie jak ze mną, przeprowadzenie jednej transakcji zajęłoby jej rok. Zresztą, co chcesz? Staram się być miła.

Na przykład - pomyślałam - nie pogryzłam jej, nie oblałam wrzątkiem, nie zrzuciłam z balkonu (aczkolwiek miałam niejednokrotnie okazję) i nie zostawiłam jej nigdy sam na sam z naszym dzieckiem.

Sebastian popatrzył na mnie przez chwilę zagadkowo, a potem powiedział:

- Cały twój problem polega na tym, że powinnaś coś zmienić. Wszystkie twoje dylematy wynikają z braku zajęcia.

- Czyli uważasz, że ja nic nie robię? - spytałam. - Zapewne myślisz, że po twoim wyjściu do pracy odwiedza nas dobra wróżka, bo akurat Kopciuszek dał jej wolne, i zajmuje się praniem twoich skarpetek?

- Chryste, Natasza, ty nic nie rozumiesz. Przekręcasz wszystko, co powiem.

Jesteś wiecznie podirytowana i rozdrażniona. Nic dziwnego, że nawet Sylwia zauważyła, że jesteś jakaś dziwna.

- No popatrz, popatrz, jak wy się dobrze rozumiecie - zasyczałam. - Może powinieneś się z nią ożenić, co?

- Nie będę z tobą rozmawiał w ten sposób. Później, jak ci przejdzie, porozmawiamy jak kulturalni ludzie.

I poszedł do pokoju, gdzie rozwalił się na kanapie i czule ściskając w rękę pilota, oddał się swemu ulubionemu zajęciu - oglądaniu telewizji.

Od tamtego czasu Sylwia się do nas nie odezwała. Już zaczęłam się łudzić, że ma bardzo dużo zajęć lub że wysłano ją w wielomiesięczną delegację (najlepiej za koło podbiegunowe), albo że może dostała amnezji, dopadła ją skleroza bądź w najgorszym wypadku złamała obie nogi i język, a tu masz! Dzisiaj musiała zadzwonić i rozwiązać moje słodkie złudzenia.

Rozmowę zaczęła jak zwykle i jak zwykle zapytała o Sebastiana.

- Niestety, nie ma go w domu. Jest jeszcze w pracy. Przekazać coś? - zapytałam słodko.

- E nie...

- Przepraszam, czy przypadkiem chcesz zapytać mojego męża, czy mamy wolny wieczór? - ciągnęłam dalej tonem ociekającym lukrem. Bo rzeczywiście kochana ta istota, rozmawiając ze mną (mam na myśli „co słychać”), nigdy nie zapyta, co robimy wieczorem, natomiast prosi do telefonu Sebastiana, by jemu zadać to arcytrudne pytanie.

- No tak... Ale...

- No to dawaj, nie krępuj się - zachęciłam ją. - Pytaj.

Jestem dzisiaj w szczytowej formie intelektualnej. Na pewno sobie poradzę. W słuchawce zapanowała cisza. Po długiej chwili usłyszałam chrząknięcie i trochę niepewny głos:

- Tak, no więc, czy macie przypadkiem czas dzisiaj wieczorem?

- Miło, że o to pytasz - zacząłam do słuchawki - ale obawiam się, że przypadkiem jesteście zajęci.

- Hm... To ja jeszcze zadzwonię do Sebastiana do pracy. Cześć. Usłyszałam stuk rzuconej z dużym impetem słuchawki. Przez chwilę miałam ogromną ochotę wybuchnąć serdecznym śmiechem, ale uświadomiłam sobie, że Sylwia z pewnością opowie wszystko Sebastianowi, który po przyjsciu do domu zapewne mnie zabije, a w najlepszym razie zrobi piekielną awanturę. Odkładając powoli słuchawkę, zauważyłam, że nasza córka przygląda mi się z dużym zaciekawieniem.

- Czemu tak na mnie patrzysz? - zapytałam podejrzliwie.

- Tak się tylko zastanawiam, mamusiu - odparło grzecznie moje dziecko -

dlaczego zgrzytasz zębami. Ostatnio mówiłaś, że tak zachowują się tylko dzieci, które mają robaki.

25 sierpnia 2002

Jak to możliwe, że inne kobiety, mając więcej niż jedno dziecko, pozostają w miarę zdrowe na ciele i umyśle? Może są bardziej odporne. Albo głuche. Albo mają mężów, którzy intensywnie pomagają im w wychowywaniu potomstwa?

Nie, to ostatnie można od razu odrzucić jako nierealne i zbyt fantastyczne - wszyscy mężczyźni, których znam, na widok dzieci dostają wysypki i odruchu wymiotnego. I jak te kobiety przeżywają wakacje, kiedy to przedszkola i szkoły nielitościwie zamykają swe podwoje? Po prostu nie wiem. Ja, która mam tylko jedno dziecko, lat sześć, i męża, który ma lat więcej, ale zachowuje się, jakby był w wieku naszej córki, pod koniec wakacji czuję się jak po rocznej pracy w kamieniołomach. W głowie huczy mi od nieustannie zadawanych pytań typu: Mamusiu, co motylek ma w środku? Mamusiu, czy ty mnie uwielbiasz? Mamusiu, jak dzieci wydostają się z brzuszka? Mamusiu, czy będę miała braciszka? Braciszka?! Na samą myśl dostaję gęsiej skórki i robi mi się zimno. Jedno dziecko i mąż to wystarczająco duży stres. Chociaż ostatnio Sebastian, o zgrozo, zaczął napomykać o drugim dziecku. Stało się to tego samego dnia, kiedy przeprowadziłam interesującą rozmowę z Sylwią. Sebastian przyszedł z pracy i już od progu zaczął mi robić wymówki: -Natasza, co się ostatnio z tobą dzieje? Sylwia dzwoniła i mówiła, że strasznie napadłaś na nią przez telefon.

- Coś takiego! I miałaś czas z nią rozmawiać? Ja jakoś nie mogłam ostatnio dostąpić tego zaszczytu.

- Nie zmieniaj tematu. Zrobiłaś jej dużą przykrość.

Wiesz, jak ja się czułem,

gdy musiałem się przed nią tłumaczyć?

- A czy ty wiesz, jak ja się czuję, gdy słyszę, że się przed nią tłumaczysz?

Czy wiesz, jak ja się czuję, gdy ty bierzesz stronę każdego, ale nie moją?

Wiesz?

Chrzaniony egoista.

Sebastian potarł ręką czoło.

-Tak się właśnie zastanawiałem, co zrobić, by polepszyć twoje samopoczucie.

I tak sobie pomyślałem... No wiesz... O drugim dziecku.

Popatrzyłam na niego ze zgrozą w oczach. Zwariował?

Upił się? Pomylił mnie z kimś innym?

- Czy ja wyglądam na masochistkę? - zapytałam, uśmiechając się rozkosznie.

- Posłuchaj mnie, Nataszo, czy to nie jest odpowiedni moment? Przecież i tak nie pracujesz, Gosia ma już sześć lat, a ty najwyraźniej chcesz poczuć się komuś potrzebna. Sama ostatnio mówiłaś, że chcesz zacząć się samorealizować.

- Hm... I uważasz, że szczytem moich marzeń jest ciąża, której pierwszą połowę spędzę w łazience, wymiotując do sedesu, a drugą siusiając do niego? To w twoim przekonaniu moja samorealizacja ma polegać na zmienianiu zasranych pieluszek i nieprzespanych nocach? Wiesz co, ja już to przerabiałam. Dzięki za powtórkę. Nie ze mną te numery, Brunner.

- Czyli od razu mówisz nie? Tak? A nie sądzisz, że w takich sprawach powinno liczyć się zdanie obojga partnerów?

- O tak, właśnie dajesz mi przykład. My, Sebastian, postanowiliśmy mieć dziecko.

- Jesteś okropna!

- No cóż, uczę się od najlepszych - warknęłam. - Nie ma mowy. Wybij sobie z głowy drugie dziecko. Na pewno nie teraz. Gdybym je urodziła, musiałabym je od razu zabić albo pozbyć się pierwszego.

Sebastian odwrócił się ostentacyjnie i, urażony dogłębnie, zaczął udawać zapatrzenie w okno. Tak naprawdę czekał, aż dopadną mnie wyrzuty sumienia i zacznę się do niego przymilać. Znałam na pamięć ten scenariusz i nieraz, by rozładować sytuację, udawałam, że łapię się na ten ograny chwyt. Ale dość tego. Skoro ma ochotę się boczyć, niech się boczy. Odwróciłam się i sięgnęłam po książkę.

- Czyli teraz - dobiegło mnie od strony okna - zamierzasz się do mnie nie odzywać, tak? Ja się staram, myślę, jak poprawić ci samopoczucie, a ty się obrażasz?

No nie wytrzymam - pomyślałam, starając się powstrzymać atak śmiechu.

Sebastian wyglądał jak Gosia, gdy odmawiało się jej kupienia lizaka.

- To myśl dalej - zaproponowałam. - To podobno dobry objaw, takie myślenie.

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że wyglądasz bardzo pociągająco, kiedy się gniewasz? - zaczął Sebastian, zmieniając nagle ton głosu i podchodząc bliżej.

- To ty się gniewasz - uściśliłam. - I nic z tego - uprzedziłam jego zamiary. - Gosia jest w łazience i robi pranie lalkom.

- Nasze życie seksualne jest w stanie zaniku - jęknął, robiąc nieszczęśliwą minę.

- Pomyśl, że przy drugim dziecku zanikłoby zupełnie.

- Myślisz?

- Ja to wiem. Nie pozwoliłabym ci dotknąć się nawet dwumetrowym kijem.

Ale swoją drogą, masz rację. Muszę pomyśleć trochę o sobie. Już nawet chyba wiem, co będę chciała robić w najbliższej przyszłości.

- Co? - zainteresował się natychmiast.

- No wiesz, proponuję porozmawiać o tym kiedy indziej, jak już sama będę wszystkiego pewna - mruknęłam wymijająco. Jedna różnica zdań na dzień to

stanowczo dość, jak na jedno zupełnie przeciętne małżeństwo.

7 września 2002

Dzisiaj Sebastian wrócił do domu z bardzo niewyraźną miną. Przez pierwsze pół godziny, zamiast, jak to miał w zwyczaju, wygniatać kanapę i jęklonie narzekać, że jeszcze nie ma obiadu, snuł się za mną po domu, usiłując nawiązać miłą i lekką rozmowę. Oczywiście po chwili dołączyła do niego Gosia i tak po naszym mieszkaniu poruszaliśmy się w czymś na kształt pochodu. W końcu, doprowadzona do granic wytrzymałości, odwróciłam się i zapytałam:

- No więc o co chodzi?

- Hm... Chciałem ci powiedzieć - zaczął mój mąż, ale się zająknął. - Że bardzo ładnie wyglądasz - dokończył szybko i poszedł do kuchni.

Skonsternowana zerknęłam na swój poplamiony pomidorem podkoszulek i

rozciągnięte spodnie. No cóż, o gustach podobno się nie dyskutuje. A może - pomyślałam - on chce mi dać do zrozumienia, że powinnam bardziej dbać o siebie?

Ale od kiedy to mój małżonek zrobił się taki delikatny? Nie, to nie to.

Zagadka rozwiązała się przy obiedzie. Sebastian po raz pierwszy od wielu dni nie miał apetytu. Grzebał w talerzu, popatrując na mnie. W końcu nabrał wielki haust powietrza i z determinacją powiedział:

- Muszę ci coś powiedzieć. Na pewno będziesz na mnie zła, że wcześniej nie uzgodniłem tego z tobą, ale...

- Ale - zachęciłam go, odsuwając swój talerz z zupą jak najdalej od siebie.

Chciałam uniknąć w razie czego pokusy rzucenia nim w Sebastiana.

- Zapisałem się na naukę gry w tenisa - wyrzucił w końcu z siebie. - No wiesz, sama zawsze mówiłaś, że powinienem zacząć się trochę ruszać. Tak więc zapisaliśmy się z Damianem.

- Hm... A kiedy znajdziesz na to czas? - zainteresowałam się, bo mój niezawodny instynkt mówił, że gdzieś tu jest jakiś haczyk.

Sebastian poruszył się nerwowo.

- No cóż... - Odkasznął. - Treningi są w soboty i w niedziele. Wiem, wiem, zaraz zaczniesz robić mi wymówki, że to czas, który powinienem poświęcić Gosi...

- Nie będę ci robić wymówek - przerwałam mu wspaniałomyślnie. Spojrzał na mnie niedowierzająco. - Nawet dobrze, że tak się stało, bo ja też mam ci coś do powiedzenia. Postanowiłam wrócić na studia. Sebastian przez chwilę milczał, a potem rzekł:

- Ale przecież ty nie cierpiałaś ekonomii!

- Nie będę studiowała ekonomii. Zapisałam się na filologię polską.

- Nie, no, bardzo się cieszę, ale... Ile to będzie kosztowało?

- To jedno z najtańszych studiów, semestr kosztuje tylko półtora tysiąca.
- To jednak spora suma. - Mój mąż się zasępił. - Doprawdy nie wiem, czy możemy sobie teraz na to pozwolić.

- No cóż - westchnęłam z udawanym smutkiem - w takim razie będę musiała poprosić o pożyczkę tatę.

- Nie zrobisz tego!

Nie wiedzieć czemu, Sebastian czuł przed moim ojcem ogromny respekt.

Wystarczyło, by tata na niego spojrział i ten duży mężczyzna stawał się nagle małym, potulnym chłopcem.

- Chyba nie będę miała innego wyboru - rozłożyłam ręce skoro nas nie stać.

A swoją drogą ciekawa jestem, ile kosztuje twoje nowe hobby?

- Wiesz, źle się wyraziłem. Na koncie jest jeszcze trochę pieniędzy. Nie możesz pozwolić, by twój ojciec myślał, że nie umiem zaspokoić twoich podstawowych potrzeb! - wybuchnął. - Przecież on by mnie pożarł żywcem - dokończył ponuro.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się go boisz. Wydaje mi się, że tatuś w gruncie rzeczy cię polubił.

- Aha! Ty po prostu nie widzisz, jak on na mnie patrzy.

On mi nigdy nie daruje,

że zabrałem mu jego ukochaną córeczkę. Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdyby wzrok mógł zabijać.

- Mając takie doświadczenia, ty na pewno będziesz inaczej traktował chłopców Gosi - wtrąciłam przebiegle.

- Niech się tylko taki odważy tutaj pokazać! Kości poprze-trącam, ze schodów spuszczę!

- Nie mamy schodów - zauważyłam z uśmiechem.

- Wybuduję, obok domu postawię, żeby mieć taką przyjemność!

Gosia, która do tej pory grzecznie bawiła się na dywanie, budując coś z klocków, podniosła na nas błękitne śleпка i powiedziała:

- A ja to mam już trzech kochanków.

W pokoju zapanowała pełna napięcia cisza.

- Hm... Chyba masz na myśli kolegów? - zagadnęłam delikatnie. Moje dziecko obrzuciło mnie spojrzeniem pełnym politowania.

- Mam kochanków. Bo ja ich wszystkich kocham. Jak dorosnę, to się z nimi ożenię.

- Ze wszystkimi?

- Żartujesz? - Moje dziecko pokręciło głową z wyraźną dezaprobatą. - Żeby każdy krzyczał „kiedy będzie obiad”? Ożenię się z nimi po kolei. Pani w przedszkolu powiedziała, że najlepszym sposobem na nudę są zmiany.

Sebastian usiadł w fotelu i przez dłuższą chwilę przetrawiał tę wiadomość.

Potem, nie patrząc na mnie, rzekł dramatycznym głosem; - Chyba już dziś zacznę budować te schody. Muszą być bardzo wysokie, bardzo kręte i bardzo strome...

14 września 2002

Sebastian ma rybki. Gosia oszalała, z radości rzecz jasna, mój mąż oszalał, moje koty oszalały. Dom przypomina maleńki - taki tygi - domek wariatów. Nigdy w życiu nie widziałam moich kotów tak zachwyconych. Natychmiast pokochały swojego pana. Jak mogłyby nie kochać kogoś, kto przynosi im żywy pokarm? Ryby są wszędzie. Znaczą się, mam je w każdym zakątku mojego umysłu. Śpią nawet z nami w łóżku. Oczywiście nie dosłownie, ale podejrzewam, że gdyby mogły żyć bez wody, niewątpliwie by się tam znalazły. Głównym tematem naszych rozmów są filtry, grzałki, kotniki, ogony, kształty płetw i gonopodia. To ostatnie to taka mała wypustka, która podobno jest oznaką męskości pana ryby. Zważywszy na wielkość tego narządu, wcale się nie dziwię, że wszystkie panie ryby wyglądają na sfrustrowane i niezadowolone. Pomna rad i przestróg różnych psychologów, postanowiłam dzielnie podzielać pasję mojego męża i wykazywać zainteresowanie. Posunęłam się nawet do tego, że przebrnęłam przez jakiś koszmarne artykuł o skuteczności filtrów. Tak, tak, bo oprócz akwarium i rybek w naszym domu zagościły tony gazet i książek o rybkach. Gosia podziela fascynację swojego taty. Skąd ona na litość boską wie, co trzeba zrobić, by mężczyzna czuł się dowartościowany? Przecież na pewno nie przeczytała żadnej traktującej o tym książki. Z prostej przyczyny: nie umie jeszcze czytać. Może małe dzieci mają takie wrodzone zdolności, które z czasem zanikają? Dzisiaj rano Sebastian, wychodząc do pracy, radośnie oznajmił, że gupikowa z czarnym ogonem może się okocić i żeby pilnowała. Już wcześniej zostałam poinstruowana, co należy z taką rodzącą zrobić. Należy wrzucić ją do kotnika i pozwolić spokojnie jej się tam orybić. Jak skończy, trzeba ją wyjąć. Ale skąd wiadomo, że ona zaczęła i skończyła? Cholera wie. Pół dnia spędziłam więc, skradając się dookoła akwarium, bo podobno takiej ciężarnej ryby nie można denerwować. Tuż za mną skradały się koty i nie bacząc na stan szczególny pani gupikowej, usiłowały ją zjeść. Nie wiem, jak ona, ale ja się denerwowałam. Koty też się denerwowały - z powodu niemożności zjedzenia żywego po karmu, który w ich przekonaniu był przyniesiony dla ich osobistej przyjemności. W końcu, około południa, zobaczyłam w akwarium pływającą tycią rybkę. Widziałam ją dosłownie pół sekundy, bo inna rybka też ją dostrzegła i natychmiast zjadła. Oburzona brutalnością tych kanibali, rozpoczęłam trudny i żmudny proces wylawiania gupikowej w celu umieszczenia jej w kotniku. Gdy mi się w końcu to udało, byłam wykończona nerwowo. Zostawiłam rodzącą w samotności, zamknęłam drzwi od kuchni i poszłam się położyć. Oburzone koty zostały pod zamkniętymi drzwiami. Ledwo ułożyłam się wygodnie, zadzwonił telefon.

- Słucham - powiedziałam zmęczonym głosem.

- No i jak, urodziła? - Głos Sebastiana aż wibrował z niecierpliwości.

- Właśnie zaczęła - mruknęłam. - Czemu ty się tak przejmujesz tą rybą, co?

- Bo to będzie nasz pierwszy przychówek.

- Nasz pierwszy to my już mamy. Jakbyś nie pamiętał, to ja też kiedyś urodziłam ci dziecko - zauważyłam. - Nie przypominam sobie, żebyś się tak przejmował, jak Gosia się rodziła.

- No wiesz? Jak możesz porównywać się z rybą? - usłyszałam.

No właśnie: jak mogę? - zadałam sobie pytanie.

Zupełnie bez sensu porównywać się z takim stworzeniem. Ja przynajmniej nie zjadam swoich dzieci. Aczkolwiek, jak tak się głębiej zastanowić, to może te ryby nie są takie głupie. Zjedzą i mają z głowy. Zregenerują siły po porodzie i nie muszą się martwić, co z takich rybiątek wyrosnie. A ja muszę. Gdybym się nie martwiła, byłabym postrzegana jako wyrodna matka. Dobra matka musi się martwić.

- A jak ona się czuje? - Sebastian widocznie zniecierpliwiał się przedłużającą się w słuchawce ciszą.

- A wiesz, nie mówiła mi. W ogóle jest dziś mało rozmowna. Może dać ci ją do telefonu? - zakpiłam, bo niby skąd ja mam wiedzieć, jak czuje się ryba, która moim zdaniem wygląda tak samo w każdym momencie swojego życia.

- No dobrze, dobrze, widzę, że się z tobą nie dogadam. Po prostu wrócę dzisiaj wcześniej z pracy. Trzymaj się. W słuchawce już dawno dźwięczał sygnał rozłączonej rozmowy, a ja wciąż gapiłam się na nią z otwartymi ustami. Czy ja na pewno dobrze usłyszałam? Wróci wcześniej z pracy? I to z jakiego powodu? Ze względu na rybę! Mężczyźni to jednak dziwne istoty. Ze zdziwienia wyrwało mnie uporczywe skrobanie połączone z miauczeniem. To koty dawały znak, że już dostatecznie długo czekają na zasłużony posiłek. Ze względu na rybę czy nie, efekt jest jednak pozytywny - pomyślałam. Może to akwarium to nie jest jednak taki zły pomysł?

21 września 2002

Boże, dlaczego nie wyszłam za sierotkę? Lub, ewentualnie, dlaczego nie jestem dotknięta obsesją na punkcie teściowej? Gdybym była, na pewno utrzymywałabym sterylny porządek w domu, robiła regularnie pranie oraz nie dopuściłabym do tego, by moje dziecko zamieniało nasz dom w gigantyczne wysypisko misiów z rozprutymi brzuskami, lalek Barbie nieprzystojnie pokazujących nagi biust, miliona pustych pudełeczek i innych rzeczy niezbędnych do uczynienia dzieciństwa beztróskim i szczęśliwym. Z drugiej jednak strony, gdybym obsesyjnie myślała o teściowej, niewątpliwie miałabym koszmary senne, co zapewne bardzo źle wpłynęłoby na moją psychikę. Może nawet doprowadziłoby mnie do lekkiej psychozy? W rezultacie myślę o mamie swojego męża tylko wtedy, gdy jest ona już obecna w naszym mieszkaniu. Ale specjalnie mnie to nie dziwi, przecież horror też jest ciekawy tylko w momencie oglądania i nikt o nim nie rozmyśla, gdy się skończy.

Zacznijmy od tego, że teściowa postanowiła złożyć nam niezapowiedzianą wizytę. Gdy zobaczyłam ją na progu, poczułam, że na twarz wypełza mi wyraz popłochu, który natychmiast spróbowałam zmienić w miły i zachęcający uśmiech. Tak jak przypuszczałam, rezultat był marny, bo teściowa, rzuciwszy na mnie okiem, zapytała, czy przypadkiem nie bolą mnie zęby. Przypadkiem nie bolały. A szkoda. Gdyby bolały, nie musiałabym z nikim rozmawiać. Mogłabym poprzestać na niezrozumiałych pomrukach, kryjących najcięższe przekleństwa. Tuż za mamą mojego męża dreptał teść, teatralnie wznosząc oczy do nieba i bezradnie rozkładając ręce. Dawał mi do zrozumienia, żebym się nie przejmowała i że skoro on to wszystko znosi na co dzień, to i ja wytrzymam. Teściowa tymczasem poszła do pokoju, gdzie wysoko unosząc spódnicę, usiłowała przebrnąć przez pokłady misiów i lalek do kanapy. Wzdychała przy tym wymownie i unosiła z dezaprobatą brwi. Tak zajęła się pokonywaniem tego swoistego toru przeszkód, że nie zauważyła leżącego na kanapie kota. No i oczywiście usadowiła swe potężne kształty dokładnie na nim. Już po kocie, pomyślałam w popłochu, ale w tej chwili ciało teściowej wystrzeliło w górę ze świstem, jaki wydają przekłute balony. To, co nastąpiło potem, można śmiało nazwać Sodomą i Gomorą. Teściowa wrzeszczała i zawodziła, głośno domagając się zabicia gryzącej bestii, teść bez widocznego skutku starał się ją uspokoić, kot schował się pod szafę, a moje dziecko stało wśród stosów zabawek i z zainteresowaniem przyglądało się babci. A ja czułam, że kocham swojego kota ponad życie. W końcu zrobił to, na co ja od lat miałam ochotę.

- Mamo - zaczęłam niepewnie. - Oprych na pewno nic ci nie zrobił. On się tylko bronił...

Na teściowej nie zrobiło to żadnego wrażenia - wciąż coś bełkotała pod nosem.

Teść stał z bezradnym wyrazem twarzy i rzucał mi przeproszające spojrzenia. I wtedy rozległ się spokojny i pewny głos Gosi:

- Daj jej w dupę - poradziło ze stoickim spokojem moje dziecko swojemu dziadkowi. - To najlepszy sposób na histeryczki - dodało i wróciło do zabawek. Ja oniemiałam ze zgrozy i podziwu. Skąd, u licha, moje dziecko wie, co się robi z histeryczkami? Korzyść z wystąpienia Gosi była niewątpliwie taka, że w pokoju zapanowała upragniona cisza. Wprawdzie była to cisza nabrzmiała potępieniem, ale wszystko jest lepsze od wrzasków kochanej mamusi.

- No to może napijemy się herbatki - zaproponowałam, starając się przejść do porządku nad zaistniałymi wydarzeniami.

- Tak, herbata jest dobra na wszystko - poparł mnie teść. Z ulgą udałam się do kuchni, dziękując Bogu, że Sebastian jeszcze nie wrócił z pracy. Nagle usłyszałam jakieś zduszone dźwięki. Tuż za mną stał teść i chichotał, zakrywając twarz chusteczką.

- Wiesz co - powiedział do mnie konspiracyjnym szeptem - masz wspaniałego kota, a ja mam jeszcze wspanialszą wnuczkę. Nie pamiętam, kiedy przeżyłem równie szczęśliwy dzień. Do końca życia będę pamiętał jej minę - zakończył i chichocząc jak małe dziecko, poszedł do pokoju.

Gdy weszłam z herbatą, sytuacja wydawała się opanowana. Teściowa wyraźnie

się uspokoiła, teść był w wyśmienitym humorze, a Gosia bawiła się na dywanie, wypruwając wnętrzności z kolejnego misia.

- W co się bawisz złotko? - zapytała babcia, spoglądając z dezaprobatą na wybebeszone zabawki.

- W schronisko dla maltretowanych zwierząt - odparło moje dziecko, nie odrywając się ani na moment od wyciągania waty z pluszowego pieska.

- Hm, hm... A te panie to zapewne ich opiekunki? - dopytywała się, wskazując na roznegliżowane lalki Barbie.

- A nie - odrzekła nonszalancko moja córka. - To maltretowane kobiety.

- Yyy... - wydałam z siebie zduszony okrzyk, przyrzekając sobie w duchu, że już nigdy w życiu nie włączę w domu telewizora. A jeśli już, to będę oglądała jedynie kreskówki.

- Hm... Dziwne zabawy - skomentowała teściowa, popatrując na mnie z potępieniem.

- A powiedz mi jeszcze kochanie, kto ci potem pozszywa te wszystkie zwierzątka?

- No jak to kto? Ty zawsze mówiłaś, że bardzo lubisz szyć, babciu - odpowiedziało moje dziecko, posyłając jej demoniczne spojrzenie. W tym

momencie teść szybkim krokiem udał się do łazienki, a mnie uratował dzwonek do drzwi. A tak przy okazji: czyja już mówiłam, że kocham moje dziecko nad życie?

1 października 2002

To był bardzo ciekawy weekend. Może „ciekawy” to nie jest właściwe słowo, ale w tej chwili nie mogę znaleźć lepszego. W tę sobotę zaczęły się moje zajęcia na uczelni. Z problemami, jakżeby inaczej. Gdy chciałam sprawdzić, do jakiej grupy mnie przydzielono, okazało się, że mojego nazwiska nie ma na żadnej z list. Zgrzytając zębami, udałam się na koniec kolejki, która ustawiła się do sekretariatu.

Sekretariat mieścił się na drugim piętrze, kolejka zaś kończyła się tuż przed drzwiami wejściowymi. Miałam przed sobą dwa piętra wypełnione ludźmi, więc chyba nikogo nie dziwi wściekłość, która ogarnęła mnie od stóp do głów.

Za moimi plecami kolejka sukcesywnie rosła, co stanowiło dla mnie jakieś po cieszenie (ha, nie jestem ostatnia, inni będą stać dłużej), za to podejrzenie wolno posuwała się do przodu. Gdy wreszcie dotarłam do sekretariatu i wyjaśniłam cel swego przybycia, sekretarka, patrząc na mnie smutnym i przygaszonym wzrokiem, zapytała:

- A zapłaciła pani?

- Zapłaciłam - odpowiedziałam triumfalnie.

- A kiedy? - drążyła swym monotonnym głosem.

- Dzisiaj rano - przyznałam niechętnie. Rzeczywiście, zapłaciłam prawie w ostatniej chwili, bo nagle w naszym małym stadle domowym wystąpiły nieoczekiwane komplikacje finansowe. Okazało się, że tenis nie jest tanim sposobem spędzania czasu. Ale nie czułam się w obowiązku wyjaśniać tego wszystkiego myszce siedzącej za biurkiem.

- No właśnie. - Myszka wyraźnie się ożywiła. - Płacą państwo w ostatnim momencie, a potem mają pretensje. Pieniądze nie wpłynęły, więc nie mogliśmy pani nigdzie umieścić. Ma pani przynajmniej kwitek?

- Mam - powiedziałam, wyciągając dowód wpłaty.

- Niech pani pokaże. - Myszka wyraźnie posmutniała, zawiedziona. - Tak... zapiszę panią do grupy S.

Gdy szczęśliwie przydzielona przepychałam się do drzwi wejściowych, nagle ktoś złapał mnie za ramię. Odwróciłam się, ale mój wzrok napotkał tylko koszulę w ciemnoniebieską kratę.

- Przepraszam - usłyszałam nad sobą męski głos - ekonomia?

- Nie, Natasza - odparłam niewinnie i podniosłam oczy, by ujrzeć minę swego rozmówcy. Wysoki brunet gapił się na mnie wyraźnie zdziwiony. Ale po chwili zaczął się śmiać.

- No to mam za swoje - powiedział rozbawiony. - Nareszcie ktoś utarł mi

nosa. Tak naprawdę to filologia polska, prawda?

- Skąd pan wie? - Tym razem to ja byłam zdziwiona.

- No cóż, w tym samym czasie byliśmy w sekretariacie - powiedział, niewinnie patrząc mi w oczy. - Ja też jestem w grapie S.

- To skąd ta ekonomia? - Moje zaskoczenie wzrosło.

- To było pierwsze, co mi przyszło do głowy, gdy udało mi się dopędzić cię na tych schodach. Gnałaś, jakby goniło cię stado furii. A ja pomyślałem, że różniej będzie spóźnić się razem.

To zdanie przywołało mnie do rzeczywistości. Ja tu gadu, gadu, a tam wykład się toczy. Popędziliśmy więc we dwójkę do sali.

Oczywiście nie było na czym usiąść, musieliśmy dostawić sobie krzesła do boków ławek. Jurek - tak miał na imię mój nowy znajomy - nieustannie się na mnie gapił, co, nie powiem, było nawet miłe, ale jednocześnie budziło we mnie wyrzuty sumienia i przywoływało słowa Sebastiana, którymi uraczył mnie tuż przed moim wyjściem z domu:

„Tylko bez podrywania mi tam żadnych młodych, wolnych studentów”. Gdy więc na przerwie między wykładami Jurek zaproponował mi pójście na kawę, pomachałam mu przed nosem obrączką i powiedziałam:

- Bardzo chętnie, z tym, że od razu mówię: jestem mężatką.

Na co mój nowy znajomy podetknął mi pod nos swoją rękę.

- A ja żonaty. Jak widzisz, pasujemy do siebie jak ulał.

Rzeczywiście, na jego palcu tkwiła obrączka; jak mogłam jej nie zauważyć? Zrobiło mi się niesamowicie głupio, ale z drugiej strony opuściły mnie wszystkie wątpliwości. Studentem wprawdzie był, ale nie wolnym. Już bez żadnych skrupułów pozwoliłam sobie go polubić.

Na wykładach uczyliśmy się o słownikach, hasłach, ilości tomów, stopach, wersach i innych rzeczach, które na pewno z czasem wydadzą mi się interesujące.

I na pewno z czasem zrozumieć, o czym mówią wykładowcy. To zapewne jest tak, jak z nauką nowego języka. Na początku rozumie się niewiele, a potem nagle wszystko staje się jasne. A tak naprawdę okazało się, że mam koszmarne zaległości i stopa kojarzy mi się jedynie z częścią nogi. Po powrocie do domu Sebastian, jak nigdy, zrobił mi kolację, podstawił pod nos kubek z herbatą i troskliwie zapytał, jak było.

- Koszmarne - jęknęłam. - Połowy rzeczy nie pamiętam, a profesorowie przypominają flegmatyczne mumie.

- Na pewno sobie poradzisz - powiedział z uśmiechem mój mąż, a ja poczułam, że dobrze jest się samorealizować, ale jeszcze lepiej móc wrócić do domu, gdzie wszyscy na mnie z utęsknieniem czekają.

9 października 2002

Postanowiłam znaleźć pracę. Jak się zaraz okazało, postanowienie było najłatwiejsze w całym żmudnym procesie poszukiwania przyszłego potencjalnego zajęcia. Zaczęłam od kupienia „Gazety Wyborczej” i dokładnego przewertowania rubryki „Dam pracę”. Od razu rzucało się w oczy, że bardzo wielu pracodawców swój pierwszy milion musiało ukraść. Ich żądania były niemożliwe do spełnienia i pozbawione logiki. Na przykład, cytuję:

Wysoka blondynka, do 24 lat, z wyższym wykształceniem do prowadzenia biura. Wymagania: minimum 6 lat doświadczenia, znajomość trzech języków obcych, umiejąca się dostosować do wymagań pracodawcy, wnosząca miłą i ciepłą atmosferę, z dużym biustem.

Przepraszam, ale wiele szczegółów w tym ogłoszeniu jest dla mnie niejasnych.

Dwadzieścia cztery lata i sześć lat doświadczenia?

Musiałaby być bardzo,

ale to bardzo pracowita. I nienormalna. Przejdźmy do dalszej części tego ciekawego tekstu: trzy języki. No, przyjmijmy, że to jest do zrobienia, ale jak można wnosić miłą atmosferę za pomocą dużego biustu? Chyba że pracują tam sami mężczyźni. Takie rozwiązanie tłumaczyłoby idiotyczność tego ogłoszenia. Bo jak wiadomo, mężczyźni są wzrokowcami, a od widoku takiego dużego biustu to i w oczach może pociemnieć, i w głowie zaćmieć. Tak więc przeczytałam wszystkie ogłoszenia, odrzuciłam te do niczego się nienadające i na karteczce wypisałam te, które mnie zainteresowały. Potem już tylko dzwoniłam i umawiałam się na rozmowy. Do tej chwili wszystko szło gładko. Panie - bo z reguły to kobiety odbierały moje telefony - były miłe i ujmujące. Mówiły, żeby na pewno przyjść, że z moimi kwalifikacjami mam duże szanse i tak dalej. Po przeprowadzeniu ostatniej z tych rozmów stwierdziłam nawet, że poszukiwanie pracy jest całkiem przyjemne i daje możliwość pogadania z miłymi ludźmi. W rezultacie następnego dnia byłam umówiona na dwanaście spotkań. Uważałam w duchu, że to całkiem nieźle i nawet bez zbytniego trudu udało mi się wyrzucić z myśli widmo gigantycznego rachunku telefonicznego. Przecież już niedługo zacznę zarabiać duże pieniądze i będę mogła płacić ogromne rachunki. I kupować świetne ciuchy, i zmienić wystrój w moim małym saloniku, i kupić Gosi kucyka, i przede wszystkim wynająć gosposię. Koniec sprzątaniam i szorowania garów! Przez moment pozwoliłam sobie zatonać w słodkich marzeniach. Gdy wyrwał mnie z nich dzwonek do drzwi, wyjeżdżałam właśnie na wczasy do ciepłych krajów. Na pierwsze spotkanie poszłam w wyśmienitym nastroju. Grunt to dobre nastawienie - powtarzałam sobie w duchu. Byłam jedną z wielu kandydatek, ale jakoś mnie to nie przeraziło. W końcu

weszłam do pokoju. Za biurkiem siedział siwy pan. Gdy mnie zobaczył, zsunął okulary na czubek nosa i obrzucił mnie uważnym, przeciągłym spojrzeniem spod zmarszczonych brwi. Jego wzrok wywołał we mnie absurdałne przekonanie, że mam na brodzie ogromną plamę z atramentu.

- No nie! - wykrzyknął na mój widok i, zerwawszy się z krzesła, zaczął chodzić nerwowo wokół biurka. - Mówiłem przecież, żeby kandydatki nie miały poniżej dwudziestu pięciu lat!

- Ale... - usiłowałam wtrącić, lecz starszy jegomość machnął ze zniecierpliwieniem ręką.

- Dlaczego panie nie czytają uważnie ogłoszeń - warczał, cały czas chodząc.

- Teraz tracę masę czasu.

- Mam więcej niż dwadzieścia pięć lat! - krzyknęłam, patrząc na niego z determinacją.

- Co takiego? Zupełnie pani nie wygląda. - Uspokoił się wyraźnie i wrócił na krzesło, wskazując mi drugie. Potem zaczął zadawać pytania. Mnóstwo pytań. Z większości moich odpowiedzi był chyba zadowolony.

Pod koniec rozmowy spojrział na mnie spod oka i zapytał:

- A pani stan cywilny?

- Mężatka - odpowiedziałam odruchowo, pytając w duchu, jakie to, do choroby, ma znaczenie.

- A dzieci? - ciągnął zaniepokojony.

- Jedno - powiedziałam, wzruszając ramionami.

- Duże?

- Normalne jak na swój wiek - odpowiedziałam, parząc na niego jak na wariata.

- Niezbyt wyrośnięte dodałam by go uspokoić. Z wariatami należy uważać.

- Pytam się o wiek - doprecyzował, patrząc na mnie uważnie.

- Sześć lat - odpowiedziałam, czując się coraz bardziej jak na przesłuchaniu.

- No cóż, muszę pani w takim razie podziękować. Nie zatrudniamy kobiet z dziećmi. A szkoda. Byłaby pani idealna do tej pracy.

Byłam tak zaskoczona, że wyszłam bez słowa. Gdy doszłam już do siebie, zwyczajnie się wściekłam. A co niby mam zrobić z dzieckiem i mężem?! Porzucić? Udusić we śnie? Na kolejnych spotkaniach było podobnie. Wszystko było dobrze, dopóki nie dotarliśmy do męża i dzieci. Gdy w końcu zapytałam jednego z moich ewentualnych pracodawców, co tak odrażającego jest w mężatkach z dziećmi, odpowiedział mi krótko:

- Będzie pani chodzić na zwolnienia albo zajdzie pani w ciążę. Nie opłaca mi się inwestować w takiego pracownika. Dlaczego oni wszyscy zakładają, że ja nie marzę o niczym innym, jak tylko o rodzeniu dzieci? Wszyscy mężczyźni to zbrojeńcy i zapatrzeni w siebie szowiniści. Idąc na szóste z kolei spotkanie, byłam

wykończona. Na karteczce zapisany miałam adres jakiejś redakcji. Poszukiwali kogoś do korekty. Wdrapałam się po długiach schodach, weszłam do dużego pokoju i wyjaśniłam, w jakim celu przychodzę.

- A to proszę niech pani podejdzie do redaktora naczelnego, tam siedzi - powiedziała mi młoda dziewczyna, wskazując pokój na końcu. Poszłam, ale, wchodząc do wskazanego pomieszczenia, wiedziałam, że to koniec, na żadne inne spotkanie już nie pójde. Przynajmniej dzisiaj. Stałam naprzeciwko biurka, za którym siedział mężczyzna w średnim wieku i wypaliłam:

-Dzień dobry. Przyszłam w sprawie pracy. Mam męża i dziecko. - Spojrzałam z niemym oczekiwaniem na faceta za biurkiem, który patrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Tak? - zapytał uprzejmie.

- Jestem mężatką - powtórzyłam wyraźnie. - Nie przeraża to pana?

- A powinno?

- W żadnym wypadku - powiedziałam z ulgą. - Skoro to nie dyskwalifikuje mnie w pana oczach, to możemy zacząć rozmawiać.

- Nie musimy - powiedział.

W tym momencie załamalam się zupełnie. Widocznie uznał mnie za nienormalną.

Nie chciał ze mną gadać. Powoli odwracałam się w stronę drzwi, gdy usłyszałam jego głos:

- Nie chce pani omówić warunków zatrudnienia? Chciałem j] właśnie powiedzieć, że dostała pani tę pracę.

W tym momencie omotały mnie dwa pragnienia:

miałam ochotę głośno piszczeć z radości i - jeszcze większą - by porwać na rękę tego olbrzymiego faceta, który siedział spokojnie za biurkiem i z uśmiechem mi się przyglądał, i podrzucić choć raz pod sufit. Czego oczywiście nie zrobiłam. Ani jednego, ani tym bardziej drugiego.

16 października 2002

Pracuję już od tygodnia. Musiałam wprawdzie trochę zweryfikować moje marzenia - zamiar zatrudnienia gosposi odpłynął w siną dal - ale może moja pensja pokryje rachunki. Dobrze i to.

Ostatnio w redakcji zaobserwowałam przedziwne zjawisko. Zjawisko to jest szpakowatym mężczyzną po czterdziestce, który pojawia się nagle i wszystkich hipnotyzuje swoją obecnością. Wszyscy pracownicy, jak na komendę otaczają go wianuszkami, słuchając tego, co ma do powiedzenia, jakby był wszechwiedzącym prorokiem. Przez jakiś czas przyglądałam się temu, próbując zrozumieć, o co, do choroby, w tym wszystkim chodzi, ale jakoś nie udało mi się dojść do zadowolających wniosków. W końcu wzruszyłam ramionami i przestałam interesować się tajemniczym mężczyzną, który pojawiał się nagle i nagle znikał. O jego przybyciu świadczyły chichoty dochodzące od stanowisk zajmowanych przez płęć żeńską, a o jego odejściu - nagła cisza, która zapadała w redakcji. Ja jakoś nie mogłam siebie zaliczyć do fan klubu tego jegomościa. Ale też nie miałam czasu na to, by dać się urzec jego osobowości. I aż do dzisiejszego dnia nie miałam z nim bliższych kontaktów.

Zaczęło się od tego, że przyszłam do pracy strasznie niewyspana. U mnie nierozzerwalnie wiąże się to ze złym humorem.

Półprzytomna poszłam do łazienki umyć swój kubek, całą sobą marząc o mocnej kawie. Gdy wróciłam, siwy jegomość akurat się zmaterializował i jak zwykle otaczało go grono wielbicieli (w większości wielbicielek). Pech chciał, że tym razem ustawili się wokół stoliczka socjalnego. Z tęsknotą w oczach spojrzałam w kierunku kawy, ale mowy nie było, żeby się do niej dostać w normalny sposób.

Musiałabym przepychać się przez tłum moich kolegów, a na koniec jeszcze przesunąć ich guru. Z westchnieniem poszłam więc do mojego biurka i włączyłam komputer.

Czekałam grzecznie piętnaście minut. Towarzystwo nadal stało w tym samym miejscu, uniemożliwiając dostęp do czajnika. Zgrzytnęłam zębami i poczekałam następnych piętnaście minut. Siwy jegomość nadal beztrąsko perorował.

Czułam, jak powoli ogarnia mnie wściekłość.

Spokojnie, spokojnie - powtarzałam sobie w duchu. - Tylko spokój może mnie uratować.

Udało mi się jeszcze wytrzymać dziesięć minut, po czym z uczuciem wściekłości wypisanym na twarzy wstałam i ruszyłam do boju. Bez trudu udało mi się dostać do stolika, ale kawa stała za plecami szpakowatego. W tym momencie byłam gotowa zabić każdego, kto chciałby mi przeszkodzić w dostaniu się do

upragnionego płynu.

- Przepraszam - warknęłam.

- Proszę bardzo. - Szpakowaty uśmiechnął się do mnie, nie przesuwając się nawet o centymetr. Przyrzekłam sobie w duchu, że jeżeli dostanę się do wrzątku, to natychmiast go nim obleję.

- Czy mógłby się pan przesunąć, czy może przyrósł pan do tego miejsca na stałe? - zasyczałam.

- Ależ oczywiście, że mogę - odpowiedział tonem, jakby mówił do małego dziecka, ale nie posunął się nawet o milimetr. Tego już było dla mnie za wiele.

- Mój dobry człowieku - powiedziałam słodko - czy mógłbyś przemieścić swe urocze ciało gdzieś indziej?

To w końcu podziałało i siwy mężczyzna posłusznie się przesunął, patrząc na mnie ze zdziwieniem. Gdy skończyłam robić kawę, już go nie było.

- Kto to do cholery był? - zapytałam Rafała, który też z wyrazem ulgi dopadł do puszki z kawą.

- A, ten? To przyszły prezydent naszego miasta - odpowiedział spokojnie i roześmiał mi się prosto w nos.

- Aha... - zdołałam wykrztusić i oblałam się kawą.

22 października 2002

Obudził mnie telefon. Półprzytomna zwlokłam się z łóżka i po omacku dotarłam do aparatu; po kilku próbach udało mi się nawet wymacać słuchawkę.

- Taa? - zapytałam, jednocześnie ziewając.

W słuchawce nikt się nie odezwał ludzkim głosem, tylko coś nieustannie beczało.

Ten dźwięk z czymś mi się kojarzył. Po chwili wsłuchiwania się doznałam olśnienia. Taki dźwięk wydawała z siebie koza z bajki Gosi o wilku i siedmiu koźlątkach. Ale coś tu się nie zgadzało. Żadna szanująca się koza nie ściągałaby mnie w sobotę o szóstej rano z łóżka, by pobeczeć mi do słuchawki. Ja kombinowałam, a beczące dźwięki nie cichły, z tym że teraz przeplatane były czymś mokrym. I nagle w to beczenie wdarł się głos mojej przyjaciółki Inki, która wybełkotała do słuchawki:

- Nataaasza, Wojtek się wyprowadził... Zostawił mnie... Jak on mógł? Po tym wszystkim, co... Westchnęłam. Wojtek wyprowadzał się średnio dwa razy w miesiącu, a następnie wracał z wielkim bukietem róż, padał na kolana i przeproszał Inkę, która łaskawie mu przebaczała i żyli długo i szczęśliwie aż do następnego razu. Po każdej takiej wyprowadzce Inka miała zwyczaj dzwonić do mnie i wypłakiwać się do słuchawki. Ale do tej pory Wojtek wykazywał dość zdrowego rozsądku i wrodzonej kultury, by wyprowadzać się o jakiś ludzkich godzinach. Kto to widział, porzucać kogoś o szóstej rano!

- No i co ja mam teraz zrobić?

- Przede wszystkim musisz się uspokoić - powiedziałam, starając się stłumić ziewanie.

- Łatwo ci mówić... - w słuchawce coś zabulgotało - ty nie zostaniesz zjedzona przez owczarka alzackiego... nie umrzesz w najbliższym czasie w samotności...

nie musisz się tak martwić o swój biologiczny zegar, bo masz już dziecko...

A ja swój cały czas słyszę... Tyka mi nieustannie...

A może tak wizyta u psychologa? - zapytałam się jej w duchu, a głośno powiedziałam:

- Tak naprawdę to mam nadzieję, że w najbliższym czasie w ogóle nie umrę, to po pierwsze. Po drugie, posiadanie męża wcale nie gwarantuje ci, że nie zostaniesz zjedzona przez jakiegoś kundla. Po trzecie to, że mam dziecko, nie sprawia, że mój zegar biologiczny się zatrzymał. Jak widzisz, wcale nie jesteś odosobniona w swoich problemach.

- Ale to nie to samo - chlupała słuchawka. - Sebastian przynajmniej cię nie porzuca.

- Oczywiście, że nie - powiedziałam do rżężącej słuchawki, mając coraz silniejsze wrażenie, że rozmawiam z ciekącym i zardzewiałym kranem. - Gdyby choć raz wyszedł z naszego domu ze spakowaną walizką, nie miałyby po co wracać.

A przynajmniej musiałby się nieźle nakombinować, abym dała mu choć cień nadziei na powrót. Ty, wiesz co? To jest metoda na tego twojego Wojtka. Gdy wróci, jak to zwykle czyni, nie chciej z nim nawet rozmawiać. Powiedz tylko, że znudziła ci się ta cała zabawa w kotka i myszkę i masz dość. I nie daj się złapać na żadne kwiatki, czekoladki i takie tam. Gwarantuję ci, że po tygodniu będzie, skomląc, warował pod twoimi drzwiami.

- A jeżeli się zniechęci na dobre?

- To będzie tylko znak, że wcześniej czy później i tak by cię zostawił. Ale - dodałam - znając mężczyzn, jestem pewna, że będzie mu na tobie zależało, jak nigdy przedtem. Tacy oni już są. To zdobywcy.

- Jacy zdobywcy? To świnię. - Słuchawka dla odmiany zaczęła warczeć. - Czasami mam ochotę go zabić. Jak on śmie mnie tak zostawiać?

- Robi tak, bo mu na to pozwalasz, a on nigdy nie ponosi konsekwencji. Wystarczy, że machnie ci przed nosem jakąś wiąchą chwastów i już z powrotem ma gdzie mieszkać, i z kim uprawiać seks. - Boże, to brzmi tak, jakbym mówiła o skopywaniu ogródka - roześmiałam się w duchu. - Ale spróbuj troszkę zatrząść jego egoistycznym światkiem, a zobaczysz, że idealni mężczyźni naprawdę istnieją, tylko siedzą szczelnie opakowani w powłoki drani. Z nimi jest jak z dziećmi. Dopóki nie pokażesz, że masz własne zdanie, będą cię wykorzystywali - zawarczałam i sama byłam zdziwiona swoją życiową mądrością.

-Masz rację. - Słuchawka nareszcie przestała wydawać dziwne odgłosy i przemówiła ludzkim głosem. - Dość tego. Ja już dostatecznie długo cierpiałam z jego powodu. Teraz jego kolej. Tym razem to ja będę dyktować warunki. Nie mogę tak bez walki skazać się na zjedzenie do połowy przez owczarka alzackiego, no nie? Dzięki za wszystko. Wiedziałam, że na ciebie można zawsze liczyć. Odezwę się w najbliższym czasie. Pa. - Po drugiej stronie stuknęła odkładana słuchawka, a ja, zupełnie rozbudzona, wróciłam do łóżka. Gdy się kładłam, Sebastian zaspanym głosem zapytał: -Kto to był?

- Inka - odpowiedziałam krótko.

- A co ona chciała o tej porze? - wymruczał mój mąż, przytulając się do moich pleców.

- Ma mały problem. Chciała pogadać.

- Mmm... Problem? Jestem specem od rozwiązywania problemów. O co chodziło?

- Za dużo się naczytała Bridget Jones - odpowiedziałam wymijająco, bo jakoś przez skórę czułam, że mój mąż wcale by nie pochwalił rad, jakich udzieliłam Ince. Przecież jest mężczyzną. Wprawdzie skłaniał się bardziej do tego

idealnego, ale spod tej powłoki potrafi! się od czasu do czasu wydostać całkiem spory kawał drania. Lepiej, żeby pozostał w błogiej nieświadomości co do moich poglądów i rad, jakich udzielałam...

30 października 2002

W naszym domu zapanowało małe piekielko. Zaczęło się niewinnie, ale jabłko w raju, od którego wszystkie nieszczęścia biorą początek, pewnie też wyglądało na nieszkodliwe. Zaczęło się od tego, że wszyscy zaspaliśmy. Gosia, która zwykle wstaje bardzo wcześnie (ze szczególnym uwzględnieniem dni, w których ja mogę dłużej pospać), dziś jak na złość nie wykazała się czujnością. I nie dość, że nie wstała, to jeszcze nie dawała się ściągnąć z łóżka. Z Sebastianem nie miałam takiego problemu, bo z łóżka zerwał się sam. Tyle że natychmiast zajął łazienkę, z której co chwila dobiegały jego wyrzekania pod moim adresem. Nie będę ich cytować, ale chodziło głównie o to, jak ja śmiałam zaspać i go nie obudzić. To znaczy, uściślijmy, zasypiać to mogłam sobie do woli, pod warunkiem, że jakimś cudem udałoby mi się jednocześnie wyrwać go ze snu. Kiedy wreszcie wyciągnęłam z łóżka Gosię, z łazienki wyłonił się mój mąż i stanął przede mną w pozie skrzywdzonego Misia Puchatka.

- Co? - zapytałam, usiłując jednocześnie włożyć Gosi bluzę, w której utknęła jej głowa.

- Nie ma skarpetek - powiedział i wbił we mnie oskarżycielskie spojrzenie.

- To poszukaj - poradziłam zirytowana, bo czas nieubłaganie płynął, głowa Gosi zaklinowała się w bluzie na amen, a ja miałam na sobie jedynie majtki i biustonosz.

- Szukałem, nie ma. Zaginęły.

- Wiesz, co? - warknęłam. - To poczekaj dwadzieścia cztery godziny i jak się nie znajdą, to zadzwoń na policję i zgłoś ich zaginięcie.

Jak można było przypuszczać, Sebastian się obraził. Nie bardzo się tym przejęłam, bo w końcu udało mi się pokonać oporną bluzę mojej córki i mogłam zająć się sobą. Kiedy udało mi się wreszcie wyjść z domu (zainteresowanych uprzejmie informuję, że zaginione skarpetki znalazły się w szufladzie z majtkami Gosi; przypuszcza się, że wróciwszy wczoraj wieczorem w stanie upojenia alkoholowego ze skarpetkowego baru, pomyliły miejsce zamieszkania), na dworze siąpił dokuczliwy aczkolwiek drobny deszczyk. Odprowadziłam (a raczej odbiegłam) Gosię do przedszkola i pomknęłam do pracy. I tu czekało kolejne nieszczęście, bo jak ktoś mądry powiedział, mają one zwyczaj chodzić parami. Otóż kiedy pada deszcz, na ulicach naszego miasta tworzą się rozległe bajora. Jeżeli pieszy, zmuszony chodzić po takich ulicach, nie wykaże się błyskawicznym refleksem, zostaje ochlapany od góry do dołu. I ja się nie wykazałam. Zostałam zmoczona kleistą szaroczną cieczą. To była i rzeczywista, i przysłowiowa ostatnia kropla, która przepełniła czarę. Wybuchłam. Ale było w tym również coś odkrywczego: nawet nie podejrzewałam, że znam tyle przekleństw. To tyle na

temat poranka. Wracając z pracy do domu, myślałam, że limit przykrych i pechowych zdarzeń na dziś już wyczerpałam. Niestety. Kiedy zaczęłam rozpakowywać zakupy, do kuchni przyszła Gosia i, zakładając rączki do tyłu, zapytała:

- Mamusiu, czy kot może być zielony?

- Nie, kochanie - odpowiedziałam machinalnie. - Nie może.

- No, ale nie tak cały zielony, tylko trochę?

- Nie ma zielonych kotów, rybko - orzekłam stanowczo.

- Chyba że są to koty z bajki - dodałam, przypomniawszy sobie, że trzeba również dbać o rozwój wyobraźni dziecka.

- To nasz Oprych jest z bajki - powiedziało z zadowoleniem moje dziecko.

- Nasz Oprych nie jest... - zaczęłam, ale tknięta złym przeczuciem przerwałam.

- Gdzie jest Oprych? - zapytałam zaniepokojona.

- Siedzi na ławie w pokoju - odpowiedziała moja córka.

Rzeczywiście siedział.

I miał cały pyszczek zielony. Była to piękna zieleń - zieleń młodych listków, pierwszej wiosennej trawki i... rzęsy z akwarium. Z paskudnie złym przeczuciem pobiegłam do rybek. Niestety, było gorzej, niż przypuszczałam. W akwarium nie pływała ani jedna rybka. Nie pływało tam nawet pół rybki. Załamana usiadłam na stołku i zaczęłam zastanawiać się, kogo pierwszego zabije Sebastian: mnie czy kota? W ponurym nastroju czekałam na jego powrót z pracy. Wrócił, siadł w fotelu, sięgnął po pilot i nagle zaczął intensywnie wpatrywać się w Oprycha. Z tego wszystkiego zapomniałam wytrzeć mu mordkę, więc dowód winy nosił nadal na sobie.

- Co ten kot ma na pysku? - zainteresował się mój mąż. - Czyżby wymyślono zieloną karmę?

- Hm... - mruknęłam. - Fajnie, pobawmy się w zgadywanke... Co też on może mieć na pysku?

- Niech no pomyślę... Postanowił zostać wegetarianinem?

- Niezupełnie - jęknęłam. - Postanowił przzerzucić się na ryby - dokończyłam prawie szeptem.

- No cóż, gust... - zaczął mój mąż i nagle zamilkł, wpatrując się we mnie intensywnie.

- Nie chcesz chyba powiedzieć - podjął po chwili - że to bydlę zżarło moje rybki?

- No cóż, dokładnie to chcę powiedzieć - powiedziałam cichutko i zatkałam sobie uszy.

A potem nasz dom zamienił się w pole bitwy. Sebastian gonił Oprycha, za Sebastianem biegła Gosia, która krzyczała do kota, żeby uciekał, Sebastian wołał

do Gosi, żeby przestała krzyczeć. Oprych okazał się mądrym kotem i schował się pod szafę, skąd nie można go było wyciągnąć, aczkolwiek Sebastian próbował.

Zdołał nawet do połowy się pod nią wczołgać - i utknął.

Dzięki Bogu, że w przeciwieństwie do Oprycha, jego udało mi się stamtąd wydostać. No a teraz nie pozostaje nam nic innego, jak tylko kupić nowe rybki i pokrywę do akwarium, bo wprawdzie Oprych jest mądrym kotem, ale nie sadzę, by chciał zostać wegetarianinem.

1 listopada 2002

Hm... Od czego by tu zacząć? Ktoś mądry zapewne powiedziałby, że od początku, ale ja w obecnym stanie ducha (i ciała) nie bardzo mogę przypomnieć sobie, gdzie jest ten początek. Zaczniemy więc od wczoraj - wieczorem wpadła do mnie moja przyjaciółka Marta i już od progu powiedziała:

- Ubieraj się!

- Co? - zapytałam niezbyt inteligentnie i wpatrzyłam się w kurtkę, którą Marta wciskała mi w rękę.

- No ubieraj się, mówię, idziemy się upodlić! - Głos Marty brzmiał zdecydowanie.

- A, upodlić się. - Ożywiłam się nieco, bo wyrażenie to znaczyło mniej więcej tyle, co impreza z dużą ilością śmiechu i alkoholu.

Po głębszym zastanowieniu doszłam do wniosku, że pomysł wcale nie jest zły. Ostatnimi czasy rzadko miałam okazję spotkać się z przyjaciółmi, a odrobina rozrywki jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

- Ale ja mam dziecko - przypominałam sobie i zrobiłam nieszczęśliwą minę.

- Idiotka - skwitowała Marta i popukała się w czoło. - Ja też mam dziecko, jakbyś zapomniała. Ubieraj małą i siebie, idziemy do mnie. Dzieciaki pobawią się razem, później położy się je spać, a my zajmiemy się sobą.

- A mąż? - zapytałam jeszcze dla pewności.

- Chryste, ubierz też Sebastiana, jeżeli nie umie tego zrobić sam. - Marta wzniosła oczy do sufitu i rozpięła kurtkę.

I tak oto wszyscy wylądowaliśmy u Marty. Po północy lekko zaczęło mi wirować przed oczami. I wszystko stało się miłe. I bardzo, bardzo zabawne. I świat jakby zaczął się kręcić. Myślę, że właśnie w ten sposób Kopernik odkrył, że to Ziemia krąży wokół Słońca. Moja, nawet jeżeli nie krążyła, to na sto procent wyraźnie, choć chwiejnie, się poruszała. Judyta, która imprezowała razem z nami, w pewnym momencie pochyliła się do mnie i powiedziała:

- Ale ja od razu wiedziałam, a jak jeszcze zobaczyłam ten hydrofor, to w ogóle..

- A tak - przytaknęłam i czknęłam, chociaż jak mi Bóg miły nie wiedziałam, o co jej chodzi. Ale wtedy nie miało to żadnego znaczenia.

Mój mąż, który wyglądał na bardzo zadowolonego z życia i z siebie, przechylił się w stronę Judyty i bełkotliwie zaproponował szeptem:

- Zaśpiewaj to. - Następnie roześmiał się radośnie, ubawiony własnym dowcipem.

- Cicho! - krzyknęła Judyta i rąbnęła go przyjacielsko po plecach. - Jak już mówiłam, jak zobaczyłam ten hydrofor... Uff, to był po prostu koszmar.

Rozumiesz?

- O tak, koszmar. Jak ty to w ogóle przeżyłaś, co? - zapytałam współczująco. Mój mąż jakby tylko na to czekał - przechyliwszy się w jej stronę, szepnął konspiracyjnie:

- Zaśpiewaj to, co?

- Cicho! - wrzasnęła Judyta i znów rąbnęła go w plecy, aż zadudniło.

Marta, która siedziała do tej pory cicho, podniosła palec i oskarżycielskim tonem zapytała:

- Dlaczego ten sufit się chwieje i co chwila na mnie spada? Czy możesz mi to, kochanie, wyjaśnić? - zwróciła się do swojego męża, który siedział po drugiej stronie stołu i z namaszczaniem chrupał konserwowany ogórek.

- A to zapewne dlatego, że bardzo cię kocham - odpowiedział Donek poprzez chrzest miążdżonego ogórka.

- Co tam sufit! - darta się Judyta. - Hydrofor, to jest dopiero problem! - kontynuowała, klepiąc z werwą plecy Sebastiana.

- Hi, hi, zaśpiewaj to - wyrwało się mojemu mężowi, a ja resztkami świadomości skonstatowałam, że Sebastian jest dzisiaj jakoś wyjątkowo monotematyczny.

I tak dotrwaliśmy do czwartej nad ranem. Gdy wychodziliśmy, mąż Marty spał na podłodze koło kanapy, Judyta wciąż przeżywała horror z hydroforem w roli głównej, a Marta z obłędem w oczach patrzyła na sufit. W domu udało mi się jeszcze nastawić zegarek na jakąś strasznie wczesną godzinę, zanim rzuciłam się na łóżko, i, jak przypuszczam, od razu zasnęłam.

Ze snu wyrwał mnie jazgot budzika. Głowa mnie łupała, oczy piekły, a gardło zamieniło się w wysuszoną pustynię. Najbliższą oazą była kuchnia; powlokłam się tam, jednocześnie rejestrując, że Sebastian też gramoli się z łóżka.

Przygotowując ogromny dzban zimnej wody z cytryną, przeklinałam w duchu pomysł urządzania imprezy w środku tygodnia.

Następnie wlałam w siebie połowę zawartości dzbanka i poczułam się ciut lepiej, aczkolwiek w mojej głowie ktoś na pewno prowadził jakieś roboty młotem pneumatycznym. Gdy mój mąż wyszedł w końcu z łazienki, podając mu wodę z cytryną, zapytałam:

- No i jak się czujesz?

Sebastian najpierw pochłonął napój, a potem, prostując się z trudem, powiedział:

- Wiesz, całkiem nieźle, tylko nie rozumiem, dlaczego tak cholernie łupie mnie w plecach.

- A, jeżeli o to chodzi, to wszystkiemu jest winien hydrofor - wyjaśniłam z diabelskim chichotem. Mój mąż spojrzał na mnie jak na nienormalną.

- Ty chyba do końca nie wytrzeźwiałaś - mruknął.

- Zaśpiewasz to? - zaproponowałam niewinnie.

-Ty na pewno nie wytrzeźwiałaś - powiedział Sebastian, spoglądając na mnie z dezaprobatą.

Wytrzeźwieć to może i nie wytrzeźwiałam - pomyślałam -ale pamięć mam na pewno dużo lepszą.

8 listopada 2002

W pracy od samego rana było urwanie głowy. Wszyscy biegali, przekrzykiwali się, nikt na nic nie miał czasu. Mateusz, mój szef, miotał się po redakcji, przydzielając każdemu, kto mu się nawinął pod rękę, robotę do natychmiastowego wykonania. Widząc to zamieszanie, przezornie usiadłam przy swoim komputerze, starając się być malutka i niewidoczna. Na nic się to jednak nie zdało. Mateusz, robiąc kolejną rundę, nagle zatrzymał się przy moim biurku i wycelował we mnie palec:

- Ty - powiedział - zrobisz wywiad z panem Sułakiem.

Będiesz się musiała trochę popodlizywać, bo jest na nas obrażony. - Hej, hej - pomachałam mu zza biurka. - Ja jestem pani korekta. Nigdy nie robiłam wywiadów.

- No cóż, kiedyś musi być ten pierwszy raz - warknął. - Nie mam ludzi, a ktoś to musi zrobić. Zresztą, co chcesz, w końcu studiujesz polonistykę, nie?

Świetnie się do tego nadajesz, po prostu świetnie.

- Dzięki - mruknęłam - ale...

- Żadnych ale. Nie widzisz, co się dzieje? Ja po prostu nie mam wyboru. Masz tu adres. Jesteś umówiona za godzinę.

- Cudownie - wymamrotałam z wściekłością. - Powiedz mi przynajmniej, kim jest ten pan Sułak! - krzyknęłam za nim.

- To poeta! - odkrzyknął i zamknął drzwi do swojego gabinetu, a ja zostałam z kartką w ręku. Na świstku miałam adres i pytania, jakie należało zadać Panu Poecie. O wyznaczonej godzinie stałam przed drzwiami ogromnej nowoczesnej willi i próbowałam poradzić sobie jakoś ze swym zdumieniem - literatura bowiem wyrwała w mojej świadomości obraz poety biednego, żywiącego się chlebem i wodą - a tu proszę! No wstyd po prostu. Jak można nie znać poety z taką willą!? Przełamałam się jednak i, choć strach ścisnął mi gardło, nacisnęłam przycisk dzwonka. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i stanął w nich mały, chuderlawy facet, który na mój widok złapał się za serce i tak pozostał, gapiąc się intensywnie na moją twarz. Poczulałam się nadzwyczaj niezręcznie, a co za tym idzie, zaczęłam odczuwać irytację.

- O boska istoto! - wykrzyknął nagle piskliwym głosikiem poeta, a ja podskoczyłam.

- O zwiewna mgło, nie rozwiewaj się w nicości dnia!

Patrzyłam na niego osłupiała, zastanawiając się, czy przypadkiem nie śnię.

Nawet dyskretnie się uszczypnęłam, by mieć stuprocentową pewność. Niestety,

nie śniłam. Westchnęłam i otworzyłam usta, ale wtedy facecik zamachał

mikroskopijnymi rączkami i zakrzyknął:

- Nic nie mów, o boska! Niech cisza przemówi za ciebie!

- He? - zapytałam, czując, że ostatecznie opuszcza mnie wiara w realność tego, co się dzieje.

- Proszę, przestąp me skromne progi i zdradź choć najmniejszym gestem, kim jesteś! - wyrecytował poeta, po czym niespodziewanie złapał mnie za ramię i z niezwykłą siłą pociągnął w głąb domu. Wlókł mnie tak dobrą chwilę, aż zebrawszy całą energię, wyszarpnęłam się mu z uczuciem narastającej furii.

- No, no - warknęłam. - Rączki przy sobie, dobrze?

- O! - zakrzyknął zbolalym głosem. - Czymże zasłużyłem sobie na brak łaski...

- Cicho! - wrzasnęłam i sama przeraziłam się siłą swego głosu. - Cicho - powtórzyłam drugi raz nieco ciszej i z zadowoleniem spostrzegłam, że facecik gapi się na mnie ze zdziwieniem. Postanowiłam to wykorzystać i najszybciej jak umiałam, wyrzuciłam z siebie potok słów: - Jestem z gazety, przyszłam zrobić z panem wywiad, ale jeżeli nie czuje się pan na siłach, chętnie przyjdę innym razem.

- Co powiedziawszy, zaczęłam się powoli wycofywać w stronę drzwi. W oczach karzełka zapłonął ogień. Wariat - przemknęło mi przez głowę; w tym momencie wykonałam wielki skok, dopadłam drzwi i otworzyłam je na oścież.

Pan Poeta rzucił się w pogoń.

- Gdzie pani ucieka? - zapiszczał, usiłując schwycić mnie za rękę. Jednak byłam szybsza.

- Nagle poczułam ogromne zapotrzebowanie na powietrze - wysapałam, stając jak najdalej od tego pomyślnca. - Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu, że zadam te pytania, stojąc tutaj. O, widzi pan, mam dyktafon, wystarczy, że pan będzie mówić. Ale proszę nie podchodzić! - wrzasnęłam histerycznie, widząc, że poeta postępuje krok naprzód. Mój krzyk ściągnął uwagę sąsiadki z przeciwka, która zaciekawiona zbliżyła się do płotu. Jej wścibstwo było mi bardzo na rękę - miałam nadzieję, że ten tam nie będzie chciał mnie zabić na jej oczach. Korzystając z okazji, zadałam pytania z kartki w tempie wprost rekordowym. W czasie rozmowy pan Sułak robił co chwila krok do przodu, a ja jak na komendę odskakiwałam do tyłu. W rezultacie przy ostatnim pytaniu znaleźliśmy się u furtki. Nie odwracając się ani na chwilę plecami do poety, wymacałam klamkę i delikatnie uchyliłam furtkę, a gdy tylko pomyślniec skończył mówić, wypadłam na ulicę i uciekałam jak szalona, goniona zdziwionym spojrzeniem wścibskiej sąsiadki.

Do redakcji dotarłam ledwo żywa ze zmęczenia i zdenerwowania. Zgrzytając zębami, weszłam do gabinetu naczelnego, ale zanim zdołałam się odezwać, on spojrzał na mnie i powiedział:

- No nie denerwuj się. I tak wiem, co chcesz mi powiedzieć.

- Wiesz? - Ledwo mogłam mówić z oburzenia. - Jak to wiesz? Dlaczego

więc mnie tam wysłałeś?

- No przecież gdybym ci powiedział, że on wszystkich wyrzuca i w ogóle nie udziela wywiadów, to wcale byś tam nie poszła, nie?

- Wyrzuca? - spytałam z niedowierzaniem.

- No tak, a co, ciebie nie wyrzucił?

- Wprost przeciwnie - wyjąkałam. - Mam ten wywiad.

- Masz wywiad? - Mateusz aż wstał zza biurka - Chryste, jak tego dokonałaś?!

Jesteś chyba czarodziejką.

- Wiesz co, opowiem ci o tym później - powiedziałam. - Nagle poczułam się jakoś kiepsko. Muszę iść do domu.

I poszłam. W domu zamknęłam się na wszystkie zamki, zastawiłam drzwi wejściowe małym stoliczkiem i położyłam się do łóżka.

Jedno wiedziałam na pewno: poezji miałam dość na całe życie. A na pewno poetów.

15 listopada 2002

Od momentu, kiedy udało mi się zrobić wywiad z panem Sułakiem, mój autorytet w redakcji nieznacznie wzrósł. Nie wiem dlaczego, ale okazało się to integralnie związane z przyrostem pracy - może dostrzeżono u mnie jakieś nadnaturalne zdolności do obłaskawiania wszystkich popapranych jednostek rodzaju ludzkiego? Więcej pracy znaczyło tyle, że przychodziłam do domu później niż zwykle. To z kolei wywołało jakąś dziwną reakcję mojego męża, dziecka, a nawet kotów. Koty przestały mnie ostentacyjnie zauważać.

Sebastian wprawdzie mnie dostrzegął, ale odkąd na jego barki spadł jakże ciężki obowiązek odbierania Gosi z przedszkola, zaczął wykazywać pewne niezadowolenie. Na początku udawało mu się nic nie mówić, poprzestawał na snuciu się po domu z miną męczennika, jednak wczoraj już nie wytrzymał i niby to od niechcenia zapytał, do kiedy mam zamiar brać te nadgodziny.

- A wiesz, tak naprawdę to nie wiem - odpowiedziałam nieuważnie, ziewając.

- Jak to nie wiesz?! - zdenerwował się mój mąż. - To kto ma wiedzieć, może ja?

- A czemu nie? - zapytałam zjadliwie. - Zwykle wiesz wszystko.

- Chciałbym ci przypomnieć - burknął - że oprócz pracy masz także rodzinę. Gosia cię ostatnio prawie nie widuje.

Tutaj jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na scenie naszego domowego teatru pojawiła się nasza córka, która świdrując mnie swoimi niewinnymi oczkami, zapytała:

- Mamusiu, kiedy przyjdiesz po mnie do przedszkola?

- Chryste, za chwilę oszaleję - powiedziałam w przestrzeń. - Przecież tatuś odbiera cię dopiero od tygodnia.

- Ale ja chcę ciebie - powiedziała Gosia i zrobiła podkówkę. Triumfująca mina Sebastiana i wykrzywiona twarz Gosi zrobiły swoje.

- No cóż, chcieć ci wolno - warknęłam. - A ty - zwróciłam się do mojego męża - mógłbyś rozsądniej dobierać pory na takie rozmowy.

- Tatusiu - wtrąciła się nagle Gosia - mówiłeś, że jak zrobię nieszczęśliwą minę, to mamusia na pewno zmięknie.

Przez moment nie wierzyłam w to, co usłyszałam.

- Co ci tatuś powiedział? - zapytałam słodziutko, posyłając mordercze spojrzenie w stronę mojego męża.

- Że jak będę jęczeć i... Ojej, chyba coś wygadałam.

- No wiesz?! - zwróciłam się oburzona do Sebastiana. - To jest chwyt poniżej pasa! Jak możesz posługiwać się dzieckiem do załatwiania naszych spraw?

- A co mam zrobić, kiedy ty mnie w ogóle nie słuchasz?

-odparował mój mąż. - Ja tak naprawdę to mam już dosyć tej twojej pracy. Najpierw studia, potem praca... Za dużo tych zmian. Dla dziecka, oczywiście - dodał tonem wyjaśnienia.

- Oczywiście - powtórzyłam. - Tyle że nie wiem, dla którego. Dla tego małego czy dla tego dużego. Ale skoro tak się za mną stęskniliście, postaram się być jutro wcześniej w domu.

- Cudownie - ucieszył się mój mąż.

Następnego dnia rzeczywiście wróciłam wcześniej z pracy. Tym razem to ja odebrałam Gosię. Mój wcześniejszy powrót spotkał się z miauczeniem pełnym uznania (widocznie koty postanowiły się odbrać, skoro wykazałam tak wiele dobrej woli). Sebastiana jeszcze nie było. Innym razem biegiem bym się przebrała i zaczęła sprzątać i szykować obiad, ale dziś rzuciłam się na kanapę i włączyłam telewizor. Po chwili przyszedł mój mąż i jeszcze w płaszczu zajrzał do pokoju.

Widząc mnie w stanie rozmamłania, przypatrzył mi się uważnie i zapytał zaniepokojony:

- Źle się czujesz? Może jesteś chora?

- E, nie - odpowiedziałam znudzonym głosem, jednocześnie przerzucając pilotem kanały. - Po prostu wróciłam wcześniej z pracy, jestem dosyć zmęczona i postanowiłam trochę odpocząć. W związku z tym ty dzisiaj robisz obiad. Produkty są na szafce w kuchni.

- Co takiego? Przecież ja dopiero wróciłem z pracy i jestem dosyć... - Nagle przerwał rozpoczęte zdanie, bo skojarzył, że zostało ono przed chwilą wypowiedziane przeze mnie. Popatrzył jeszcze przez moment na mnie, potem rzucił tęskne spojrzenie na ekran i z westchnieniem poszedł do kuchni. Uśmiechnęłam się sama do siebie i z rozkoszą zamknęłam oczy. Poleżałam tak z dziesięć minut, a następnie krzyknęłam w stronę kuchni:

- Kiedy będzie obiad? Głodna jestem!

- Dopiero zacząłem robić - dobiegła mnie zirytowana odpowiedź.

- To zrób mi chociaż kanapkę - marudziłam, z trudem powstrzymując się od śmiechu. - I herbatę - dorzuciłam po chwili przerwy.

Nie skończyłam jeszcze mówić, gdy do pokoju wszedł Sebastian i zaczął mi się podejrzliwie przyglądać.

- Czy mi się wydaje - powiedział wreszcie - czy ty rzeczywiście mnie przedrzeźniasz?

- O tam, od razu przedrzeźniam - odpowiedziałam niewinnie i spojrzałam na niego figlarnie.

- Ty wstrętna babo - powiedział ze śmiechem mój mąż i rzucił we mnie poduszką.

- Mimo wszystko dostaniesz ten obiad.

- I kanapkę? - dopytywałam się z udawanym niepokojem.

- I kanapkę. Ale wiesz co? Chyba przyszedł czas na małe zmiany i podział obowiązków domowych/Omówimy to przy obiedzie.

Po tych słowach pocałował mnie w czoło i poszedł do kuchni. A ja stwierdziłam, że mąż jako taki to całkiem niezły wynalazek.

22 listopada 2002

Nie wiem, czy na kartach tego dziennika wspominałam już, że od dawna planowaliśmy z Sebastianem wycieczkę nad morze. Specjalnie czekaliśmy na zakończenie sezonu, bo osobiście nie znoszę wypoczywać w licznym i spoconym gronie bliźnich, a preferuję raczej ciszę i spokój. Do Sebastiana wyjazd po sezonie przemawiał w szczególności ze względów finansowych: było znacznie taniej. Wycieczkę planowaliśmy jeszcze wtedy, gdy nie pracowałam, ale udało mi się wybłagać u mojego szefa tygodniowy urlop. Gosia miała zostać z moją mamą, koty z naszą przyjaciółką, pokoje były od dawna zamówione, jednym słowem, wszystko udało mi się załatwić i pozapinać na ostatni guzik. I to już powinno obudzić moją czujność i sprawić, bym z niespokojnym sercem czekała na jakieś nieprzewidziane wydarzenie, które uniemożliwi nam wyjazd, ewentualnie uczyni z niego koszmar. Jednak moja czujność trwała w błogim uśpieniu. Nie otrzeźwiła jej nawet zapowiedź wizyty przyjaciółki Sebastiana - Sylwii (owego miłego dziewczęcia, które traktowało mnie jak przygłupią i przygłuchą). W optymistycznym nastroju, jakim napawała mnie wizja zamglonej plaży, po której niedługo będę spacerować, postanowiłam nawet być w miarę miłą dla Sylwii. Sebastian zapowiedział, że przyprowadzi ona ze sobą jakiegoś faceta, najświeższą zdobycz, jaką udało jej się usidlić. No i przyszli. Jej facecik był mały, śmieszny i tyle od nas młodszy, że miałam wrażenie, że rozmawiam z kolegą Gosi. Kiedy patrzył na Sylwię, odnosiło się wrażenie, że zaraz wywali język na brodę i zacznie dyszeć z podniecenia. Gdy usiedliśmy przy stole, pozostawiłam wątpliwą przyjemność konwersacji Sebastianowi, a sama zatonełam w słodkich marzeniach o odpoczynku. Od czasu do czasu rzucałam tylko jakieś „yhm” lub „w zupełności się z tobą zgadzam”. Z reguły to wystarczało, bo Sebastian z Sylwią rozmawiali zwykle o czasach szkolnych i przypominali sobie najróżniejsze śmieszności i niedociągnięcia swoich dawnych kolegów, których nigdy w życiu nie widziałam, a im gorzej o nich mówiła Sylwia, tym bardziej ich lubiłam. I tak wyłączyłam się zupełnie i dopiero po chwili dotarło do mnie, że Sebastian mówi:

- No myślę, że Natasza nie ma nic przeciwko temu, prawda?
- Z całą pewnością nie - odpowiedziałam odruchowo, nie mając zielonego pojęcia, na co wyrażam zgodę. I to jedno zdanie nauczyło mnie, że nigdy, ale to przenigdy nie powinno się odpowiadać na pytanie, jeżeli się nie wie, o co pytają.
- No tu świetnie - ucieszyła się Sylwia. - Tylko mogłabyś mi dać teraz adres i telefon, żebym mogła zadzwonić i dowiedzieć się, jak się sprawy przedstawiają.
- Jaki telefon? - zapytałam z dziwnym uczuciem, że właśnie wykopałam pod sobą ogromny dołek.
- Do tego ośrodka, w którym wynajmujecie pokoje.

Może mają jeszcze coś wolnego. Skoro mamy jechać razem, to dobrze by było mieszkać blisko.

- Już ci daję - powiedziałam, przeszywając ją wzrokiem bazyliuszka. - Sebastian - zwróciłam się do mojego męża - chodź ze mną na chwilę do kuchni.

- Dlaczego się na to zgodziłeś? - zapytałam ze złością, kiedy już zamknęłam za nami drzwi.

- O nie, nie, tym razem to ja się nie dam zrobić - szepnął. - To ty się zgodziłaś.

A że nie słuchałaś, o czym mówiliśmy, to już tylko i wyłącznie twoja wina.

Myślisz, że ja nie widzę, że ty jesteś nieprzytomna, jak przychodzi do nas Sylwia?

Nieraz aż mi głupio. Teraz masz nauczkę.

- Jesteś wstrętny - wycedziłam, ale w głębi serca wiedziałam, że sama jestem sobie winna i teraz już nic się nie da zrobić; zaniósłam Sylwii telefon.

Może nie będzie wolnych pokoi - łudziłam się w duchu.

Żeby tak na całym wybrzeżu nie było już ani jednego wolnego pokoju - modliłam się żarliwie, ale tym razem los mi nie sprzyjał. Pokój wolny był i to w tym domu, w którym wynajmowaliśmy nasz.

W okropnym nastroju zadzwoniłam do mamy, żeby się jej pożalić.

- To rzeczywiście nieciekawa sytuacja - powiedziała mama. - No cóż, facet to facet - dodała, jakby to zdanie tłumaczyło wszystko. - W każdym razie trzymaj się córeczko. Pa. - I odłożyła słuchawkę.

Nie zdążyłam jeszcze odejść od telefonu, gdy zadźwięczał jego dzwonek. W słuchawce usłyszałam głos mamy:

- Wiesz co, tak sobie pomyślałam, że skoro i tak nie jedziecie sami, to może i ja bym się do was dołączyła? Oczywiście za Gosię ja zapłacę. Nie masz nic przeciwko temu córeczko, prawda?

Oczywiście miałam coś przeciwko temu. Miałam bardzo dużo przeciwko całej tej sytuacji, ale zgrzytając zębami, powiedziałam:

- Jakżebym mogła mieć? Nie masz przypadkiem znajomego stadka przyjaciółek,

które byś chciała zabrać ze sobą? Będę wprost zachwycona. To idealne towarzystwo na wyjazd we dwoje.

Mama nie wychwyciła ironii. Podałam więc i jej telefon do gospodarza pensjonatu, w którym wynajęliśmy pokoje. Nie wiem, z czego wybudowany był jego dom, ale niewątpliwie był to materiał bardzo rozciągliwy, bo mały pokójek jeszcze się znalazł.

I tak nasz wyjazd we dwoje spędziliśmy w szóstkę. Co chwila natykaliśmy się a to na Sylwię całującą się ze swoim małolatem, a to na moją mamę, która posiadała zaskakującą umiejętność znajdowania się w kilku miejscach naraz. Było

pewne, że gdziekolwiek człowiek się odwróci - ona już tam będzie. Pod koniec pobytu popadłam w coś w rodzaju obsesji i - jak w dowcipie - bałam się nawet otworzyć lodówkę. Jedno mogę stwierdzić z całą pewnością: nigdy w życiu z taką przyjemnością nie wróciłam do domu i do pracy. A morze już do końca życia kojarzyć mi się będzie z koszmarem z Sylwią i moją mamą w rolach głównych.

29 listopada 2002

Ostatnio żyję wyłącznie pracą. Mamy tak strasznie napięte terminy i tak mało czasu, że gdy wracam do domu, robię tylko to, co konieczne, by mieszkanie nie wyglądało jak śmietnik. Porządki te polegają głównie na upychaniu wszystkiego po kątach i na wkopywaniu zbędnych rzeczy pod szafę. Budzi to odrazę w Sebastianie i rozbawienie w Gosi. Niestety, nie jest to najlepsza metoda wychowywania dzieci, bo ostatnio dostrzegłam, że zdjęwszy nieco zużyte rajstopy, Gosia, miast zanieść je do kosza na brudną bieliznę, beztróska wpycha je pod łóżeczko. Oczywiście wiem, że muszę zmienić swe postępowanie, ale odkładam to na moment, gdy będę miała więcej wolnego czasu. Tymczasem w pracy nastąpiły dość duże zmiany. W związku z natłokiem różnych spraw Mateusz postanowił zatrudnić kilku nowych dziennikarzy. Tak więc mam trzech nowych kolegów. Jeden z nich jest facetem, że tylko wziąć i do rany przyłożyć. Od razu poczułam do niego sympatię. Z moich obserwacji wynika, że Rafał ma dwie miłości: dziennikarstwo i jedzenie. Do jego ulubionych potraw należą płatki kukurydziane Mister Śniadanko i minipizze, które kupuje w małym sklepiku tuż obok redakcji. Drugi przyjęty jest doskonale nijaki i w żaden sposób nie mogłam sobie do tej pory wyrobić o nim zdania. Natomiast trzeci nabytek... Tak, on jest wart dłuższego opisanie. Po raz pierwszy, gdy go zobaczyłam, siedziałam sobie spokojnie przy biurku i jadłam drugie śniadanie. Nagle do pokoju wkroczył wysoki facet, zerknął na mnie spod oka i jakby od niechcienia podwinął rękawy koszuli i naprężył mięśnie. Mało co nie zadławiłam się kanapką i w rezultacie wyplułam, co miałam w ustach, do kubka z kawą. Facet cały czas stał i przyglądał mi się z nietajonym zadowoleniem z siebie. Po raz pierwszy od wielu dni straciłam głos.

Mój mąż zapewne określiłby to jako cud. Ale myliłam się, sądząc, że ten popis jest przeznaczony dla mnie. Facet obrzucił nasz pokój zwycięskim spojrzeniem i, kręcąc biodrami i wypinając klatkę piersiową, ruszył do biurka Marty. Tam stanął i, patrząc jej prosto w oczy, uniósł brew do góry. Przez moment miałam wrażenie, że zacznie biegać po redakcji i krzyczeć: „Hej, laski”. Albo: „Jestem boski”. W końcu udało mi się opanować. Przyglądając się adonisowi kpiącym wzrokiem, zapytałam:

- A poza tym to u pana wszystko w porządku?

Całe towarzystwo, które do tej pory siedziało oniemiałe, gruchnęło niepohamowanym śmiechem. Facet spojrzał na mnie z góry i odpowiedział pytaniem:

- Czy tutaj znajdzie się dla mnie wolne biurko?

- A co pan chce z nim zrobić? - zainteresowała się Marta, która zawsze twierdziła, że w życiu nic już jej nie zdziwi, ale lubiła być dobrze poinformowana.

- Chcę za nim zasiąść - wyjaśnił piękniś, obnażając w uśmiechu garnitur bielutkich zębów. - Uważam, że to pomieszczenie dużo zyska, kiedy uświetni je moja obecność.

- He, he - wyrwało mi się niechcący. - Wydaje mi się, że nie zamawialiśmy ostatnio żadnych dekoracji - doprecyzowałam.

W tym momencie do pokoju wszedł Mateusz.

- O, widzę, że poznaliście już swojego nowego kolegę - powiedział. - Będzie z wami pracował. Łucjan, tutaj jest twoje biurko - zakończył, wskazując mebel stojący tuż koło mojego.

Obrzuciliśmy się z Martą spojrzeniami pełnymi grozy, natomiast Rafał nagle zaczął bezgłośnie symulować odruchy wymiotne.

Tymczasem Łucjan usadowił się za biurkiem i pierwsze, co zrobił, to wyjął z teczuski lusterko i pieczołowicie ustawił je na blacie.

- Chryste - jęknęła Marta. - Chyba się dzisiaj upiję. Im dłużej się zastanawiam, tym bardziej dochodzę do wniosku, że od teraz będę zdolna do pracy tylko w stanie upojenia alkoholowego. Łucjan nie zwrócił na jej słowa uwagi, zajęty przyglądaniem włosów.

- Hej, hej - zamachałam mu przed nosem ręką – słyszałeś kiedyś o Narcyzie? Na twoim miejscu wzięłabym sobie do serca tę opowieść.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że jestem podobny do rozwijającego się kwiatu? - zapytał nasz nowy kolega.

Wszyscy zgodnie wydaliśmy jęk i wyszliśmy na papierosa, choć żadne z nas nie paliło. W ciągu kilku godzin pracy Łucjan szesnaście razy przeglądał się w lusterku, osiem razy oglądał swoje mu-skuły, dwa razy zrobił nam wykład na temat nieprawidłowego odżywiania (było to spowodowane jego przerażeniem na widok mojego hamburgera i minipizzy Rafała). Pod koniec dnia miałam ochotę go udusić. Zdeterminowane poszliśmy z Martą do Mateusza. Wysłuchał nas spokojnie, a potem powiedział:

- Chyba trochę przesadzacie. On jest nowy, może to nieśmiałość.

W tym momencie do jego pokoju wszedł Łucjan.

Obrzucił nas poufałym

spojrzeniem, trącił Martę biodrem i zwrócił się do Mateusza:

- Oj szefie, chyba musisz się wziąć za siebie. Całkiem sflaczałeś za tym biurkiem. Och! Co ja widzę! - krzyknął dramatycznie, zaglądając pod biurko Mateusza.

- Brzuch!

Mateusz siedział oniemiały. Spojrzałyśmy z Martą po sobie i pokiwałyśmy zgodnie głowami.

- Tak, to na pewno nieśmiałość - powiedziałam i dusząc się ze śmiechu, wyszłyśmy i pozostawiłyśmy Łucjana i Mateusza razem.

Nie wiem, co sobie tam powiedzieli, ale rezultat był taki, że wprawdzie Łucjan pozostał w naszym pokoju, ale jego biurko Mateusz osobiście przestawił jak najdalej od pozostałych.

1 grudnia 2002

Moje pierwsze od wielu dni wolne popołudnie postanowiłam przeznaczyć na zakupy. Było to także wolne popołudnie Sebastiana, tak więc w ramach zacieśniania więzów rodzinnych do hipermarketu wybraliśmy się razem. Gosię po drodze podrzuciliśmy do mojej teściowej, która z lekkim przerażeniem i wyraźnymi obawami wpuściła ją do swojego sterylnie czystego mieszkania. Przez następnych piętnaście minut z rozkoszą milczeliśmy, delektując się luksusem ciszy i brakiem konieczności odpowiadania na mnóstwo pytań. Ja jeszcze umilałam sobie ten czas wyobrażaniem, co Gosia robi z mieszkaniem teściowej. Jeżeli chodzi o dziedzinę brudzenia, to nasze dziecko było wyraźnie uzdolnione i wykazywało talent ogromny.

W sklepie jak zwykle panował ogromny tłok, z głośników płynęły dźwięki kolęd, a ja po raz pierwszy od bardzo dawna nigdzie się nie spieszyłam. Nawet z Sebastianem rozmawiało mi się dobrze i przestaliśmy na siebie burczeć. Chodziliśmy między półkami, oglądaliśmy różne rzeczy i w pewnym momencie poczułam się, jakbym nagle przeniosła się w początki naszego małżeństwa. I właśnie wtedy stało się to, co się stało. Mianowicie w dziale z kosmetykami staliśmy przy oddzielnych półkach, tak że postronny obserwator mógł pomyśleć, że jesteśmy obcymi ludźmi. Oglądałam właśnie krem pod oczy, przekonując się obłudnie, że jeszcze nie muszę go używać, gdy spostrzegłam, że jakaś kobieta z biustem Kasi Figury nachalnie przypatruje się mojemu mężowi. Coś, zapewne siódmy zmysł, podpowiedziało mi, żebym obserwowała rozwój sytuacji z boku. Kobieta z biustem jeszcze przez chwilę przyglądała się mojemu mężowi, przekrzywiając swój blond łebek w taki sposób jak moje koty, gdy widzą ptaszka. Potem nagle ruszyła w jego stronę, nie bacząc na to, że depcze i rozpycha ludzi. Sytuacja wydawała mi się coraz bardziej interesująca. Zauważyłam przy tym, że im szybciej idzie kobieta, tym bardziej jej wielki biust podskakuje jak dwa ogromne balony. Nieświadomie zacmokałam z przyganą i pomyślałam, że takie piersi są niebezpieczne dla otoczenia. Dostać takim cyckiem przez łeb to kaplica - pomyślałam. Tymczasem blondyna przystanęła parę kroków przed moim mężem, zadreptała w miejscu, zatrzepotała rzęsami, nabrała powietrza w płuca i ryknęła na cały sklep:

- Sebastiano!!! O kurczę! To ty? Prawda?

- E... - zająknął się mój mąż - zbieżność imion istotnie zachodzi, ale obawiam się, że z kimś mnie pani pomyliła...

- Pomyliła? - oburzyła się blondynka. - Ja bym ciebie Sebo wszędzie poznała!

No, nie pamiętasz mnie? A z kim chodziłeś na piwo do Paróweczki? No, no?

- ciągnęła zachęcającym głosem. - Duża Zocha jestem.

Duża, bo wiesz co... - kokieteryjnie potrząsnęła biustem. W tym momencie zaczęłam się bać o bezpieczeństwo mojego męża. Mogła mu popodbijać oczy.

- No, Sebo, nadal jesteś niezły - zaszczębiotała, a mój mąż spojrzawszy z obawą na jej podskakujący biust, cofnął się przezornie. -Skoczmy do Paróweczki?

W tym momencie postanowiłam wkroczyć litościwie do akcji.

- O, kochanie - powiedziałam wesoło - widzę, że z kimś rozmawiasz.

- A tak. - Sebastian nareszcie otrząsnął się z zaskoczenia.

-Poznajcie się, to jest...

- Wiem, wiem - przerwałam mu. - Duża Zocha. Średnia Zocha jestem - przedstawiłam się z milutkim uśmiechem. - No wiesz, ze względu na to - ciągnęłam, trzęsąc biustem.

Sebastian przez chwilę spoglądał na mnie osłupiałym wzrokiem, a potem podejrzenie zaczął się dusić. Zdołał się jednak opanować i powiedział:

- Przepraszam, zachłysnąłem się. To jest moja żona, a to moja dawna znajoma.

- Och, Sebo! - wykrzyknęła blondynka zawiedzionym głosem. - Ożeniłeś się?! No cóż, okoliczności nam nie sprzyjają. Ale to nic, i tak się spieszę. Miło mi było cię poznać – zwróciła się do mnie i niespodziewanie wyciągnęła rękę.

Zaskoczona, musiałam jej podać swoją. A ona niespodziewanie ścisnęła mi mocno dłoń. O ty jędzo - pomyślałam i oddałam jej uścisk ze zdwojoną mocą, uśmiechając się przy tym milutko. Z satysfakcją stwierdziłam, że jej uścisk słabnie i dopiero gdy wargi zaczęły się krzywić z bólu, puściłam jej rękę. Po tym małym incydencie oddaliła się szybko, torując sobie drogę nieujarzmionym biustem.

Mój mąż przez chwilę patrzył za nią przerażonym wzrokiem, a potem odwrócił się do mnie.

- Boże, Natasza, jak mam ci dziękować? To było straszne.

- A kto to w ogóle był? - zapytałam groźnym tonem, choć tak naprawdę miałam ochotę usiąść tam gdzie stałam i wybuchnąć śmiechem.

- Koleżanka z liceum. Nie wiem, jakim cudem mnie poznała. Boże, co za koszmar!

- Zgadzam się z tobą - powiedziałam i zaczęłam się śmiać jak wariatka.

Sebastian cierpliwie czekał, aż mi przejdzie. Gdy w końcu trochę się uspokoiłam, zapytał:

- No to może pójdziemy coś zjeść?

- Do Paróweczki? - zapytałam niewinnie i znów zaczęłam się śmiać. No, poużywam sobie trochę na moim mężu i naszej nowej znajomej. Nie co dzień trafia się tak dobra okazja.

18 grudnia 2002

I tak oto kolejny rok ma się ku końcowi. Rok, który przyniósł masę radości, nieoczekiwanych zdarzeń i trochę smutków. Takie refleksje dopadły mnie, gdy stałam nad zlewem pełnym naczyń o wpół do drugiej w nocy. Tuż za mną rozlegało się co i rusz ziewanie mojego męża, który postanowił mi towarzyszyć w przygotowaniach przedświątecznych. I o dziwo, wytrwał w swym postanowieniu, aczkolwiek parę razy sarknął, że wołałby zjeść o trzy potrawy mniej i zamiast nich mieć wypoczętą i zadowoloną żonę. Nie powiem, całkiem miłe były te sarknięcia, bo świadczyły o tym, że mój mąż się o mnie troszczy. Rzeczywiście, pracy miałam co niemiara. Jak to przed świętami. Jak co roku tuż przed choinką obiecałam sobie, że nie będę wariować i oczywiście jak zwykle nie dotrzymałam danego słowa. Przy okazji nadchodzących świąt zauważyłam również, że nareszcie udało mi się znaleźć bat na nasze dziecko. Otóż gdy Gosia robiła nadąsaną minę lub odmawiała wykonywania jakichś poleceń (a niestety, ostatnimi czasy zdarzało się to dosyć często), wystarczyło wypowiedzieć jedno jedyne magiczne słowo: Mikołaj - i z naszego dziecka natychmiast robił się anioł. Mikołaj był postacią najbardziej wyczekiwaną, a jednocześnie budzącą ogromną grozę. Znalazłszy tak prostą metodę wychowawczą, używałam jej bez umiaru, za co oczywiście dostałam w końcu po uszach. Kiedy któregoś dnia poszłam po swoje dziecko do przedszkola, zostałam wezwana do gabinetu pani dyrektor. Weszłam tam mocno zaniepokojona. Po prostu znałam Małgorzatę i wiedziałam, że w tym wypadku maksymę „nic, co ludzkie, nie jest mi obce” należy przekształcić w „nic, co nieludzkie, nie jest mi obce”. Jednak w gabinecie czekała na mnie nie pani dyrektor, ale siostra zakonna. Popatrzyła na mnie z niemałym zakłopotaniem i powiedziała:

- Chciałam z panią porozmawiać, bo dzisiaj pewna wypowiedź Gosi obudziła we mnie zdziwienie i nie będę ukrywać, że lekko mnie zaniepokoiła.

- Tak? - zapytałam, a w duchu pomyślałam sobie, że wypowiedzi naszej córki rzadko w kim nie budzą zdziwienia, więc chyba jednak nie ma w tym nic niepokojącego.

- Otóż - ciągnęła siostra - kiedy zapytałam Gosię, jakie dobre uczynki ma zamiar ofiarować Panu Jezusowi pod choinkę, ona odpowiedziała mi tonem zmęczonego starca, że całą energię wkłada w to, by być grzeczną i nie podpaść Świętemu Mikołajowi, więc dla Jezusa, niestety, czasu jej już nie starczy.

- No cóż - palnęłam - może rzeczywiście jej go brakuje.

-I dopiero wtedy połapałam się, co mówię, ale było już za późno. Siostra patrzyła na mnie wzrokiem pełnym potępienia. - Echem, echem - odkaszlnęłam - ale na pewno z nią porozmawiam - dokończyłam szybko i opuściłam nieszczęsny gabinet.

Jak się wkrótce okazało, nie było to jedyne nieprzewidziane wydarzenie tego dnia. Ledwie weszliśmy z Gosią do domu, moje ucho wyłowiło głos teściowej, dobiegający z pokoju. Rozebrałam się z płaszcza, dla kurażu parę razy zgrzytnęłam zębami i dzielnie wkroczyłam do jaskini smoka, w którą zamieni! się nasz pokój.

- O, dzień dobry kochanie - powitała mnie z niezwykłą wylewnością teściowa.

Nie jest dobrze - pomyślałam. Słodki ton kochanej mamusi na ogół nie zwiastuje niczego dobrego.

- O, dzień dobry kochana mamusiu - zaćwierkałam tak słodziutko, że sama miałam ochotę wywalić jęzor.

- Może ci zrobić herbatkę, córeczko, co? - zapytała.

- Nie, mamusiu kochana, dziękuję - odpowiedziałam i już otwarcie popatrzyłam na nią podejrzliwie. - A z mamusią wszystko w porządku?

- Tak, a dlaczego pytasz?

- A tak sobie - odpowiedziałam wymijająco i pytając spojrzałam na Sebastiana, który też ze zdziwieniem patrzył na swoją matkę.

Zrozumiałam, że i on nie wie, czemu lub komu zawdzięczam tak nagłą i niespodziewaną serdeczność.

- Przyszłam do was - zaczęła moja teściowa już swym zwyczajnym głosem - bo chciałabym się zapytać, czy nie zaprosilibyście nas na wigilię.

- O... Ależ bardzo chętnie - wyjąkałam. A więc o to chodziło. Stąd ten nagły wybuch miłości.

- Przecież mieliście razem z tatą odwiedzić ciotkę Gryzeldę w górach - powiedział z rozpaczą w głosie Sebastian. Widocznie i jego nie bardzo uszczęśliwiała perspektywa spędzenia świąt wspólnie ze swoimi i moimi rodzicami.

- No tak, ale zrezygnowaliśmy. Wiesz, jaka ciotka Gryzelda jest kapryśna.

Nieraz zachowuje się tak, jakby mnie nie lubiła. Gdyby nie to, że twój ojciec ma nadzieję, że odziedziczy po niej dom, w ogóle bym tam nie jeździła. Odwiedzimy ją kiedy indziej, a święta chcemy spędzić razem z wami. Oczywiście wiem - zwróciła się do mnie - że ty, moja droga, nie umiesz gotować, ale jakoś będę musiała to przeżyć. Wy, nowoczesne kobiety, na niczym doprawdy się nie znacie - ciągnęła, a ja, patrząc na nią, pomyślałam, jakby to było miło i przyjemnie, gdybym mogła ją udusić. Albo zrzucić z dachu. Albo już z braku innych możliwości chociażby lekko okaleczyć.

- Wie mama co - przerwał jej nagle Sebastian - jeżeli mama chce, to proszę bardzo, my serdecznie zapraszamy. Ale jednocześnie informuję mamę, że nie życzę sobie żadnych uszczypliwych uwag w stosunku do mojej żony. To jest nasz dom i ma być w nim miło, tak jak w święta być powinno.

Nie chcę żadnego skakania sobie do oczu. Jasne?

Po tej wypowiedzi w pokoju zapanowała cisza. Obie patrzyłyśmy na mojego męża ze zdziwieniem. Po raz pierwszy odważył się powiedzieć coś tak ostrego do swojej matki. Pomyślałam, że nigdy nie można uznać, że zna się drugiego człowieka.

O tym wszystkim myślałam, stojąc nad zlewem pełnym naczyń. Wokół było cicho, ustało nawet ziewanie mojego męża, który usnął z nosem w książce. I ta cisza, i wszystko wokół przesycone było zapachem świąt.

24 grudnia 2002

Wśród nieustannego pośpiechu, gotowania, biegania po zapomniane zakupy i strojenia choinki minęły ostatnie chwile przed wigilią. Jeszcze poprzedniego dnia udało mi się przekonać moją mamę, że na pewno poradzę sobie sama z przygotowaniem świątecznej kolacji, wyperswadowałam tacie myśl, że jedynie on jest w stanie wybrać dobrą choinkę, uspokoiliam teścia odnośnie do problemu pomieszczenia się przy stole i zapewniłam go z całą stanowczością, że nie muszą przywozić ze sobą ich wielkiej rozkładanej ławy oraz co najważniejsze - uwaga, czekam na oklaski! - udało mi się być miłą dla teściowej. Co więcej, wśród przedświątecznego rozgardiaszu udało mi się nie wybuchnąć i z cierpliwością godną anioła wysłuchałam niezliczonej ilości pytań padających z ust Gosi.

- Mamusiu, kiedy przyjdzie Mikołaj? - Pięć minut przerwy i:

- Mamusiu, kiedy w końcu będzie ta kolacja? - Minuta ciszy i: -Mamusiu, jak Mikołaj dostanie się do naszego domu? - I zaraz:

- A jak on się zmieści w dziurce od klucza? - I tak dalej, i tak dalej.

W tej sytuacji prawie z ulgą przyjąłam pojawienie się teściów - może Gosia zogniskuje swą uwagę na nich? Jak się okazało, nadzieja nie była płonna i już po chwili moja córka osaczała milionem pytań swoją babcię. Niestety, po paru minutach obie przyszły do kuchni i już pod czujnym okiem teściowej kończyłam przygotowania do uroczystej wieczerzy. Tymczasem Gosi usta się nie zamykały. I nagle wśród pytań o Mikołaja i prezenty pojawiło się jedno z całkiem innej beczki.

- Babciu - zaczęło moje dziecko całkiem standardowo - powiedz mi, czy Noe był blondynem, czy brunetem? I tu moja teściowa zrobiła błąd. Zamiast odpowiedzieć, nie wgłębiając się w treść pytania, ona zaczęła dociekać.

- Noe? - zapytała mało lotnie.

- Ten od potopu, wiesz. Jesteś taka stara, że chyba go pamiętasz, co?

Słyszając to pytanie, znieruchomiałam, a pyszna kapusta z grzybami, której właśnie próbowałam, stanęła mi w przełyku. Naprawdę nie wiedziałam, jak mam się zachować. Z opresji wyrwał mnie dzwonek do drzwi, obwieszczający przybycie moich rodziców. Pytanie poszło w niepamięć, a teściowa, widocznie mając w pamięci wystąpienie Sebastiana, poprzestała na spojrzeniu pełnym potępienia.

W duchu pocieszyłam się, że mogło być jeszcze gorzej.

Zamiast o Noego Gosia mogła zapytać ją, jak przebiegał proces stwarzania. W końcu, gdy uporałam się ze wszystkim w kuchni, szepnęłam mojej mamie, by zajęli czymś Gosię. Zrozumiano mnie natychmiast i prawie siłą wywleczono kochane dziecko przed dom, aby mogło swobodnie wypatrywać Świętego Mikołaja. Gosia wcale nie chciała udać się z resztą rodziny na zewnątrz, bo jak oznajmiła, postanowiła tego roku zgłębić tajemnicę pojawiania się szanownego

Świętego. W końcu udało się ją przekonać i gdy cała rodzina dygotała na mrozie, Sebastian podłożył pod choinkę prezenty, a ja się przebrałam. Po tych skomplikowanych zabiegach wyszliśmy na dwór i dla towarzystwa przez chwilę pomarziśmy ze wszystkimi, po czym Sebastian z chytrym uśmiechem zaproponował, żebyśmy jednak na Mikołaja poczekali w domu. Oczywiście okazało się, że oczekiwany już tu był. Gosia z głośnym piskiem i zachwytem w oczach przyglądała się kolorowym paczkom, po czym zaczęła wszystkich przynaglać, by siadali do stołu, bo ona już nie może doczekać się odpakowywania prezentów. I tak w końcu szczęśliwie udało nam się zasiąść do wigilijnej kolacji. Było pięknie i tak ciepło, że miało się wrażenie, że to gorąco sięga głęboko w nas, aż do najskrytszych zakamarków duszy. Dzieliliśmy się opłatkiem, pod obrusem szeleściło sianko, na choince migotały świeczki. Wszyscy nagle jakoś spoważnieliśmy i uważniej popatrzyliśmy sobie w oczy. Tego wieczoru powietrze przesycił zapach choinki, miłości i wybaczenia. I w tej chwili dotarł do mnie sens ukryty w zwrocie „magia świąt”. Bo ten wieczór rzeczywiście był magiczny. Zaczarowany tym, co najlepsze w nas, a co na co dzień pozostawało w cieniu zwykłych spraw. Zaczarowany dobrocią. Nawet nie wiem kiedy w moich oczach zakręciły się łzy. I gdy wszyscy zaczęliśmy rozpakowywać prezenty, pomyślałam sobie, że jestem najszczęśliwszą osobą pod słońcem. I że takiego ciepłego Bożego Narodzenia życzę wszystkim. I by choć część tego ciepła pozostała z nami przez cały następny rok.

3 stycznia 2003

I tak minęła Wigilia, minęły święta i sylwester z symboliczną lampką szampana (tak naprawdę to szampan był wtedy, gdy już dobrze szumiało mi w głowie i wcale nie jestem pewna, czy był to tylko jeden kieliszek), a po tych wszystkich uroczystościach nadszedł czas powrotu do zwyczajnego życia. Powrót ten, jak się miało okazać, przyniósł bardzo wiele niespodziewanych zmian. Tak więc w pracy na pierwszym redakcyjnym zebraniu naczelny zakomunikował nam, że nasze pismo musi zmienić nieco swój charakter.

-Chciałbym wysłuchać waszych propozycji - powiedział uprzejmie i oczywiście po tych słowach zapadła głęboka cisza. Wszyscy moi koledzy patrzyli w sufit, gryźli paznokcie lub udawali, że myślą. Wreszcie odezwał się pan Jan, najstarszy z zespołu. Gdy go po raz pierwszy zobaczyłam, wyglądał na bardzo dystyngowanego i poważnego mężczyznę. Przy bliższym poznaniu okazało się, że z pana Jana jest niezły numer i że siedzi w nim mały złośliwy diabełek, który od czasu do czasu pokazuje różki. Otóż pan Jan powiedział:

- Ja już dawno o tym myślałem i powiem wprost:

domagam się seksu. Może moglibyśmy drukować jakąś pikantną powieść lub coś równie ekscytującego. Na pewno ożywiłoby to nasze pismo. - Tu pan Jan zrobił rozmarzoną minę.

- Ależ panie Janie - zaczął naczelny (byłam pewna, że go lekko złaje, a pomysł z całą stanowczością odrzuci) - to doprawdy świetny pomysł - dokończył z rozpromienioną miną.

Spojrzałyśmy z Martą po sobie i przewróciłyśmy oczami. I to mnie zgubiło, bo zwróciło uwagę naczelnego. Mateusz popatrzył na mnie, a w jego oczach zaślniły mordercze błyski.

- Ha, ja już nawet wiem, kto będzie pisał nam te opowiadanka - rzekł. - Uważam, że Natasza świetnie się do tego nadaje.

- Co!?! - zapytałam z niedowierzaniem.

- No tak, wyglądasz mi na osobę, która ma bujną wyobraźnię.

- Ale ja nie chcę - zaprotestowałam słabo przy wtórze chichotu kolegów.

- No, to mamy już to za sobą - powiedział naczelny, który widocznie nagle ogłuchł, bo w ogóle nie zwrócił uwagi na mój protest. - Proszę się jeszcze zastanowić, co można w naszym piśmie zmienić. Propozycje proszę spisać i dostarczyć w ciągu tygodnia. - I poszedł. Po prostu wstał i wyszedł. Widocznie dla odmiany stałam się niewidzialna, bo nawet nie spojrzał w moim kierunku.

- Panie Janie - rzekłam, odwracając się do drogiego starszego kolegi - chcę pana poinformować, że właśnie miałam wizję i widziałam bardzo wyraźnie, że pan nie umrze śmiercią naturalną. Pan Jan zachichotał i powiedział:

- No cóż, pani Nataszo, zawsze, gdy zabraknie pani pomysłów, może pani odwołać się do własnych doświadczeń. - Po czym robiąc niewinną minę, oddalił się na bezpieczną odległość.

Przez kilka następnych godzin miałam wrażenie, że znalazłam się w gronie niewyżytych seksualnie zboczeńców. Wszyscy osobnicy rodzaju męskiego, przechodząc koło mnie, puszczały do siebie oczka, bardzo głośno opowiadali sobie różne sprośne kawały i wybuchali co chwila nienormalnym śmiechem. W końcu, gdy któryś raz z rzędu przeszedł koło mnie pan Jan i oczywiście puścił oczko do rozradzanego Łucjana, nie wytrzymałam i powiedziałam:

- Nie wiedziałam, panie Janie, że ma pan odmienne preferencje seksualne.

Bardzo się cieszę, że pan tego nie ukrywa. Grunt to szczerść. Bardzo do siebie pasujecie z Łucjanem. - Poklepałam go po ramieniu. - Napiszę o tym w pierwszym opowiadaniu. Mogę użyć waszych prawdziwych imion? - zapytałam słodko.

- No wie pani? - oburzył się pan Jan, a Łucjan popukał się w czoło, ale widać było, że obydwu popsułam humor.

No i dzięki tej wymianie zdań wpadłam na pewien pomysł i natychmiast udałam się do redaktora naczelnego. Stałam przed jego biurkiem i z determinacją powiedziałam:

- Nie będę pisała żadnych zboczonych opowiadań. Nie umiem tego robić, a zresztą wszystko, co bym napisała, traktowane by było jako moje osobiste doświadczenia. Natomiast mogę zająć się prowadzeniem rubryki popularnonaukowej. Takiego kącika intymnego w stylu co kobiecie sprawia przyjemność, czy Polacy są tolerancyjni i tak dalej. Jeżeli ci to nie odpowiada, możesz mnie zwolnić.

- No popatrz, popatrz - mruknął Mateusz, spoglądając na mnie zagadkowym wzrokiem. - Zastanawiałem się, kiedy w końcu zaczniesz mówić, co myślisz. Ciekaw byłem, ile trzeba, żebyś się zbuntowała. Bardzo miłe mnie rozczarowałaś. Potraktuj to jako małą lekcję asertywności. A twój pomysł jest bardzo dobry. Czekam na pierwszy artykuł - powiedział do mnie z uśmiechem. Zdziwiona, że tak łatwo mi poszło i że jednak nie wyleciałam z pracy, w doskonałym humorze usiadłam przy swoim biurku. Wokół mnie trwało nadal nienormalne ożywienie, które utwierdziło mnie w przekonaniu, że świat pełen jest zboczeńców. Albo ludzi, których ciekawi intymność innych. Gdy tak sobie siedziałam i robiłam korektę, drzwi od pokoju naczelnego się otworzyły i stanął w nich Mateusz. Na jego twarzy gościł chytry uśmiech.

- Panie Janie - zawołał głośno - w sprawie tej powieści zapraszam do mnie.

10 stycznia 2003

Nie wiem, jak to logicznie wytłumaczyć, ale niekiedy odnoszę wrażenie, że wszystko, co się w naszym życiu dzieje, jest przygotowaniem do tego, co ma nastąpić.

Oto niedawno w naszej redakcji zaczęto mówić o seksie, tego samego dnia wieczorem w telewizji widziałam program na temat molestowania seksualnego, a następnego dnia... No właśnie, następny dzień w pracy minął bez żadnych niespodzianek - za to gdy wróciłam do domu, zastałam nienaturalny ład i porządek (niechybny znak, że odwiedziła nas moja mama). W prawdziwie komfortowych warunkach i bez żadnych wyrzutów sumienia zasiadłam w fotelu i zagłębiłam się w notatkach ze studiów. Czas był po temu najwyższy, bo właśnie zaczęła się sesja. Ledwo zaczęłam czytać te wszystkie straszne rzeczy, które powinnam już dawno umieć, a które z reguły tylko zapisywałam, by natychmiast zapomnieć, rozdzwonił się telefon.

- Sebastian, możesz odebrać? - zapytałam, intensywnie starając się nie zapomnieć, co przed chwilą przeczytałam.

- Cicho, cicho - mruknął w odpowiedzi, udając skupienie nad jakąś wiadomością w dzienniku telewizyjnym, która nie interesowała go zupełnie, dopóki nie zaczął dzwonić telefon. Westchnęłam i ruszyłam do hałasującego aparatu. Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że jak długo nie będę odbierała, to ten ktoś zniechęci się i odłoży słuchawkę, zanim ja podniosę swoją.

Niestety, dzwoniący miał widocznie anielską cierpliwość.

- Słucham?

- Natasza? Marta mówi. Słuchaj, przed momentem dzwonił do mnie naczelny.

Prosił, byśmy przyszły na jakieś dwie godziny do redakcji. Jest jakaś pilna robota. Potrzebny mu korektor i grafik. Będiesz mogła?

- A mam inne wyjście? - zapytałam retorycznie. - Już się ubieram, wpadnij po mnie, dobra?

- Hm... Wolę przyjść, jak wiesz, raz już wpadłam, a rzecz za często powtarzana staje się nudna. - Zaśmiała się i odłożyła słuchawkę.

Starając się nie słuchać wyrzutów Sebastiana i marudzenia Gosi, która domagała się, bym wzięła ją ze sobą, włożyłam płaszcz i z prawdziwą ulgą powitałam Martę, która przed momentem przeszła przez to samo u siebie w domu. Z ponurymi minami ruszyliśmy do redakcji. Tuż przed drzwiami dostrzegłyśmy Mateusza. Nasz naczelny zachowywał się nieco dziwnie. W bardzo cudacznej pozycji, pochylony, przykładając ucho do dziurki od klucza. Zaintrygowane, podeszłyśmy do niego. Widząc nas, zamachał rękami i położył palec na ustach.

- Ktoś tam jest - zaszeptał konspiracyjnie.
- Może ktoś się włamał - odszepnęła Marta, robiąc się zielona na twarzy.
- Brałem to pod uwagę - mruknął Mateusz - ale ten ktoś jest raczej ranny.

Strasznie jęczy. Musi go coś bardzo boleć. Chyba że tam jest jeszcze ten włamywacz i właśnie go zabija.

- Powinniśmy wezwać ochronę - powiedziałam. - Swoją drogą to dziwne, że alarm nie zadziałał.

- Żadnej ochrony - warknął Mateusz. - Sami obezwładnimy złoczyńcę. Wyobraźcie sobie nagłówki w gazetach - zaszeptał przenikliwie. - Będziemy sławni.

Z powątpiewaniem popatrzyłyśmy na siebie z Martą. - A jak się tam chcesz dostać? - zapytałam.

- Drzwi są otwarte. Sprawdziłem. Uwaga dziewczyny, wchodzimy na trzy.

Nic nie musicie robić. W razie czego głośno krzycie, to ich wytrąci z równowagi.

- Jakich ich? - zapytałam bezradnie.

- No przecież nie wiadomo, ilu ich tam jest. Uwaga, raz, dwa, trzy! - powiedział i z dużym impetem otworzył drzwi.

Z zamkniętymi oczami wpadłyśmy do pomieszczenia i pomne zaleceń naczelnego, zaczęłyśmy wrzeszczeć jak opętane. W czasie tych wrzasków zdecydowałam się jednak uchylić powieki, a widoku, który ujrzałam, nie zapomnę do końca życia. Moim oczom ukazały się dwa gołe pośladki, ciasno oplatane nogami.

Ze zdziwienia zaprzestałam nawet wydawać gromkie okrzyki. Po chwili w pomieszczeniu zapanowała cisza, w której wszyscy gapiliśmy się na ten cudowny widoczek. Właścicielem gołych pośladków okazał się nasz Łucjan, nogi natomiast należały do pewnej pani od reklamy, która już od dłuższego czasu wodziła za Łucjanem łakomym wzrokiem. W nagłym ataku rozbawienia oparłam się o ścianę i krztusząc się ze śmiechu, zapytałam:

- No jak tam szefie, komu udzielamy pierwszej pomocy? Nie muszę chyba dodawać, że tego wieczoru nie wykonaliśmy żadnej pilnej pracy. Natomiast następnego dnia pewna pani od reklamy przyszła do redaktora naczelnego i dumnie oznajmiła, że ona nie może pracować w takich warunkach i odchodzi w trybie natychmiastowym. Nikt z tego powodu nie płakał, natomiast co do Łucjana, to nie zdecydował się on jeszcze wrócić do pracy. Telefonicznie usprawiedliwił się, że zachorował na zapalenie uszu. Przypominając sobie, jak strasznie wrzeszczałyśmy, jestem gotowa uwierzyć, że to prawda...

15 stycznia 2003

Najpierw spóźniał mi się okres, później spóźniał mi się okres, a na koniec... No, kto zgadnie? Pierwszego dnia wzruszyłam tylko ramionami, chociaż w mojej głowie włączył się sygnał alarmowy i pikał tam przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Po trzech dniach krążyłam po domu jak jedna wielka furia, trzaskając garnkami i usiłując przekonać samą siebie, że trzy dni to nie tragedia. Ze skruchą muszę przyznać, że wszyscy ucierpieli, a najbardziej Sebastian. Wieczorem, gdy Gosia już spała, przyszedł do kuchni i z rozkosznym mručeniem zaczął się do mnie przytulać. Odskokczyłam jak oparzona, wrzeszcząc:

- Nawet nie waż się mnie dotknąć!

- Chryste! - Mój mąż aż zachłysnął się z wrażenia. - Co ci się znowu stało?

-Wszyscy mężczyźni to podłe dranie - powiedziałam i ostentacyjnie odwróciłam się do niego plecami.

- A, po prostu masz okres - rzekł domyślnie. - Przedziwne, jak to od razu po was widać.

- Wiesz co - zaproponowałam, mierząc go dzikim wzrokiem - zajmij się czymś, ja ci dobrze radzę. O, skoś na przykład trawnik, dawno tego nie robiłeś.

- W styczniu?!

- I co z tego, że w styczniu? Trening czyni mistrza - warknęłam. - W każdym razie zajmij się czymś, bo ja teraz będę czytała - powiedziałam, chwytając pierwszą z brzegu książkę i jednocześnie płacząc rzewnie.

- A czemu, czytając Sienkiewicza, płaczesz? - zapytał z troską Sebastian.

- Zawsze chciałam zostać pisarką i trawi mnie zawodowa zazdrość - powiedziałam z rozpaczą i rozchlipałam się na dobre.

- Tak, to okres - powiedział tonem znawcy i uciekł z kuchni, uchylając się zręcznie przed ścierką, którą w niego rzuciłam.

Następnego dnia byłam właściwie pewna, że jestem w ciąży i prawie na pewno miałam poranne mdłości. Zrezygnowana powlokłam się do pracy, myśląc o tym, że niedługo znów stanę się wielka jak mamut i przez następny rok będę musiała pogodzić się z funkcją mlecznej krowy.

W pracy Marta przyglądała mi się uważnie, aż w końcu zapytała:

- Co jest, Natasza? Jakoś kiepsko wyglądasz.

Tego mi tylko było trzeba. Po jej słowach poczułam tak ogromną litość dla samej siebie, że natychmiast zaczęłam ryczeć.

- Nie jest dobrze - orzekła Marta i wyprowadziła mnie do ubikacji. - No co jest? Gadaj!

- Chyba jestem w ciąży - wychlipałam.

- O Boże - zdenerwowała się natychmiast - jesteś pewna?

- Przecież powiedziałam chyba - szepnęłam, bulgocząc nosem. - Ale ja nie chcę... Czuję się jak inkubator z ogromnym jajem w środku i aż cierpnę na samą myśl, co będzie, jak z tego jaja...

- Przestań mi tu chrzanić o jakichś jajach - przerwała mi.

-I beczeć też przestań

- dodała rozkazująco. - Pobeczysz sobie, jak będziesz pewna. A teraz idź do najbliższej apteki i kup sobie test ciążowy. No już!

Wytłumaczę cię przed Mateuszem.

Zgodnie z jej radą kupiłam test, po czym poszłam do domu i położyłam ten mały przedmiot przed sobą na stole. Przesiedziałam tak chyba z godzinę, aż test zaczął kojarzyć mi się z puszką Pandory i postanowiłam jednak go nie otwierać.

Wieczorem zadzwoniła do mnie Marta.

- No i co? - zapytała pełnym napięcia głosem.

- Co co? - mruknęłam do słuchawki, chociaż dokładnie wiedziałam, o co chodzi.

- Kupiłaś?

- Kupiłam - potwierdziłam. - Ale nie zrobiłam - dodałam natychmiast, by uprzędzić dalsze pytania.

- Kretynka! - wrzasnęła. - Masz zrobić, ale już! Przecież to bez sensu tak się denerwować.

- Nie mogę, za bardzo się boję. Nie będę miała odwagi spojrzeć. Jutro zrobimy go razem.

- Skretyniała wariatka - skwitowała mnie moja przyjaciółka i odłożyła słuchawkę.

Następnego dnia rano obudziłam się potwornie głodna i z ogromną ochotą na ogórki kiszzone. To zapewne moje dziecko domagało się czegoś kwaśnego. Poczułam się jakby pogodzona z sytuacją, toteż bez zwłoki powędrowałam do kuchni, gdzie zjadłam pół kilo ogórków i dwa śledzie marynowane. Jak na tak małą istotkę, moje potencjalne dziecko ma ogromny apetyt. Zanim przyszła Marta, wchłonęłam jeszcze makaron z sosem pieczarkowym, a potem, przypomniawszy sobie, że dzieciak powinien dostać coś zdrowego, wypiłam trzy szklanki soku pomarańczowego i zjadłam jabłko. Wtedy nagle poczułam, że jest mi strasznie niedobrze, ale Marta, która siedziała już jakiś czas na stołku w kuchni, powiedziała stanowczo, że rzyganie mam odłożyć na później, a teraz mam zrobić w końcu ten test. Więc poszłam i zrobiłam. Z miną męczennicy podałam jej pudełeczko i z napięciem wpatrzyłam się w jej twarz.

- No cóż, moja droga - powiedziała z nagle rozjaśnioną twarzą - z całą pewnością stwierdzam brak ciąży.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziałam bezradnie. - To dlaczego jest mi tak niedobrze?

-Każdy by miał mdłości, gdyby zjadł to wszystko, co ty dzisiaj.

Po krótkim namyśle przyznałam jej rację. I nagle poczułam, że na kiszono ogórki nie spojrzę przynajmniej przez następny miesiąc.

22 stycznia 2003

To, co w piątkach jest najlepsze, to to, że są one tuż przed weekendem. Po przyjściu z pracy do domu zrobiłam sobie herbatę i zamierzałam poleniuchować.

Należało mi się, zresztą nadal byłam pogrążona w rozpacz po utracie urojonego dziecka. Przez tych kilka dni przyzwyczaiłam się do myśli, że będę mamusią po raz drugi. A tu taka złośliwość losu! Marta, gdy zwierzyłam się jej ze swoich uczuć, popukała się w czoło i powiedziała, że zacznie się do mnie odzywać, gdy w końcu znormalnieję. A ja tymczasem byłam coraz bardziej rozżalona na cały świat. Zaczęłam wyobrażać sobie słodkie dzieciątko z do-łeczkami w policzkach i z wyciągniętymi pulchnymi rączkami. Oczywiście rozsądek podpowiadał mi, że jest to obraz wysoce wyidealizowany i przypominał, że ten okaz, który miałam okazję wychowywać, różni się od tego z moich myśli zasadniczo. Koniec końców postanowiłam piątkowe popołudnie przesiedzieć w fotelu i wysmucić się do woli. Gosia była u swojej koleżanki, Sebastian miał wrócić późno z pracy, byłam więc zupełnie sama. Nagle z tej miłej ciszy i samotności wyrwał mnie dzwonek do drzwi. Z westchnieniem poszłam otworzyć. Za drzwiami stała moja mama.

- No cześć, córeczko - powiedziała, wchodząc do przedpokoju. - Co jesteś taka markotna?

- No cóż, ktoś musi być markotny, by weselić się mógł ktoś - odpowiedziałam ponuro; widocznie samotność i spokój nie są mi pisane.

- Oj, kochanie, to wszystko dlatego, że pesymistycznie patrzysz w przyszłość - powiedziała i poklepała mnie po plecach, aż mi w krzyżu jęknęło.

- Za to ty jesteś radosna jak skowronek - powiedziałam, z trudem dochodząc do siebie i przyglądając się mojej matce uważnie.

Wyglądała na nienaturalnie ożywioną.

- Och, bo właśnie doszłam do wniosku, że trzeba zacząć korzystać z życia - zaczęła, a ja spostrzegłam, że ma umalowane na wściekle czerwony kolor usta. Coś tu było wyraźnie nie tak: do tej pory moja mama nie znosiła czerwonych pomadek. -Po prostu nadszedł czas na zmiany - dodała i okręciła się w kółko, co wprawiło mnie w stan paniki, bo przedpokój mam niewielki, a mama jest kobietą puszystą. W ostatnim momencie zdołałam uskoczyć w kąt, dzięki czemu udało mi się uniknąć stratowania.

- Mamo, o co tu chodzi? - wychrypiałam z kąta, bo jakoś nie miałam odwagi go opuścić. -Postanowiłam zacząć dbać o siebie - odparła lekko. -I o tatusia też - dodała.

- Oooo... - udało mi się wykrztusić. - A co on na to?

- Opiera się, rzecz jasna - powiedziała mama beztrasko.

-Ale niebawem się podda.

- Hm... A na czym ma polegać to dbanie w jego wypadku? - zaciekawiałam się, myśląc o tacie ze współczuciem.

- No wiesz, zapisałam go do kosmetyczki i na aerobik, ale...

- O Boże! - wyrwało mi się; wyobraziłam sobie mojego ojca, byłego wojskowego, podskakującego wśród stada spoconych kobiet. - I co?

- No i nic. Twój ojciec jest uparty jak osioł - powiedziała z niezadowolaniem. - Powiedział, że mogę wybić sobie z głowy te wszystkie idiotyczne pomysły. Ale przecież nie o tym miałam mówić. Przyszłam, żeby zapytać, czybyś nie chciała pójść ze mną na aerobik. Zapisałam siebie i tatę do odpowiedniej grupy wiekowej, ale mówiłam, że zabiorę ze sobą córkę. Wszystkie panie były zachwycone.

- Nie, mamo, nie chciałabym - zaprotestowałam nieśmiało, wychodząc z kąta.

- Wiedziałaś, że się zgodzisz - powiedziała moja rodzicielka, jakby nie słysząc odpowiedzi, jakiej przed momentem udzieliłam. - Moje pytanie to tylko formalność.

- Nie chcę chodzić na żaden aerobik - powtórzyłam dobitnie i cała aż zatrzęsłam się ze zgrozy, gdy wyobraziłam sobie siebie w otoczeniu trzydziestki starszych pań, obgadujących siebie nawzajem i rozpoczynających każde zdanie od: „Kiedy ja byłam młoda...”. Brr, święta zgroza.

- No wiesz? - Mama patrzyła na mnie wzrokiem pełnym potępienia. - Zupełnie jakbym słyszała twojego ojca. Już wiem, po kim jesteś tak uparta! O, nawet patrzysz na mnie takim samym wzrokiem jak on.

- To bardzo dobrze mamo - odpowiedziałam już nieco zirytowana. - Ciesz mi to podobieństwo, bo to niezbity znak, że na pewno jestem jego córką.

- Wiesz, nigdy nie rozumiałam tych waszych żartów - powiedziała mama wyraźnie urażona. - To na pewno nie chcesz iść ze mną na ten aerobik?

- Za nic na świecie.

- No trudno, będziesz żałować. Idę już, bo muszę jeszcze pobiegać; przebiegnę kilka razy wokół waszego domu, umówiłam się pod waszą bramą z koleżanką.

Ledwo zamknęłam za nią drzwi i ochłonęłam trochę po tych wszystkich rewelacjach, dzwonek zadzwonił ponownie. Otworzyłam i wbrew moim obawom nie zobaczyłam za drzwiami mamy, ale mojego męża.

Sebastian wszedł, oparł się o ścianę i powiedział:

- Powiedz, że ze mną jest wszystko w porządku i że nie zwariowałem. Przed chwilą na naszym trawniku widziałem dwie obfite postacie, które podskakiwały i robiły pajacyki. Jestem prawie pewien, że jedną z nich była moja teściowa.

Płacząc ze śmiechu, pomyślałam, że może to i dobrze, że nie jestem jednak w ciąży, bo jeśli wziąć pod uwagę nastrój mojej mamy i jej aktualne poglądy,

mogłaby mi kazać rodzić w pozycji stojącej z rękami przywiązanymi do drabinek gimnastycznych.

29 stycznia 2003

Po ostatniej wizycie mamy intensywnie zaczęłam się zastanawiać, co skłoniło ją do tak diametralnej zmiany stylu życia. Po kilkudniowej męczarni postanowiłam w końcu zadzwonić do taty po jakieś informacje. Wprawdzie robiłam to z pewną dozą niechęci, a nawet strachu, bo w domu moich rodziców to zwykle mama odbierała telefon i cierpiałam na myśl o tym, co mi tym razem zaproponuje. Po wykręceniu numeru najpierw bardzo długo nikt nie podnosił słuchawki, co samo w sobie było niepokojące, bo zwykle mama odbierała w tempie, które wskazywało na to, że jej celem życiowym jest czatowanie na dzwonek telefonu. Gdy w końcu ktoś podniósł słuchawkę, głos, który się w niej odezwał, nie był na pewno głosem mojej mamy, ale należał do jakiegoś przygnębionego starca. Zbita z tropu bardzo ładnie się przedstawiłam i zapytałam o tatę.

- Ależ to ja, córeczko - odpowiedział głos, który się nieco ożywił i rzeczywiście zaczął przypominać głos mojego ojca.

- Cześć tato! - Uśmiechnęłam się do słuchawki. - Co porabiasz?

- A nic takiego. - Głos w słuchawce znowu przygasł. - Oglądam sobie telewizję w przedpokoju.

- W przedpokoju? - zdziwiłam się. - Od kiedy telewizor stoi w przedpokoju?

- Od momentu, kiedy mama z innymi paniami, którym nagle wydało się, że są nastolatkami, założyła klub o wdzięcznej nazwie Mimo Zmarszczek Wiecznie Młode.

- Klub? Ale co do tego ma telewizor?

- A ma, jak widzisz. Wczoraj mama oznajmiła, że telewizor jest wrogiem młodości, skłania do gnuśności i powoduje stetryczenie, czego wyraźny dowód widzi we mnie. I że to straszne urządzenie nie może stać w pokoju, w którym ona z innymi wariatkami odbywa zebrania. No i telewizor wyłądował w przedpokoju. A ja solidarnie podążyłam za nim. Zresztą to jedyne miejsce, gdzie nie ma tych ohydnych bab, które ciągle podskakują, chichoczą i nieustannie pytują ozorami.

- Boże, biedny jesteś - powiedziałam pełnym współczucia głosem. - Ale co spowodowało w mamie aż tak radykalne zmiany?

- Wszystkiemu winna jest Olga. Wiesz, ta dawna koleżanka mamy.

- No tak, ale ona jest chyba za granicą.

- Niestety - wyjęczał do słuchawki mój ojciec. - Niestety, powinnaś użyć czasu przeszłego. Była i właśnie wróciła. W tym całe nieszczęście. Przywiozła ze sobą swojego męża i jakiegoś przyjaciela rodziny, na którego punkcie mama zwariowała. Już w czasie pierwszej wizyty ten przerośnięty mięśniak zaczął narzekać, że społeczeństwo u nas jest niewysportowane, ale natychmiast dodał,

patrzac na mame, ze kobiety sa piekne jak nigdzie. No i mama wziewla sobie do serca jego uwagi.

- Czy ty mi chcesz powiedziec, ze mama leci na tego jak mu tam?

- Niestety, tak mi sie wydaje - odpowiedzial smutno moj tata. Slyszac rezygnacje w jego glোসie, az zazgrzytalam zebami.

- Dawaj mi ja - zazadalam. -Kogo?

- No te kobiete, ktora byla moja matka, dopoki nie zwariowala. Spróbujem przemowic jej do rozsadku.

- Na pewno wiesz, co robisz?

- Oczywiscie - powiedzialam stanowczo, chociaz w duchu wcale nie czulam takiej pewnosc.

- No dobrze, ale pamietaj, sama chciaas - odpowiedzial zlowrozbnie i krzyknal do mojej matki, zeby podeszla do telefonu.

- Slucham? - zacwierkal po chwili jej glос.

- Witam - odpowiedzialam zimno. - To ja, twoja stetryczala corka. Poznajesz mnie jeszcze? Kiedyś mnie urodzilas, to byly czasy, gdy posiadanie telewizora uwazalas za niezwykly luksus.

- O moja droga - glос od razu stracil na slodczy - widzem, ze ojciec juz ci sie poskarzyl.

-Nic takiego nie powiedzial, poza zaznajomieniem mnie z pewnymi faktami.

Co ci przeszkadza telewizor, co?

- Sdzac z twojej pierwszej wypowiedzi, powiedzial ci tez, co myslę o tym urzadzeniu. A mowilam: oddac biednym.

- To co, biedni moga byc nie wysportowani i zgnuśniali? -zapytalam. - Bo co, bo biedni, to moga byc z tego powodu uposledzeni jeszcze inaczej? - Pytanie widocznie bylo celne, bo w sluchawce zapanowala cisza.

Korzystajac z niej, powiedzialam:

- Coś w twojej filozofii zyciowej szwankuje, droga mamusiu. I uwazaj, zebyś nie przegiewla, bo potem bedziesz zalowac. - Nie będe z toba rozmawiala w ten sposob - powiedziala moja matka obrazonym tonem i rzucila sluchawka. Do tej pory tego nie robila. Ale tez nigdy dotad nie malowala sie czerwona pomadka, nie cwiczyla jak szalona i nie wyrzucala niewinnych telewizorow z pokoju. Czulam sie tak, jakbym stracila matke. Gdy wieczorem opowiadalam to wszystko Sebastianowi, ten patrzyl na mnie okraglymi ze zdziwienia oczami. W glowie mu sie nie mieścilo, ze ktos moglby chciec wyrzucic jego najlepszego przyjaciela. Zaraz tez poszedl zadzwonic do mojego taty, by dac mu do zrozumienia, ze sie z nim calkowicie solidaryzuje. Potem przez reszte wieczoru patrzyl na mnie w sposob, jakby i mnie za chwile mialo dopasc jakies szaleństwo.

W koncu nie wytrzymalam i zapytalam, o co mu chodzi.

- A nic, tylko tak sobie myslę, ze cwiczenia nie na wszystkich maja

pozytywny wpływ. W twojej rodzinie są szczególnie niebezpieczne. Zapamiętaj: żadnego aerobiku.

Następnie stanął przed telewizorem, jakby chciał zasłonić go własnym ciałem.

2 lutego 2003

Zostałam sierotą. Moja mama zwariowała. Mój ojciec zaginął. Jestem duchowo osierocona. Dzisiaj rano jeszcze nie zdążyłam zwlec się z łóżka, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Zadzwieczyła kilka razy, a dźwięk miał tak agresywny, że jeszcze zanim otworzyłam, już zaczęły mnie nękać złe przeczucia. Na progu stała chyba moja mama. Chyba, bo osoba, którą zobaczyłam, była wściekle ruda i najwyraźniej miała w ustach gumę. Zamrugałam gwałtownie oczami, myśląc, że to majaki senne, ale obraz pozostał niezmienny. Moja mama nie znosiła rudego i wprost dostawała alergii, gdy ktoś przy niej poruszał w ten sposób ustami. Nigdy tego nie rozumiałam aż do teraz. Teraz już wiedziałam, że rudy jest okropny i obiecałam sobie w duchu, że zaraz wyszukam wszystkie nadające się do żucia substancje, które poniewierały się w domu, i usunę je raz na zawsze. Nie zdążyłam jeszcze wyrzec słowa, gdy moja matka bezceremonialnie wepchała się do przedpokoju i dramatycznie krzyknęła:

- Gdzie on jest?! Dawaj mi go natychmiast!

Zbaraniałam. Patrzyłam z otwartymi ustami na tę dziwną rudą osobę i nie mogłam powstrzymać się od gwałtownego mrugania oczami.

- No, nie udawaj takiej zdziwionej! Gdzie on jest, mów!

- Kto? - zdołałam wydukać, jednocześnie zastanawiając się, czy do takich przypadków wzywa się policję czy psychiatrów.

- No jak to kto? Twój ojciec, rzecz jasna! - darła się moja mama.

Zwabiona jej wrzaskami z głębi domu nadciągała reszta mojej rodziny. Pierwsza pojawiła się Gosia. Obrzuciła swoją babcię uważnym spojrzeniem i na jej małą twarzyczkę wypłynął wyraz paniki, który za chwilę zamienił się w zachwyty.

- Babciu! - zawołała moja córka z euforią. - Jak ty cudownie udajesz Babę-Jagę!

Mamusiu, ja się tak przebiorę na bal przebierańców, dobrze?

- Boże, o co chodzi temu dziecku? - chciała wiedzieć moja mama.

- No cóż - wybąkałam. - Ona jedna odważyła się powiedzieć „cesarz jest nagi”.

A czy ty teraz możesz wyjaśnić mi, o co chodzi tobie?

- Co tu się dzieje? - przerwał mi mój mąż, który przyczłapał zaspany z pokoju i spojrzeniem wyrażającym grozę przypatrywał się mojej matce.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

- Jak to nie masz pojęcia? - zapytała moja rodzicielka, patrząc na mnie spod mocno umalowanych i zmrużonych gniewnie powiek. - Chcę tylko zobaczyć się z twoim ojcem, który jak ostatni tchórz uciekł dzisiaj w nocy z domu. Pytam po raz ostatni, gdzie on jest?

- Jak to uciekł? - zapytałam, czując w głowie coraz większy mętlik.

- Wcale mu się nie dziwię - wtrącił ponuro mój mąż, w którym widocznie obudziło się czarne poczucie humoru. - Gdybym ja mamusię zobaczył wieczorem z tymi włosami, też bym wiał, aż by się kurzyło. Ale niestety, muszę mamę rozczarować - ciągnął dalej - ojca tu nie ma.

- Babciu, co zrobiłaś dziadkowi? - zapytała oskarżycielsko Gosia, wbijając spojrzenie błękitnych ślepek w jej twarz.

- Jak to nie ma? - Moja mama nagle oklapła. - Jak to nie ma? To gdzie on może być?

- Co zrobiłaś dziadkowi? - W oczach Gosi pojawiły się łzy.

- Nic mu nie zrobiłam! - krzyknęła moja matka. - No, prawie nic - dodała ciszej i spuściła głowę jak skruszone dziecko.

- Co to znaczy „prawie”? - zapytałam groźnie.

- Oddałam telewizor sąsiadowi. Nawet nie chciał go wziąć, ale ja przecież robiłam to dla jego dobra!

- Dla dobra sąsiada? - zapytał Sebastian, który spojrzawszy na mnie, popukał się znacząco w czoło.

- Dla dobra ojca! - krzyknęła matka i się rozpląkała.

- No i to właśnie miałam na myśli, gdy mówiłam, że w końcu przegniesz - powiedziałam ponuro. - Wcale nie dziwię się ojcu, że sobie od ciebie poszedł - dodałam bezlitośnie.

- Ale co ja mam teraz zrobić? - chlipała mama, trzęsąc rudą głową.

- Nie wiem, może idź do domu. Może tata zdecyduje się wrócić. Ja w każdym razie muszę iść do pracy. A i radziłabym ci zmyć z włosów tę straszną barwę - dodałam i z bólem głowy udałam się do redakcji. Wracając z pracy, wstąpiłam do pana Piotra, sąsiada mamy i taty, i skłoniłam go, by oddał mi telewizor ojca. Patrzył na mnie ze współczuciem i potem, gdy czekałam na taksówkę, poklepał mnie pocieszająco po ramieniu i cicho powiedział:

- No wie pani, nie ma co się przejmować, pani matka pewnie przekwita, jest szansa, że to z czasem minie. Nie wiem dlaczego, ale ta wypowiedź niesamowicie mnie zezłościła i spowodowała, że miałam ochotę powiedzieć mu masę nieprzyjemnych rzeczy. Roztropnie jednak milczałam. Jeszcze, nie daj Boże, zmieniłby zdanie i nie oddał telewizora? Gdy gramoliłam się z taksówki, ciągnąc ciężkie pudło, spostrzegłam, że przed domem siedzi jakaś skulona postać. To był mój ojciec.

- Cześć córeczko - powiedział, patrząc na mnie wzrokiem zbitego spaniela. - Chciałem zapytać, czy mogę się u ciebie na jakiś czas zatrzymać?

No i co ja mu mogłam odpowiedzieć? Przynajmniej nie jestem już sierotą, tylko półsierotą. Dobre i to.

12 lutego 2003

Tata zamieszkał u nas. Już pierwszego dnia, piastując czule w objęciach odzyskany telewizor, zapowiedział mi, że po kres swoich dni nie chce mieć do czynienia z tą przebrzydłą, wypłowiałą, starą rudą wiewiórką.

Z trudem przyjełam do wiadomości, że mówi o swojej żonie, a mojej matce. Jednak trudno było nie przyznać mu choć w części racji. Mama na pewno była ruda.

Co do reszty, to choć niezupełnie się z nim zgadzałam, postanowiłam na razie zachować swoje poglądy dla siebie i dać mu spokojnie dojść z tym wszystkim do ładu.

Tego samego dnia zadzwoniłam wieczorem do mamy, by powiadomić ją, że ojciec jest cały i zdrowy. Byłam przygotowana, że odbierze natychmiast, a jej głos tchnąc będzie niepokojem i skruchą. Tymczasem czekałam dobre pół minuty, zanim ktoś łaskawie podniósł słuchawkę, a głos, który w niej usłyszałam, na pewno nie był oszalały z niepokoju. Raczej był pełen ćwierkających tonów.

- To ty mamó? - zapytałam niepewnie.

- No pewnie, że ja. Chciałam cię przeprosić za to poranne najście. Dałam się ponieść uczuciom.

- Jak to! To ty w ogóle się nie martwisz o tatę?

- Już nie. Wiesz, Wiktor wytłumaczył mi, że to normalne u mężczyzn w jego wieku. Zachował się nieodpowiedzialnie i samolubnie.

Ani przez moment nie pomyślał o mnie.

- To też powiedział ci ten Wiktor? - zapytałam. - I kto to w ogóle jest?

Zanim usłyszałam odpowiedź matki, z głębi jej mieszkania doleciał mnie stłumiony męski głos:

- Z kim tak długo rozmawiasz, słonko? Chodź, bo tęsknimy.

- Już, już Wiktorze! - zaćwierkała moja matka, a ja poczułam się nagle tak, jakby wokół mnie istniała jedynie próżnia. Tej kobiecie zaginął mąż, a ona jakby nigdy nic mile spędzała czas z jakimś obleśnym Wiktorem. W głowie mi się to wszystko nie mieściło.

- Wiktor, kochanie - usłyszałam spokojny głos swojej rodzicielki - jest przyjacielem mojej przyjaciółki, która wróciła ze Stanów. I muszę dodać, że jest prawdziwym mężczyzną. Kończę już, nie chcę okazać się nieuprzejmą panią domu.

Cześć, kochanie. - I odłożyła słuchawkę, a ja stałam przy telefonie, wymyślając jej w duchu od starych, wyliniałych rudych wiewiórek. Jeszcze nie zdążyłam ochłonąć, gdy przede mną zjawiała się Gosia.

- Mamusiu - zapytała - czy dziadek rozwiedzie się z babcią? No tak, pomyślałam, cała ta sytuacja zdenerwowała moją córkę i wprowadziła chaos w jej

mały świat.

- Nie, kochanie - odpowiedziałam stanowczo. - Dziadek nie rozwiedzie się z babcią. - Myślałam, że to ją uspokoi. Tymczasem moje dziecko zrobiło nieszczęśliwą minę i powiedziało:

- O... To szkoda! -Co takiego?!

- No, tak. Rodzice mojej koleżanki z przedszkola się rozwodzą - mówiła Gosia beztrąsko - i wiesz, jak ona ma teraz dobrze? Wszystko jej kupują i może jeść tyle słodczy, ile zechce. Może jest jednak jakaś nadzieja na ten rozwód, co?

-Boże!

Tylko tyle zdołałam powiedzieć i pomyślałam, że świat wokół mnie zwariował.

Poszłam do pokoju gościnnego, gdzie ulokował się tata. Zastałam go z pilotem w ręku i z nieszczęśliwą miną.

-Tato - zaproponowałam nieśmiało - może byś jednak skontaktował się z mamą.

Może wrócił jej zdrowy rozsądek...

- Nie ma mowy, twoja matka przekroczyła wszelkie granice przyzwoitości.

Nic nie powiedziałam, ale w duchu przyznałam mu rację. Poszłam do kuchni i pomyślałam, że zaraz zwariuję. Chyba że zacznę bardzo głośno krzyczeć albo się upiję, albo włożę głowę do zmywarki do naczyń, albo...

No, pomysłów mi nie brakowało, tyle że żaden na dobrą sprawę nie nadawał się do zrealizowania. W związku z tym postanowiłam położyć się do łóżka.

Przechodząc koło pokoju Gosi, zauważyłam, że coś rysuje.

- Co robisz? - zapytałam.

- Listę słodczy, dla babci. Później narysuję dla dziadka. Przecież dziadek nie mieszka z babcią tylko z nami, a to prawie jak rozwód, prawda?

No tak. By się jakoś pocieszyć, zajrzałam do pokoju, gdzie Sebastian grzebał w akwarium. Ledwo otworzyłam usta, machnął niecierpliwie ręką i ze wzrokiem wbitym w zielonkawą wodę mruknął:

- Cicho, właśnie próbuję rozmnożyć glonojady. Muszę go tylko umieścić...

Nie słuchałam dalej. Naprawdę wołałam nie wiedzieć, gdzie, kogo i na kim chce umieszczać. Oczami wyobraźni ujrzałam mojego ojca w pokoju tulącego do siebie pilota, moją rudą matkę z tajemniczym Wiktorem, dziecko rysujące z zapalem listę słodczy dla potencjalnie rozwiedzionych dziadków i mojego męża rozmnażającego własnoręcznie glonojady. Wizja była tak koszmarna, że z jękiem zakryłam głowę kocem i obiecałam sobie, że wyjdę spod niego, dopiero kiedy ten dom przestanie przypominać dom wariatów.

20 lutego2003

W tym tygodniu piątek wcale mnie nie cieszył. Szczerze mówiąc, jawił mi się jako koszmar i chętnie zostałabym w pracy i przespała się na twardej redakcyjnej kozetce. Marta, wtajemniczona w moje domowe problemy, litościwie zaproponowała mi nocleg u siebie, ale moje poczucie odpowiedzialności nie pozwoliło nawet pomyśleć o takim rozwiązaniu. Musiałam wrócić do mojego osobistego piekielka.

Tata oczywiście mieszkał nadal z nami. Mama, kiedy w końcu udało mi się ją powiadomić, że jej mąż mieszka u mnie, ze wzgardą wydeła usta i powiedziała, że w ogóle nie wie, o kim mówię. Tata natomiast, wiedziony jakimś źle pojętym poczuciem wdzięczności, zaczął rozpieszczać niemożliwie Gosię, która dzisiaj rano oświadczyła, że nie idzie do przedszkola, bo woli zostać z dziadkiem. Gdy stanowczo zaprotestowałam, tata powiedział, żebym nie przesadzała i pozwoliła dziecku odetchnąć od tego brutalnego świata. Kiedy zaś napomknęłam o kształtowaniu poczucia obowiązku, mój własny ojciec tylko machnął ręką i zamknął się z moją własną córką w pokoju. Z poczuciem druzgocącej klęski pedagogicznej powędrowałam do pracy. Wracałam z niej w nie lepszym nastroju. Przed furtką pożegnałyśmy się z Martą, obiecując sobie solennie, że jak tylko wszystko się pozytywnie rozwiąże, upijemy się na umór. Analizując swoje uczucia, doszłam do wniosku, że gdybym dysponowała większą ilością czasu, to jak nic zostałabym nałogową alkoholiczką. W obecnej sytuacji na pewno mi to nie groziło. Gdy otworzyłam drzwi, moim oczom ukazał się widok, jakiego nie mogłabym wyśnić w najgorszych koszmarach. Na środku przedpokoju coś się kłębiło, wydając co chwila zduszone miauknięcia i przeraźliwe gulgoty. Nagle z tego kłębowiska wystrzelił jakiś kudłaty kształt, który runął prosto na mnie, zbił mnie z nóg i zniknął w głębi naszego ogrodu. Podnosząc się z podłogi, miałam okazję na własnej skórze się przekonać, że człowiek w istocie posiada kość ogonową. Ledwo stanęłam na nogach, z pokoju wypadła jakaś kobieta, krzyząc:

- Łap go, nie daj mu uciec!

- Kogo? - odkrzyknęłam, zastanawiając się, czy na pewno trafiłam do właściwego domu i jednocześnie rejestrując, że głos kobiety brzmi znajomo.

- No tak, już za późno, Gryzoń uciekł - powiedziała kobieta i odwróciła się do mnie przodem. W tej chwili rozpoznałam w niej Ewelinę, którą kiedyś poznaliśmy z Sebastianem na wczasach i z którą o dziwo do tej pory utrzymywaliśmy kontakty.

Po obowiązkowych okrzykach powitalnych, kilkunastu zwyczajowych ochach i achach zapytałam ją, co tutaj robi.

- Przyjechałam na kilka dni w interesach - odparła tak słodkim tonem, że

natychmiast zaczęłam przeczuwać jakieś komplikacje. Jak się zaraz okazało, całkiem

słusznie. - Wiesz, tutaj u was nie ma żadnego porządnego hotelu, a Warszawa jest taka droga... Tak sobie pomyślałam, że może mogłabym zatrzymać się u was. Nie na długo, na trzy, cztery dni... Co ty na to? Sebastian już się zgodził.

- No cóż, skoro Sebastian już się zgodził - powiedziałam, usilnie starając się, by mój głos brzmiał normalnie i broń Boże nie zaczął przypominać warczenia - to i ja nie mam innego wyboru.

- Mam nadzieję, że Gryzoń trafi z powrotem - Ewelina paplała jak najęta - bo bardzo przstraszył się tych twoich kotów. Swoją drogą to strasznie niewychowane i agresywne stworzenia.

Spojrzałam na nią, jakby spadła z księżyca, a następnie rzuciłam się w głąb mieszkania na poszukiwanie swoich pupili. Koty znalazłam wciśnięte za kanapę, skąd po długim kicaniu udało mi się je wywabić. Z narastającą furią zauważyłam, że Żaba ma rozdarte ucho, a Oprych stracił sporo sierści na ogonie. Zgrzytając zębami, odszukałam Sebastiana, który z rozanieloną miną siedział przed telewizorem i chrupał chipsy.

- O, cześć słoneczko - powiedział nieuważnie. - Widziałaś się już z Ewelina?

- A tak, miałam okazję. Miałam też bliski kontakt z jej psem. I właśnie chciałam zapytać, kto wpuścił to bydlę do domu?

- No przecież nie mogłam wpuścić jej bez psa - powiedział mój mąż. - Przy okazji twoje koty miały trochę rozrywki.

- Lepiej by było, żebyś wpuścił psa bez niej - warknęłam. - Jego przynajmniej można by było wyrzucić. Co do kotów, to jeżeli to bydlę jeszcze raz tknie któregoś z nich, ja postaram się, by to przemile stworzenie zapoznało się z twoimi rybkami.

One też nie cierpią na nadmiar rozrywek.

- Muszę ci powiedzieć - rzekł z niesmakiem mój mąż - że ostatnio twój charakter stracił nieco na wrodzonej słodyczy.

Obrzuciłam go tylko morderczym spojrzeniem i ruszyłam do kuchni, skąd dobiegał mnie beztronski szczebiot mojego dziecka. Gosia siedziała na podłodze i mówiła do siebie.

- Co ty tam mówisz? - zapytałam.

- Powtarzam rzeczy, które dziadek kazał mi powiedzieć babci - odpowiedziała Gosia.

- Jakie rzeczy? - zapytałam z niepokojem.

- No, że jest ohydną wiedźmą, starą satrapą i takie tam.

Dziadek obiecał mi za to trzy paczki cukierków.

- O nie - jęknęłam. Muszę poważnie porozmawiać ze wszystkimi. Ale z pełną świadomością odłożyłam to zadanie na jutro. Dziś przekraczało to moje możliwości.

28 lutego 2003

Co jak co, ale ja po śmierci na pewno pójdę prościutko do nieba. Właściwie, biorąc pod uwagę wszystkie zaistniałe okoliczności, to powinnam tam pójść już za życia. A może Bóg szuka po prostu współczesnej Hiobowej i mnie wybrał, bym przyjęła z pokorą wszystkie plagi, które spadną na mój dom? Plagi obecnie są trzy.

Nazywają się: tata, Ewelina i Gryzoń. Interesy Eweliny przedziwnie się przeciągnęły, na skutek czego mieszka ona nadal z nami. Razem z moim tatą, który sprawia wrażenie całkowicie zadomowionego, rzną przez większą część dnia w karty.

Gryzoń, zapewne by zagwarantować sobie zajęcie przez ten czas, gania moje koty po całym domu, tratując przy tym co popadnie. Wieczorami natomiast Ewelina ogląda mecze z moim mężem i razem wydają przy tym dzikie okrzyki. Wszystko to wydaje mi się wysoce niepokojące. A już szczytem wszystkiego było dzisiejsze popołudnie, gdy wróciłam z pracy i zastałam we własnej kuchni Ewelinę, która w moim fartuszkach zalotnej pokojówki gotowała obiad. Z pretensją wypisaną na twarzy pomaszero wałam do pokoju, gdzie mój mąż stosował właśnie długą i czułą przemowę do rybek, i z narastającą furią zapytałam:

- Co ona robi w mojej kuchni? I dlaczego ubrała się w mój fartuch? Gadaj! - zażądałam, dusząc się prawie z wściekłości.

- O co ci znowu chodzi? - zapytał Sebastian, niewinnie mrugając oczami, czym wyprowadził mnie całkowicie z równowagi. - Przecież nic się takiego nie dzieje. Dziewczyna postanowiła ugotować obiad i tyle.

Zresztą, moim skromnym zdaniem, bardzo to słuszne postanowienie - dodał, przełykając głośno ślinę. - Co do fartuszka - ciągnął - to pożyczyla twój, bo jak przypuszczam, nie zabiera się własnego w podróże służbowe.

- No to, jeżeli nie jestem wam potrzebna - warknęłam - pójdę do Marty na kawę.

Skoro jest już obiad, ja do niczego się tutaj nie przydam.

Szczerze mówiąc, spodziewałam się gorących protestów i zaprzeczeń. Tymczasem ta podła gadzina, ten obmierzły ropuch mój mąż spojrział na mnie z roztargnieniem i powiedział:

- A wiesz, masz rację. Wykorzystaj ten wolny czas. W sumie tak mało masz rozrywek.

Oniemiałam. Jak to? Nie zatrzymuje mnie? Nie chce, żebym została? Po prostu wyrzuca mnie z domu! Drań, podlec i padalec! Jak tak, to tak - pomyślałam sobie i bez słowa poszłam do przedpokoju. Przez uchylone drzwi pokoju taty zobaczyłam Gosię - siedziała u dziadka na kolanach i słuchała czytanej głośno książeczki. No tak, ona też mnie nie potrzebuje - przemknęło mi przez głowę, a pod

powiekami poczułam nadpływające łzy. Jak szalona wypadłam z domu i pobiegłam do Marty. Gdy do niej dotarłam, byłam cała zaryczana. -O Chryste, co się stało? - zapytała, wpuszczając mnie do przedpokoju. Krótko zreferowałam jej zaistniałą sytuację.

- No tak. - Marta pokiwała głową i wcisnęła mi w rękę kieliszek wina. - Zawsze uważałam, że ludzie są terytorialistami. Po prostu ktoś wszedł na twój teren. Dlatego się wściekasz. Zresztą, nie ma w tym nic dziwnego. Ja bym rozerwała tę larwę na strzępy. Ty, a może... - Marta zamilkła, wpatrując się intensywnie w moje oczy. -No co może? - zapytałam zniecierpliwiona, podstawiając jej pusty kieliszek.

- Może - podjęła, wpatrując się we mnie tym dziwnym wzrokiem - ona podrywa Sebastiana. Może chce go uwieść w twoim własnym domu, co?

- Ze też ja o tym nie pomyślałam! - krzyknęłam i jednym haustem wypiałam pół kieliszka. - No, ale co ja mam w tej sytuacji zrobić? - zapytałam bezradnie.

- Wyrzuć ją - poradziła mi Marta, pociągając prosto z butelki, a następnie wyciągnęła ją w moją stronę. Przyjęłam ją bez słowa i nagle poczułam się jakby ciut lepiej. Wino szumiało mi w głowie i nagle cała ta tragiczna sytuacja wydała mi się niesamowicie śmieszna. Zaczęłam więc najpierw chichotać, a potem popatrzyłam na Martę, która aż dusiła się od śmiechu. Po chwili obie tarzałyśmy się po kanapie.

- Czy wiesz - kwiknęła Marta - że jak cię zobaczyłam przed drzwiami, taką zaryczaną i z czerwonymi oczami, to wyglądałaś jak rasowy królik albinos?

- Nie masz racji - wysapałam. - Wyglądałam jak królik albinos baran. Byłam biała, miałam czerwone oczy i uszy spuszczone po sobie. W każdym razie w dzisiejszym nastroju mogłam się albo upić, albo powiesić.

Dobrze, że wybrałam to pierwsze rozwiązanie, bo przynajmniej jego skutki są odwracalne. Ale tak na poważnie, to jak ja mam się jej pozbyć? Przecież muszę mieć jakiś pretekst.

- Coś wymyślimy - zawyrokowała optymistycznie Marta. -A na razie dokończmy tę butelkę. No to za szczęśliwe rozwiązanie problemów! -Za szczęśliwe! - zgodziłam się radośnie. - I niech to wszystko trafi szlag i diabli wezmą.

- A gdzie diabeł nie może, tam babę pośle - czknęła Marta. - I tak - dokończyłam - w rezultacie wszystko jak zwykle spada na kobiety.

1 marca 2003

Marta, tak jak mi obiecała, przez kolejne dni myślała nad tym, jak by się pozbyć z mojego domu wrednej Eweliny i jej wyliniałego kundla. Jednak z tego myślenia niewiele wynikało i na własną rękę doszłam do przekonania, że najlepszym rozwiązaniem będzie, jeżeli nagle i niespodziewanie odkryję w sobie powołanie do zakonu. Mała, ciasna i samotna cela jawiła mi się jako coś najcudowniejszego na świecie. Gdy już właściwie straciłam nadzieję, że w mojej sytuacji mieszkaniowej nastanie jakaś zmiana, Marta wpadła na genialny pomysł. A było tak: Późnym wieczorem, gdy umordowana do granic możliwości siedziałam w łazience na sedesie (było to jedyne miejsce w domu, gdzie mogłam choć przez chwilę pobyć sam na sam ze swymi czarnymi myślami), nagle rozdzwonił się telefon. Nie wiem dlaczego, ale z moich doświadczeń wynika, że wszystkie telefony mają zwyczaj dzwonić w najmniej odpowiednich momentach. Oczywiście też nikt, choć dom był pełen ludzi, na jego uporczywe dzwonienie nie zwracał uwagi. Nikt oprócz Gryzonia, który na wszystkie dźwięki reagował wściekłym jazgotaniem i w tej chwili też obszczekiwał Bogu ducha winien aparat. W pośpiechu wybiegłam z łazienki i do padłam słuchawki. Na dnie mojej świadomości zrodziła się nieśmiała nadzieja, że to może moja mama zmańdrzała i chce, by tata wrócił do domu. Ale oczywiście to wcale nie była mama, tylko Marta.

- To ty? - zaszepiała konspiracyjnie.

-No ja - odszepnęłam, bo udzielił mi się nastrój tajemniczości.

- Czemu szepczesz? - zaszemrał w słuchawce ściszony głos.

- To ty szepczesz - sprostowałam.

- A rzeczywiście - zreflektowała się Marta i powiedziała już normalnie: -

Mam plan, jest po prostu rewelacyjny. Zaraz zaczynam go realizować. Bądź w domu, czekaj i niczemu się nie dziw.

- Czekaj... - zaczęłam, ale w słuchawce rozległo się już tylko monotonne buczenie.

Wzruszyłam więc tylko ramionami i zaczęłam nerwowo krążyć po przedpokoju, bo czego nie lubię najbardziej, to czekać nie wiadomo na co. W końcu ktoś nagle załomotał do drzwi. Gdy je otworzyłam, moim oczom ukazał się przedziwny obrazek. Na progu stała Marta, rozczochrana jak nieboskie stworzenie, na plecy zarzucony miała pękaty tobół, który w półmroku wyglądał jak ogromny garb. Moja przyjaciółka ścisnęła kurczowo za rękę swoją córkę, która wyglądała na nieźle wkurzoną. Tuż za Martą stał jej mąż, a na jego twarzy widniał wyraz męczeństwa.

Za to w oczach Marty płonął ogień natchnienia.

Obrazek, który miałam przed sobą,

zaskoczył mnie do tego stopnia, że nie byłam w stanie wykrztusić nawet słowa.

Zresztą nie było to konieczne. Wspaniale wyręczyła mnie w tym Marta. Bezceremonialnie wepchnęła siebie i swoją córkę do przedpokoju i, patrząc na mnie z radosną miną, zaczęła głośno zawodzić płaczącym głosem:

- Czy ty wiesz, co mnie spotkało? Boże i czym ja sobie na to zasłużyłam! Ja i to biedne niewinne dzieciątko! - Tu Marta ze wspaniałym uśmiechem zaczęła efektownie chlipać. Biedne dzieciątko natomiast wywaliło jęzor na brodę. Patrzyłam na to wszystko, mrugając szybko powiekami i szczypiąc się mocno w rękę. Bolało jak cholera, więc to musiało dziać się naprawdę.

- Czy możecie wyjaśnić mi, co tu się dzieje? - odezwał się nagle za moimi plecami głos Sebastiana, którego widocznie zwabiły do przedpokoju krzyki Marty.

- Wyjaśnić ci? - chlupała Marta. - Proszę bardzo, już wyjaśniam. Ten bydlak i nieczuły skunks, mój mąż, wyrzucił mnie z domu. Spojrzałam ze zdziwieniem na Donka, który stał za Martą i błagalnie wznosił oczy do nieba. Wcale nie wyglądał na nieczulego skunksa. Wprost przeciwnie. Przypominał raczej jakieś maltretowane w straszny sposób stworzenie.

- Boże - jęknął Sebastian i z zainteresowaniem zaczął oglądać tobół na plecach Marty. - A co ty tam niesiesz?

- Swoje rzeczy - wyjaśniła moja przyjaciółka, becząc rzewnie. - Tylko tyle pozwolił mi ze sobą wziąć.

- Chryste, Donek, ale z ciebie drań - powiedział mój mąż z nutką zazdrości w głosie, a ja pomyślałam, że jest niezwykle wrażliwy na los biednej kobiety. - Mogłeś dać jej chociaż walizkę, strasznie głupio musiałeś wyglądać, idąc z nią przez miasto.

Moje przekonanie na temat wrażliwości małżonka natychmiast pierzchnęło.

- Nie mogłem - powiedział Donek tonem cierpiętnika. - To by nie pasowało do wrednej gadziny, w jaką się dzisiaj wcieliłem. No dobrze, skoro już wiecie, że wyrzuciłem ją z domu, to czy w takim razie mogę już sobie iść?

- Idź, idź - zezwoliła mu Marta, zapominając przez chwilę o chlupanii i wypychając energicznie Donka za drzwi. - No cóż, moi drodzy, chyba będziecie musieli przemieszkać mnie i Pau-linkę u siebie przez jakiś czas - powiedziała, pociągając nosem. - A to co? - spytała nagle, wskazując palcem Gryzonia, który właśnie galopował po kuchni, goniąc z wściekłym charkotem Oprycha.

- To pies - wyjaśniłam jej łagodnym tonem, zastanawiając się jednocześnie, czy Marta doznała nagle zaniku pamięci, czy może dopadła ją przedwcześnie skleroza.

- O, to przykre - zaszczębiotała moja przyjaciółka smutnym głosem - ale, niestety, Paulinka, moje kochane dziecko, jest uczulona na psią sierść. Pies będzie musiał spać na dworze.

- Mój pies na dworze? - krzyknęła z oburzeniem Ewelina, która widocznie musiała podsłuchiwać za drzwiami kuchni. -Nigdy w życiu i - dodała i powędrowała na górę pakować swoje walizki.

7 marca 2003

Gdy przy pomocy przyjaciółki udało mi się pozbyć z domu jednego kukulczego jaja, zaczęłam intensywnie zastanawiać się, co zrobić z drugim, czyli ojcem.

Sprawa była o wiele trudniejsza, bo po pierwsze, chodziło o mojego własnego tatę, po drugie, nie chciałam go obrazić, po trzecie, nie mogłam przecież wyrzucić go na bruk i w końcu po czwarte, pragnęłam pogodzić moich rodziców. Jakoś tak nie miałam ochoty w moim wieku stać się córką rozwodników. Jeżeli przemęczyłam się z nimi podczas okresu dojrzewania, to chciałam coś z tego mieć. Tyle że ani mój ojciec, ani moja matka nie wykazywali nawet najmniejszej ochoty do pogodzenia.

Tatuś zamiast z własną żoną a moją matką zaczął sypiać z pilotem od telewizora, co trochę zaczęło mnie niepokoić. Powoli jego przywiązanie do czarnego pudełka zaczęło przypominać obsesję. Jeżeli zaś chodzi o matkę, w ogóle bałam się myśleć, z kim ona sypia. W skrytości ducha byłam pewna, że nie jest to nic pokrewnego pilotowi. Nie przypuszczałam też, by spędzała noce, płacząc w poduszkę.

Kocham moich rodziców, ale muszę wyznać, że cała ta sytuacja powoli zaczyna być irytująca. W końcu postanowiłam zadzwonić do mojej matki i wyjaśnić z nią wszystkie kwestie dotyczące jej i taty. Zatelefonowałam do niej z pracy, bo tam mogłam przynajmniej mówić normalnym tonem, a nie szeptać w obawie, że wszystko usłyszy ojciec, który zapewne nie byłby zachwycony, że wściubiam nos w nie swoje sprawy. Słuchawkę podniesiono prawie natychmiast, ale zamiast głosu mojej mamy rozległ się w niej gruby głos męski.

- Hallo? - powiedział.

- Chciałabym rozmawiać z moją mamą - powiedziałam, gryząc wargi z wściekłości.

- Obawiam się, że to niemożliwe, moja droga. Mamy eee... nie ma.

- Nie jestem dla pana żadną „drogą” - syknęłam do telefonu - i niech mi pan nie wstawia tutaj głodnych kawałków o jej nieobecności.

Niech natychmiast podejździe do telefonu, ale to już! - ryknęłam do słuchawki, w której zapanowała cisza, a po chwili ten sam głos powiedział o wiele mniej pewnie:

-Ale mamusia naprawdę nie może podejść. Jest bardzo zajęta.

- No to w końcu jest zajęta, czyjej nie ma?

- Nie ma jej bo, bo... jest zajęta - wybrnął z wyraźnym trudem baryton w słuchawce.

W tej chwili usłyszałam głos mojej mamy,

który gdzieś tam w oddali beztrąsko podśpiewywał. I to był już szczyt wszystkiego. -Posłuchaj no, ty wredny, ty wredny...

- Śmierdziu - odpowiedziała usłużnie Marta, która siedziała naprzeciwko i przyglądała się mi okrągłymi ze zdziwienia oczami.

- Śmierdziu - skorzystałam z odpowiedzi. - Wyraźnie słyszę głos mojej matki i jeżeli jej natychmiast nie poprosisz, po prostu cię zamorduję - ryczałam do słuchawki.

- Dobrze już, dobrze, zobaczę, co da się zrobić. - Głos wyraźnie był przestraszony.

Przez chwilę w telefonie panowała cisza, ale już po chwili usłyszałam w nim głos mojej matki: - Słucham, kto mówi?

- Twoja córka - warknęłam. - Mam ci się przedstawić?

- Boże, ja cię nigdy nie rozumiałam i chyba nigdy już nie zrozumieję - poskarżyła się moja matka. - A swoją drogą, to powiedziano mi, że dzwoni jakaś psychopatka. Może to przez ten twój głos, masz chrypę? Jakoś dziwnie rżęsz.

- A kto ci to powiedział? Ten cały Wiktor, który odebrał telefon?

- Jaki Wiktor, córeczko? Wiktor wyjechał na tydzień w interesach. Czy ty przypadkiem nie masz gorączki?

- Nie Wiktor? - wydukałam inteligentnie. - To kto to był?

- Oskar. Mój recepcjonista. Jak wiesz, założyłam klub Mimo Zmarszczek Wiecznie Młode, ale zmieniłam nazwę na Mimo Zmarszczek Wiecznie Młodzi.

Do naszego klubu przychodzi wiele osób i muszą się zapisywać, żebym wiedziała, ilu gości mam się spodziewać, więc zatrudniłam Oskara.

Ponadto Oskar ma spowodować

większe zainteresowanie mężczyzn. By ich zachęcić do uczestniczenia

w naszych zajęciach, stanowczo lepszy jest recepcjonista niż recepcjonistka.

Taki, wiesz, chwyt marketingowy.

- Zatrudniłaś Oskara - powtórzyłam za nią jak w transie.

- Tak, ale czy tylko po to do mnie dzwonicz, by wypytywać o mojego recepcjonistę, czy masz jakąś konkretną sprawę? Bo wiesz, jestem bardzo zajęta. Dlatego poprosiłam Oskara, by mnie nie prosił do telefonu.

O rany, o rany, o rany - powtarzałam sobie w duchu; czułam, że w głowie mam jeden wielki mętlik.

- Wiesz co, mam - powiedziała słabo - muszę się z tobą spotkać. Koniecznie.

- No dobrze. Może pojutrze w naszej kawiarence?

Zgodziłam się bez protestów i odłożyłam słuchawkę.

Dopiero teraz rozejrzałam się i zobaczyłam, że moje krzyki zgromadziły wokół biurka wianuszek redakcyjnych kolegów. Przyglądali mi się z wyraźnym zainteresowaniem. Niewiele myśląc, uciekłam do ubikacji. Za chwilę przygnała

tam Marta.

- Co się, do cholery, stało? - zapytała, patrząc na mnie z troską.

- Zwymyślałam niewinnego człowieka - powiedziałam, targając swoje włosy.

- Nazwałam go... Jak ja go nazwałam?

- Wrednym śmierdzielem - odpowiedziała Marta.

- No właśnie. A to wcale nie był ten obrzydliwy Wiktor, tylko jakiś obcy człowiek. Co on sobie o mnie pomyśli?

- Że jesteś stuknięta - skwitowała Marta i nagle zaczęła się śmiać. - Ale trzeba ci przyznać, że ryczeć umiesz pierwszorzędnie.

11 marca 2003

Na umówione spotkanie z mamą spóźniłam się całe piętnaście minut. Było to karygodne, toteż biegnąc (kto kiedyś próbował biegać na wysokich obcasach, wie, jakie katusze przechodziłam), wyobrażałam sobie, jaką awanturę zrobi mi moja rodzicielka. Zabierałam przecież jej cenny czas, który zapewne wolałaby poświęcić swojemu klubowi. Gdy w końcu dotruchtałam do umówionego miejsca, stały się dwie rzeczy jednocześnie: po pierwsze, zobaczyłam moją matkę z nosem rozplaszczonym na szybie kawiarni, a po drugie, złamałam obcas. Klnąc pod nosem, na jednej nodze dobrnęłam do mojej mamy i popukałam ją palcem w plecy. Nie miałam ochoty w tej chwili wnikać w przyczyny jej dziwnego zachowania. Dość miałam problemów ze złamanym obcasem. Niestety, przechodzący obok ludzie nie byli aż tak dyskretni i jawnie zaczęli się nam przyglądać. Swoją drogą musiałyśmy stanowić dziwną parę: ja z zadartą do góry nogą i moja matka z nosem prawie

wtopionym w szybę.

- Mamo - powiedziałam umęczonym głosem -złamałam obcas.

W tej chwili podszedł do nas jakiś staruszek i uśmiechając się ze zrozumieniem, zwrócił się do mojej matki:

- Czy szanowna pani ma ochotę na kawę? Mogę zasponso-rować, jeżeli zabrakło funduszy. Ja właśnie jestem po emeryturze. Zawsze uważałem, że emeryci muszą trzymać się razem.

Moja matka nawet nie zwróciła na niego uwagi, za to ja miałam serdecznie dość robienia z siebie widowiska. Grzecznie podziękowałam staruszkowi i szarpiąc mamę za ramię, syknęłam:

- Na litość boską, chodźmy stąd, zanim posądzą nas o żebractwo albo chęć włamania.

- Kiedy ja nie mogę - odezwała się w końcu mama pękniętym głosem. - Nie mogę w to uwierzyć - wydusiła z siebie i wybuchła płaczem. - Przecież mówił, że wyjeżdża w interesach. Mówił, że jestem taka wspianiała i że to wiek czyni kobietę naprawdę atrakcyjną, a tu takie coś!

Coś zaczęło mi świtać. W naszej ostatniej rozmowie mama wspomniała, że ten ohydny i obleśny Wiktor wyjechał w interesach. Z nagłą determinacją ściągnęłam z nóg oba buty, jednym susem dopadłam do szyby i też przykleiłam do niej nos.

- Który to? - zapytałam, ale wcale nie musiałam czekać na odpowiedź. W kawiarni było mało ludzi i tylko dwóch mężczyzn. Jeden z nich był przyszczatym nastolatkiem, więc odpadał. Natomiast ten drugi to musiał być Wiktor, osobisty wróg mojego taty (i jego telewizora). Miałam wrażenie, że gdyby w kawiarni

siedziało tuzin mężczyzn i tak od razu wiedziałabym, że właśnie ten jest Wiktoorem. Trzeba przyznać, że był urodziwy. I wiek dodawał mu tylko uroku. Jednak uśmiechał się uśmiechem zawodowego uwodziciela i kłamcy. A uśmiechał się do ślicznej dziewczyny ubranej w kusą spódniczkę. Nie tylko się uśmiechał, ale ścisnął jej drobną rączkę i co chwila wyciskał na niej czułe pocałunki.

- Widzisz? - chlipała moja matka.

- Widzę - odpowiedziałam i nagle dotarło do mnie, że nie najlepiej by było, gdyby dostrzegł nas ten cały Wiktor. - Mamo, musimy stąd iść - powiedziałam stanowczo - zanim on nas zauważy. Nie możesz dać mu tej satysfakcji - tłumaczyłam bez nadziei, że mnie posłucha. Ale nagle mama spojrzała na mnie zapuchniętymi oczami i powiedziała:

- Masz rację, chodźmy stąd.

I poszłyśmy. Przy okazji stwierdziłam, że marzec nie jest najlepszym miesiącem do chodzenia na bosaka. Było mi piekielnie zimno w stopy. Gdy odeszłyśmy już spory kawałek, mama popatrzyła na mnie nieco przytomniej i nagle zatrzymała się na środku chodnika, lustrując mnie uważnym spojrzeniem.

- Czyś ty zupełnie zwariowała? - zapytała, patrząc na moje stopy. - Dlaczego chodzisz boso?

- Mówiłam ci przecież - westchnęłam zrezygnowana - że złamałam obcas.

- O Boże, tak się zajęłam tym dupkiem, że nawet nie słyszałam - powiedziała ze skruchą, pociągając nosem. - Siądź na tej ławce, a ja skoczę po jakieś pantofle.

Przecież nie możesz tak chodzić.

Potem poszłyśmy do innej kawiarni i popijając aromatyczny płyn, patrzyłyśmy na siebie w milczeniu.

- I co ja mam teraz zrobić? - zapytała nagle. - Jak mam przeprosić ojca i jak wyjaśnić to fatalne zauroczenie? Boże, jaka ja byłam głupia! I to w moim wieku!

Gdybyś ty to zrobiła - tu popatrzyła na mnie wzrokiem, jakim patrzy się na głupiotki rozchichotane podlotki - to jeszcze można by było tłumaczyć brakiem doświadczenia, ale ja?

- Myślę, mamo, że po prostu musisz szczerze

porozmawiać z tatą. On też nie jest najszcześliwszy w tej całej sytuacji. Przecież on wciąż cię kocha - powiedziałam, klepiąc ją uspokajająco po ręce.

- Tak zrobię. - Westchnęła i spojrzała na mnie z wdzięcznością. - A tak a propos, po co chciałaś się ze mną zobaczyć?

- Wiesz co, teraz to już nieważne - powiedziałam, myśląc, że niekiedy los i przypadek rozwiązują za nas nawet najtrudniejsze problemy.

18 marca 2003

Zaprawdę przedziwnie układają się niekiedy zawile ścieżki losu. Kiedy moja mama przyszła z zamiarem przeproszenia i porozmawiania z ojcem, spodziewałam się, że tata wprawdzie jej wybaczy, ale nie uczyni tego natychmiast. Tymczasem kiedy zobaczył ją tonącą we łzach, natychmiast porwał ją w objęcia, zaczął pocieszać i utulać. Wyglądało to jak żywcem wyjęte z jakiegoś łzawego melodramatu.

Patrzyłam na to z dość dużym zdziwieniem, bo jeszcze żywe w mojej pamięci były jego słowa, w których określał mamę niewybrednymi epitetami.

- No już, kochanie, no już - powtarzał, poklepując ją czule po plecach. - Nie płacz. Oczywiście że ci wybaczam. W końcu to tylko kilka tygodni. Zresztą ja też nie byłem za słodki.

- O nie - zaprzeczyła gorąco moja mama. - To wszystko moja wina.

- No nie przesadzaj, że ze mnie jest taki anioł - powiedział ostro tata.

- Jak ci mówię, że to wszystko moja wina, to widocznie mam rację! - wrzasnęła mama.

- A jak ja ci mówię, że miałem w tym swój udział, to widocznie też w tym coś jest! - ryknął ojciec.

- To co? Nawet winna być nie mogę? - chlipnęła matka.

- I jak zwykle chcesz mi udowodnić, że to właśnie ty masz rację? Tak? - Tata zaczął szybko chodzić po pokoju, machając przy tym rękami. Zaczęło do mnie docierać, że kolejny konflikt wisi w powietrzu i że jeżeli czegoś natychmiast nie wymyślę, to nastąpi wielka katastrofa, a pogodzenie moich rodziców nie dojdzie już nigdy do skutku. Tymczasem, zwabieni hałasami, zaczęli nadciągać wszyscy domownicy, w tym także koty. Brakowało tylko rybek, które zapewne też by tu się znalazły, gdyby mogły w jakiś sposób przypełznąć ze swoim akwariem. Popatrzyłam błagalnie na Sebastiana, ale on tylko wzniósł oczy do góry, popukał się znacząco w czoło i szybko opuścił strefę zagrożenia. Gosia natomiast z dużym zainteresowaniem zaczęła przyglądać się swoim dziadkom.

- Może ustalmy, że oboje byliście jednakowo winni - próbowałam doprowadzić do remisu w tych specyficznych przepychankach.

Nawet nie zwrócili na mnie uwagi.

- Mamusiu, czy to, co mówi teraz dziadek, to jest właśnie znieważanie? - zapytała Gosia, która bardzo pilnie śledziła wszystko, co działo się w pokoju.

- Nie, kochanie, dziadkowie po prostu dyskutują - odpowiedziałam słabo.

- Aha - mruknęło sceptycznie moje dziecko. - Za taką dyskusję to ja bym przez miesiąc nie dostała słodyczy.

Spojrzałam na nią tak, jakbym widziała ją po raz pierwszy w życiu. Moja

córka niewątpliwie miała rację. I niewątpliwie była nad wiek rozwinięta. I nagle przyszedł mi do głowy genialny pomysł. Stałam na środku pokoju, nabrałam w płuca powietrza i wrzasnęłam:

- Żadne z was nie było winne. Słyszycie? Wszystkiemu winien był Wiktor!

Przez moment w pokoju panowała cisza, a potem mama zapytała obrażonym tonem:

- A ty czemu tak wrzeszczysz, co? Czy niczego cię z ojcem przez te wszystkie lata nie nauczyliśmy?

- No wiesz? - powiedziała oburzona. - Dzięki Bogu nie biorę z was przykładu.

- Jak ty się odzywasz do matki? - zapytał ojciec głosem przepelnionym naganą.

- Mogłabyś okazywać trochę więcej szacunku.

Szczególnie przy dziecku.

- Dziadku, nie krzycz na mamę - najeżyła się Gosia. - I czy wy się w końcu rozwiedziecie czy nie? Bardzo chciałabym to wiedzieć.

- Rozwieść się? - powtórzyła moja mama i zatrzepotała rzęsami. - Ależ kochanie, skąd ci to przyszło do głowy? My z dziadkiem się bardzo kochamy.

- Bardzo się kochacie? - drażyło moje dziecko. - Tak bardzo, bardzo, bardzo?

- Dokładnie tak - odpowiedział mój ojciec.

- To wiesz co, mamó - zwróciła się do mnie Gosia - to wy się z tatą tak bardzo nie kochajcie, dobrze? Nie wiedziałam, że miłość musi być aż tak głośna. Gdybym ja tak wrzeszczała, to na pewno dostałabym już dawno w tyłek.

Po tej kwestii nastąpiła zupełna cisza. Moi rodzice wyglądali na niezwykle speszonych.

- No cóż - chrząknął mój ojciec - to my wrócimy już do domu, prawda, kochanie?

- O tak - zgodziła się skwapliwie mama.

- I zlikwidujemy ten niemądry klub, prawda?

- Dobrze - odpowiedziała potulnie mama. - Ale - dodała natychmiast - zapiszemy się do klubu seniorów, prawda, tatusiu?

- Jak sobie życzysz, myszko. Po telewizor przyjadę jutro, córeczko. Nie przypuszczam, by był nam potrzebny dziś wieczorem, nieprawdaż, kochanie?

W odpowiedzi moja matka zaczęła chichotać jak zawstydzona nastolatka i prowadzona pod rękę przez mojego ojca, który coś nieustannie szeptał jej do ucha, opuściła mój dom, w którym zapanowała cudowna cisza i błogi spokój.

22 marca 2003

Już dawno w naszym domu nie było tak spokojnie. Nareszcie zostaliśmy sami i nasze życie rodzinne zaczęło wracać do normy. Tata z mamą zachowywali się jak gruchająca para gołąbków. O tym, jak bardzo byli sobą zajęci, może świadczyć fakt, że tata jeszcze nie zabrał od nas telewizora. Gdy w końcu uwierzyłam, że nareszcie nikt nie będzie chciał się już do nas wprowadzić i gdy mój system nerwowy przestał wreszcie nerwowo podskakiwać, zdarzyło się coś, co przypomniało mi, że życie to jednak nie bajka. Otóż gdy spokojnie siedziałam sobie przy biurku w pracy i wczytywałam się w jakiś koszmary artykuł, nagle zawołano mnie do telefonu. Nie było w tym nic niepokojącego, dopóki Marta, która trzymała słuchawkę, nie szepnęła:

- Tylko się nie denerwuj. To z przedszkola.

Oczywiście zdenerwowałam się natychmiast i prawie wyrwałam Marcie słuchawkę.

- Słucham? - krzyknęłam.

- Dzień dobry, dzwonię z przedszkola - odezwał się drżący głosik. - Tylko niech się pani nie denerwuje.

W tym momencie poczułam, że jeżeli jeszcze raz usłyszę, żebym się nie denerwowała, to kogoś zabiję albo przynajmniej pogryzę.

- Zaszła pewna okoliczność - szemrał głosik - która wymaga pani obecności.

Otóż Gosi puchło oko i...

Nie czekając na dalsze nieskładne wyjaśnienia, rzuciłam słuchawkę i wybiegłam z pracy. Zaraz za drzwiami dogoniła mnie Marta i wcisnęła w rękę kurtkę.

- Leć - powiedziała. - Ja wyjaśnię wszystko Mateuszowi. W przedszkolu już na mnie czekano. Zapłakana Gosia siedziała na ławeczce w szatni. Jej oko ginęło w ogromnej opuchliznie.

- Naprawdę nie wiem, co się stało - powiedziała jej pani. - Rano było wszystko w porządku i nagle zaczęło puchnąć. Szczerze mówiąc, nie bardzo jej słuchałam. Zabrałam Gosię i popędziłam do przychodni. Zdenerwowana przepchałam się wśród kichających i prychnających ludzi do rejestracji, gdzie wyjaśniłam, co się stało i zapytałam, który doktor może nas przyjąć.

- A była pani zapisana? - zapytała apatycznie pani w rejestracji.

Popatrzyłam na nią jak na nienormalną.

- A nie, wie pani, jakoś nie miałam proroczego snu, który zapowiedziałby, że właśnie dzisiaj pomiędzy pierwszą a drugą moją córką coś się stanie. Przepraszam, na przyszłość bardziej się postaram - powiedziałam podniesionym głosem.

- Proszę innym tonem - skarciła mnie upośledzona recepcjonistka. - Jak nie

była pani zapisana, to proszę rozmawiać z panią doktor.

Przyjmuje w tamtym gabinecie.

Nie zwlekając, ruszyłam więc do gabinetu. Opuchlizna przybierała coraz większe rozmiary i nawet zakatarzeni ludzie bez szemrania wpuścili mnie do gabinetu.

Gdy wyjaśniłam po raz kolejny, co się stało, lekarka obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem i powiedziała:

- No i co pani ode mnie chce? Przecież ja nie jestem okulistą. Oniemiałam.

- Co pani powie - powiedziałam słodko, gdy już odzyskałam głos. - A czy jest pani pewna, że jest pani lekarzem? Bo jeżeli tak, to zawsze mi się wydawało, że tacy ludzie mają pomagać innym.

- Niech ta mała tutaj podejdzie - powiedziała w końcu pani doktor i obejrzała oko mojej córki.

- No cóż, ja tutaj nic nie pomogę - powiedziała z męczeńską miną. - Potrzebny jest okulista. Jutro przyjmuje od południa, ale nie sądzę, żeby pani się dostała, bo na wizytę trzeba czekać około dwóch miesięcy.

- Pani raczy żartować? - zapytałam niebezpiecznie spokojnym tonem. - Coś pani powiem, co może pozwoli pani przybliżyć sytuację. Otóż ja nie jestem lekarzem. Zaskakujące, prawda? Nie jestem też okulistą. O, widzę w pani oczach zdziwienie. Też uważam, że to nieprawdopodobne. Zawsze uważałam, że każdy okulista powinien wyglądać tak jak ja. Powiem więcej: w przeciwieństwie do pani jestem zupełnym laikiem, jeżeli chodzi o medycynę, więc niech mi pani do cholery powie, co mam zrobić z tym okiem! - wrzasnęłam na koniec, co spowodowało, że pani doktor aż podskoczyła za biurkiem.

- Może niech pani spróbuje dostać się na dyżur okulistyczny do szpitala - szepnęła, wpatrując się we mnie wzrokiem przestraszonego robaka. - Ale on już się kończy.

Oczywiście na dyżur nie zdążyłam, a w izbie przyjęć jakaś pielęgniarka powiedziała mi współczującym głosem, że w szpitalu nie ma w tej chwili żadnego okulisty. Przez moment w mojej głowie kołatała się myśl, by kogoś zamordować albo przynajmniej czynnie znieważać, ale pogarszający się stan mojego dziecka nie pozwolił mi wprowadzić zamiarów w czyn.

Poczułam się zupełnie bezradna i miałam ochotę wybuchnąć płaczem. Opanowałam się ostatkiem sił i wyszłam ze szpitala, zastanawiając się, co robić. W końcu uczyniłam jedyną rzecz, jaka jeszcze przychodziła mi do głowy: poszłam do apteki. Tam pani magister, obejrzawszy oko mojego dziecka, poklepała mnie po trzęsącej się ręce i powiedziała spokojnie:

- Niech się pani nie denerwuje, to najzwyczajniejsze zapalenie spojówek. Zaraz damy córeczce krople i już jutro będzie dobrze.

Patrzyłam na tę kobietę jak na anioła. Gdy wieczorem siedziałam na kanapie

i odreagowywałam cały ten koszmar, doszłam do wniosku, że służba zdrowia to najgorzej działająca instytucja, jaką znam. I poczułam, że już do końca życia będę wielbicieleką aptek i pracujących tam osób.

29 marca 2003

Zanim wyszłam za mąż, nie miałam pojęcia, że z mężczyznami jest tak wiele zachodu. Nie wiedziałam również, że są oni jak duże dzieci, którymi trzeba się nieustannie opiekować, karmić, opierać i delikatnie, acz stanowczo wybijać im z głowy różne rzeczy. Przy tym należy to robić tak, by mężczyzna trwał w błogim przekonaniu, że to właściwie on zmienił zdanie i robi wszystko z własnej, nieprzymuszonej woli.

Przeciwnie, gdy wychodziłam za mąż, byłam głęboko przekonana, że to on będzie się mną zajmował, bronił i traktował jak najcudowniejszą księżniczkę. Niestety, szybko musiałam zmienić zdanie i zaakceptować przebrzydłego bachora, który od czasu do czasu wyłazi z Sebastiana. Zasadnicza trudność, jaka mnie przy tym spotyka, wynika z przyczyn wzrostowych. Tym, którym poprzednie zdanie wydaje się niezrozumiałe, już tłumaczę: gdy Gosia doprowadzi mnie do ostateczności, zawsze istnieje możliwość przełożenia jej przez kolano i wyładowania swych negatywnych emocji przez wlepienie klapa w miejsce do tego stworzone.

Natomiast w wypadku Sebastiana sposób ten jest, delikatnie mówiąc, niemożliwy do wykonania. Natura nie poskąpiła mojemu mężowi ani wzrostu, ani siły, więc rozsądnie wolę nawet nie próbować używać rozwiązań siłowych. Pozostaje mi tylko łagodna perswazja.

Nie bez powodu poruszam tutaj ten temat, ponieważ ostatnio między mną a Sebastianem wyniknęła mała różnica zdań. Niezgodność ta nie była bynajmniej

rzeczą nową, ponieważ - czego zupełnie nie rozumiem - mój mąż średnio co pół roku wraca z uporem maniaka do jednego i tego samego tematu: dziecka. Rozmowę zaczął z samego rana, gdy jak zwykle cierpiałam na brak czasu, a co za tym idzie, cierpliwość to ostatnia rzecz, której można się było po mnie spodziewać. Gdy miotałam się po mieszkaniu w poszukiwaniu drugiej pończochy, której nigdzie nie mogłam znaleźć, mój mąż, siedząc sobie na kanapie i obserwując mnie kpiącym wzrokiem, zapytał:

- Nie sądzisz, że masz za mało czasu dla siebie?

- Z całą pewnością - zgodziłam się, jednocześnie przekopując szafę po to tylko, by stwierdzić, że pończochy tam nie ma. -Może w związku z tym przygotujesz Gosię do przedszkola? -zapytałam, włączając pod kaloryfer.

- No wiesz, nie o to mi chodziło - mruknął Sebastian.

- No więc o co ci chodziło? - zapytałam, równocześnie robiąc w myśli przegląd wszystkich miejsc w domu, gdzie ewentualnie mogła się znajdować poszukiwana część garderoby.

- No wiesz, jako prawdziwy mężczyzna chciałbym osiągnąć parę rzeczy w

życiu.

Zbudować dom, zasadzić drzewo i...

-Wiem, wiem - przerwałam mu niecierpliwie - i mieć dziecko. Nie widzę przeszkód, kochanie. Dom już zbudowałeś, dziecko masz, zostało ci tylko zasadzenie drzewa. Możesz to zrobić chociażby teraz - dokończyłam i w tym samym momencie dostrzegłam swoją pończochę. Uwiązana była wokół szyi pluszowego psa Gosi. Widocznie moje dziecko użyło jej jako smyczy. W tej chwili modliłam się już tylko o to, by była cała.

- ...i mieć syna - dokończył mój mąż niezrażony.

Słyszając to, przez chwilę zastanawiałam się, czy nie wpaść we wściekłość, ale w tym samym momencie przypomniałam sobie, że mężczyźni to duże dzieci, które jak się uprą na coś głupiego, to po prostu trzeba ich do tego umiejętnie zniechęcić.

Niestety, nie miałam na to zbyt dużo czasu.

Powiedziałam więc to, co pierwsze przyszło mi do głowy:

- E, no coś ty, przecież teraz jest równouprawnienie. Córka to tak jak syn.

- Pomijając płęć, to rzeczywiście masz rację - odpowiedział ironicznie Sebastian.

- Kochanie - westchnęłam z rozdrażnieniem - przecież nawet gdybyśmy mieli mieć dziecko, to nie ma żadnej pewności, że byłoby płci męskiej. A jeżeliby urodziła się druga córka, to co, utopić?

- Można próbować dalej - rozochocił się mój mąż. - Aż do skutku.

- Próbować możemy - zgodziłam się - ale może tak bez widocznych efektów.

Moim zdaniem takie próby to sama przyjemność, możemy spokojnie na nich poprzestać.

- Uśmiechnęłam się rozkosznie i pocałowałam go w czoło.

- Ale widzisz, mnie się marzy taki trochę większy model rodziny - powiedział mój mąż rozmarzony.

- O ile większy? - zapytałam czujnie, bo coś w jego tonie sprawiło, że poczułam zaniepokojenie.

- No wiesz, tak jak było kiedyś... Matka otoczona wianuszkami dzieci, ogień w kominku, domowe jedzenie. - Tu Sebastian umilkł i rozmarzony zapatrzył się w okno.

Popatrzyłam na niego ze zgrozą w oczach. Gromadka dzieci? Wrzeszczących i wiecznie czegoś chcących potworków? I to wokół mnie? Bo chyba mojemu mężowi chodziło właśnie o mnie, gdy mówił coś o tej biednej matce, którą natychmiast zobaczyłam w wyobraźni. Jawiła mi się jako znękana i znerwicowana kobieta, która tylko marzy o tym, by powrzucić wszystkie swe pociechy do rozpalonego kominka. Obrazek, który najwyraźniej wzbudzał w Sebastianie błogie uczucia, na mnie podziałał jak scena z najokropniejszego

horroru. Musiałam koniecznie coś zrobić, by obrzydzić mojemu kochanemu mężowi ten koszmarny pomysł.

- No wiesz - powiedziałam z namysłem, wpatrując się intensywnie w jego twarz - właściwie jak tak bardzo ci zależy, to możemy mieć drugie dziecko. Tylko chcę, żeby wszystko od razu było jasne. Od ciebie to też będzie wymagało współpracy... -Ależ inaczej sobie tego nie wyobrażam - przerwał mi z uśmiechem.
- Możemy ową współpracę rozpocząć już dziś wieczorem.

- ...i pewnych wyrzeczeń i zmian - dokończyłam.

- To znaczy? - zapytał Sebastian z lekkim niepokojem. - Bo wiesz, słowo „wyrzeczenia” nie bardzo mi się podoba – wyznał z rozbijającą szczerością. - O wiele lepiej brzmi zwrot „udzielenie niezbędnej pomocy”, jeżeli oczywiście rozumiesz, o co mi chodzi. Rzecz jasna na ile pozwoli mi praca, bo jak zapewne zdajesz sobie sprawę, będę musiał dużo więcej pracować, jak już powiększy się nam rodzina.

Ale oczywiście będziesz zawsze mogła na mnie liczyć.

-Taa... Umiesz liczyć, Ucz na siebie - mruknęłam pod nosem, a głośno powiedziałam:

- No właśnie o tym mówię. Jak może pamiętasz, ja już raz urodziłam dziecko. Siedziałam z Gosią w domu, wstawałam do niej w nocy, zmieniałam pieluchy i tak dalej.

- I tak dalej - potwierdził roztropnie mój mąż. - I w związku z tym mam inną propozycję.

- Nie, no wiesz Natasza, ja bym bardzo chciał, ale sama rozumiesz, że nie stać nas na opiekunkę - rzekł Sebastian zmartwionym tonem.

- Ale nie przejmuj się,

tych parę lat szybko minie - dorzucił beztrąsko, a mnie na samą myśl o tym domowym areszcie po plecach przeleciał lodowaty dreszcz.

Ponadto czas nieubłaganie płynął i jeżeli miałam nie spóźnić się do pracy, musiałam jak najszybciej zakończyć rozmowę i to z rezultatem, o jaki mi chodziło.

- Nie myślałam o opiekunce - powiedziałam spokojnie, naciągając pończochę i z zadowoleniem rejestrując, że nie jest dziurawa - ale o tobie.

- Jak to o mnie? - Mój mąż poruszył się niespokojnie na kanapie.

- No, po prostu, teraz twoja kolej - wyjaśniłam cierpliwie. -Ja oczywiście urodzę, a ty weźmiesz urlop macierzyński. Ja będę pracować, złapię jakieś nadgodziny, bo jak sam mówiłeś, koszty przy większej rodzinie wzrastają. I tak będzie wilk syty i owca cała. Ty będziesz miał upragnione dziecko, a ja nie będę musiała rezygnować z pracy.

-Ależ...

- Ależ wiem, co chcesz powiedzieć - przerwałam mu bezczelnie i pogłaskałam go po policzku. - Martwisz się o karmienie. Może będę mogła

wyskakiwać z pracy, a jak nie, to będę ściągała pokarm. No to jak? Ja rodzę i ewentualnie karmię, a ty zajmujesz się naszą nową pociechą?

- Wiesz, jak cię tak słucham, to dochodzę do wniosku, że może jednak na razie poprzestanę na tym drzewie. Chyba je zasadzę. - Mój mąż westchnął z rezygnacją.

- No wiesz, jak prawdziwy mężczyzna.

- Zasadź - powiedziałam z powagą, choć w duchu śmiałam się do rozpuku.

Świat jest jednak piękny i tak naprawdę to wszyscy mamy w sobie coś z dzieci, które od czasu do czasu przydałoby się wytargać za uszy.

2 kwietnia 2003

Czuję się ciężka, gruba i przejeżdżona. Jest to niewątpliwie związane ze świętami, które niedawno były uprzejme się skończyć. Ale jedzenie było cudowne... Te wszystkie baby, mazurki, schabiki, no po prostu palce lizać. Niestety, moje spodnie nie podzielały widać tego entuzjazmu jedzeniowego, bo dopięły się rano z niejakim trudem. To niewątpliwie troszeczkę zwarzyło mi humor. Kolejną przyczyną pogorszenia mojego samopoczucia było nieodwołalne zakończenie czasu wolnego. Do pracy podążałam z lekką niechęcią i dużym ociąganiem. Kto to wymyślił, żeby pracować w taką piękną pogodę. Za oknem wiosna, słońko świeci, roślinki rosną sobie spokojnie, a ty człowieku pracuj. To po prostu nie jest zgodne z żadnymi prawami. W pracy zauważyłam z lekkim zadowoleniem, że nie tylko ja mam odrazę do spędzenia pożytecznie pierwszego dnia roboczego. Wszyscy ruszali się jak muchy w smole i rzucali ukradkowe i tęskne spojrzenia za okno. Wszyscy oprócz naszego kochanego naczelnego, który w przeciwieństwie do nas wrócił do pracy świeżutki, wypoczęty i kipiący energią. Widać było, że nikt go w czasie świąt nie przekarmił. Gdyby go bowiem przekarmiono, nie miałby siły, by wydawać te wszystkie dyspozycje. Ledwo wszedł do redakcji, natychmiast zwołał zebranie. Po zakończeniu omawiania zwykłych spraw powiedział:

- Jak już wiecie, w naszej gazecie pojawi się nowa rubryka, do której pisać będą nasi czytelnicy ze wszystkimi swoimi problemami, a my będziemy im radzić, odradzać i no wiecie, takie tam. Mamy już pierwsze listy. Teraz musimy już tylko ustalić, kto na nie będzie odpowiadał. Przeanalizujmy: Marek nie może, bo i tak ma za dużo zajęć. Marta odpada, bo jest grafikiem i to zupełnie nie jej działka. Łucjan zajął się ostatnio kącikiem urody i boskiego ciała. Dział reklamy w ogóle pomijam, więc jak już zauważyliście, zostaje tylko jedna osoba, która może zająć się naszymi czytelnikami. - W tym momencie poczułam oczy wszystkich na sobie. - No, skoro wszystkie rzeczy są już wyjaśnione, bierzmy się do pracy. Natasza, chodź po listy.

- Ale ja... - zaczęłam, po czym zamilkłam, ponieważ pomyślałam, że w sumie mogło być gorzej. Tutaj przynajmniej nie będę musiała kontaktować się osobiście z jakimiś psychopatami, a tylko będę odpisywać na jakieś tam listy od głupich zakochanych panienek. Jeżeli nawet - nie daj Boże! - wśród nich znajdzie się jakaś psychopatka, zawsze lepiej odpowiedzieć na piśmie, niż rozmawiać z taką twarzą w twarz. A czego jak czego, ale wariatów bałam się obsesyjnie. Gdy wychodziłam z gabinetu naczelnego, byłam już prawie przekonana, że praca będzie miła i niestresująca; zupełnie uspokojona usiadłam przy biurku i otworzyłam pierwszy list. Tak jak przypuszczałam, list był od jakiejś głupiej zakochanej panienki, ale było to jedyne moje przypuszczenie, które się sprawdziło. Prysł

marzenia o miłej i niestresującej pracy. Szczerze mówiąc, dawno się tak nie zdenerwowałam. A oto, co było w liście: Droga redakcjo Przeczytałam właśnie w Waszym piśmie, że można się do Was zwracać ze swoimi problemami. Więc korzystając z okazji, zwracam się ze swoim. Będziecie ostatnimi ludźmi, którzy to czytają. Nie mam ochoty dłużej żyć. Nikt mnie nie kocha i nikt mnie nie rozumie. A mianowicie przede wszystkim on mnie nie rozumie. Okłamuje mnie i zdradza, chociaż ja mu oddałam wszystko. Życie przestało mieć dla mnie sens. Może poradzicie mi, jak go odzyskać i jak przekonać, że Jolka wcale nie jest mądrzejsza i ładniejsza ode mnie. Jak już pisałam, życie nic dla mnie już nie znaczy i mam ochotę umrzeć. Ratujcie! Będę czekała na odpowiedź. PS Jolka naprawdę nie jest ładniejsza ode mnie. Zrozpaczona szesnastoletnia Wanda Czułam, jak nogi się pode mną uginają. Było to wrażenie przedziwne, jeżeli wziąć pod uwagę, że siedziałam na krześle. I jeszcze to imię! Od razu skojarzyło mi się z tą, która nie chciała Niemca i od razu zdenerwowałam się jeszcze bardziej, bo moja zdradliwa wyobraźnia podsunęła mi obraz bladej topielicy. I co ja mam odpisać szesnastoletniej dziewczynie, dla której życie straciło sens? I co robią jej rodzice? Moje zdenerwowanie sięgało szczytu. Czy nie widzą, że ich córka ma problemy? I czy ja też kiedyś nie zauważę, że Gosia nie chce żyć, bo oddała jakiemuś dupkowi wszystko, a on nie widzi, że jakaś tam Kaśka i Maryśka są głupsze i brzydsze? Bo są. Od mojej Gosi wszystkie są głupsze i brzydsze. Najlepiej to zaraz wstanę i pójde spruć tego parszywca, który zranił moją szesnastoletnią niewinną córkę - postanowiłam i nagle dotarło do mnie, że przecież ja nie mam szesnastoletniej córki. Spokojnie - powtarzałam sobie w duchu - tylko spokojnie. Jeżeli napisała, że będzie czekać na odpowiedź, to raczej wstrzyma się z potencjalnym samobójstwem. Złożyłam starannie list i włożyłam go do torebki; chciałam pokazać go mojej koleżance psycholożce. Na pewno ona lepiej nadaje się do udzielenia takiej odpowiedzi niż niedoszła polonistka. Z odrazą spojrzałam na sporą kupkę listów, która leżała przede mną. Już wiedziałam, że nie należy z góry zakładać, że brak kontaktu zapewnia brak stresu. Z westchnieniem zgarnęłam wszystkie koperty do torebki i postanowiłam odpowiedzieć na listy w domu. Tam przynajmniej będę mogła w każdej chwili wstać i naocznie stwierdzić, że moje dziecko ma lat sześć, jest szczęśliwe, zdrowe i na pewno nie straciło ochoty do życia, bo przecież życie jest piękne. Od tego momentu postanowiłam powtarzać to Gosi i sobie codziennie.

10 kwietnia 2003

Jakoś ciężko mi dzisiaj dojść ze wszystkim do ładu. By jakoś uporządkować dręczące mnie myśli i sprawy, postanowiłam wypisać wszystko w punktach. To podobno na bank rozjaśnia umysł. Tak więc:

1.W pracy panuje niezwykle ożywienie wywołane zatrudnieniem nowej, młodej (niezamężnej - czyli wolnej!!!) dziennikarki.

2.W mojej głowie panuje niezwykle ożywienie wywołane zatrudnieniem nowej, młodej (niezamężnej - czyli wolnej!!!) dziennikarki.

3.W moim małżeństwie panuje niezwykle galimatias wywołany zatrudnieniem nowej, młodej (niezamężnej - czyli wolnej!!!) dziennikarki.

4. No cóż, albo ta metoda nie działa, albo ja się do niej nie nadaję, ponieważ wypunktowanie wszystkich problemów nie tylko nie rozjaśniło mi w głowie, ale zaszczerpiło we mnie przekonanie, że nie dość, że jestem monotematyczna, to jeszcze tworzę problemy tam, gdzie ich w ogóle nie ma. Bo jaki może być problem w zatrudnieniu młodej osoby stanu wolnego? Otóż, jak się okazuje, może być i to poważny. Nasz naczelny postanowił zatrudnić kilku nowych dziennikarzy, bo jak zwykle cierpiał na zbyt mało piór. I tym oto sposobem do naszej redakcji trafiła wyżej wymieniona nowa, młoda (niezamężna - czyli wolna!!!) dziennikarka. Tylko przekroczyła próg naszej pracy, a już wszyscy osobnicy płci męskiej zaczęli dyszeć i ślinić się na jej widok. I szczerze mówiąc, wcale im się nie dziwię. Gdybym ja była mężczyzną albo przynajmniej miała odmienną orientację seksualną, też bym się obśliniła do pasa. Bo nowa (ma na imię Julia) wygląda jakby żywcem wyszła ze wszystkich reklam naraz: nogi do nieba, włosy do pasa, lekko falujące, oczy ocienione firanką rzęs, o brzuchu to ona na pewno w ogóle nie słyszała, bo go zwyczajnie nie ma, na pewno natomiast wszystko, co poszłoby jej w brzuch, przeniosło się na piersi - no po prostu ideał kobiety. Istny cud. Na jej widok poczułam lekkie ukłucie zazdrości. Tak naprawdę nie było to lekkie ukłucie, a wręcz potężny cios mocno zaostrzonym sztyletem. Spojrzałam ukosem na Martę i widziałam, że ona czuje to samo. Musiała zauważyć moje spojrzenie, bo skrzywiła się wymownie. Ja postanowiłam być dzielna i nie poddawać się ogarniającemu mnie uczuciu zazdrości. By podtrzymać się w tym postanowieniu, powiedziałam głośno do Marty:

- No cóż, na pewno jest głupia jak but. - Wiadomo, że nic nie zmniejsza zazdrości tak skutecznie, jak wyszukanie wad w obiekcie, któremu zazdrościmy.

- Pewnie - zgodziła się ochoczo Marta. - Ktoś, kto ma tyle w biuście, nie może mieć jednocześnie za dużo w głowie. -I zgodnie zaczęliśmy chichotać.

Niestety, przy bliższym poznaniu Julia okazała się bardzo inteligentna i na domiar złego sympatyczna. Nie można jej było nie lubić. Ponadto była kobietą

wyzwoloną, niezameżną i zupełnie samodzielną. Gdy usłyszała, że obie z Martą jesteśmy mężatkami, spojrzała na nas z ogromnym współczuciem i powiedziała, że nas podziwia, że udaje nam się wytrzymać w tych trudnych związkach. I natychmiast zaczęła opowiadać, jak ona spędza wolny czas, wtrącając co chwila, że za nic na świecie nie zgodziłaby się nawet na małżeństwo z królewiczem, bo nie ma to jak swoboda. Nic na to nie mogłam poradzić, że pod wpływem jej opowieści zaczęłam próbować przypomnieć sobie, jak wyglądało moje życie, kiedy jeszcze nie było w nim Sebastiana i Gosi. I prawdę mówiąc, prawie nic nie pamiętałam. Gdy podzieliłam się tą refleksją z Martą i Julią, ta ostatnia orzekła:

- Po prostu uzależniłaś się od domu i od mężczyzny. A jak wiadomo, mężczyźni nie znoszą kobiet zupełnie od nich uzależnionych. Jak nic on cię wkrótce porzuci.

Patrzyłam na nią ze zgrozą. W oczach Marty widziałam taką samą panikę.

- A ty skąd możesz to wiedzieć? - zapytałam nagle, bo skojarzyłam sobie, że Julia jako osoba wolna i samotna ma niewielkie pojęcie o małżeństwie.

- Kochana - odpowiedziała mi z pobłażaniem. - Mężczyźni jak ognia boją się uzależnionych od nich kobiet. Taka kobieta nie ma własnych zainteresowań, własnego zdania. Staje się lalką, a zabawki po prostu się nudzą. Zrób coś, co uświadomi mu, że masz własny pomysł na życie. Zrób coś szalonego, coś, co go zadziwi. Co go przekona, że wcale nie jesteś taka przewidywalna, jak mu się wydaje. Wzięłam sobie głęboko do serca jej radę i postanowiłam ratować swoje zagrożone małżeństwo. Z postanowieniem było łatwo, z wykonaniem trudniej. W ogóle nie miałam pomysłu na coś szalonego i niezależnego. Ale widocznie los nade mną czuwał i pomysł sam do mnie przyszedł. Gdy wracałyśmy do domu z Martą, przechodziłyśmy obok nowo otwartego salonu tatuażów, kolczykowania i tym podobnych upiornych rzeczy. Już miałyśmy go minąć, gdy spłynęło na mnie olśnienie.

- Idę się przekłuć - powiedziałam z determinacją i spojrzałam na Martę. - Dla dobra mojego małżeństwa - dodałam, widząc zdziwienie w jej oczach. W rezultacie obie wylądowałyśmy w tym potwornym miejscu. Zgodnie odrzuciłyśmy pomysł miłego pana na przekłucie sobie brodawek tudzież umieszczenia kolczyka w innych, jeszcze intymniejszych miejscach, zdecydowałyśmy się natomiast na pępki. Po całej operacji dumnie wróciłyśmy do domów. Wieczorem, gdy położyłam się do łóżka, specjalnie ułożyłam się tak, by kolczyk był dobrze widoczny. I wtedy nastąpiła istna Sodomia i Gomora. Mój mąż, jak się okazało, nie znosi kolczyków, ma na nie alergię, uczulenie i wszystkie inne możliwe przypadłości. Gdy nieśmiało wyjaśniłam mu, że to z myślą o naszym szczęściu, Sebastian najpierw zaczął się śmiać, potem powiedział, że widocznie on jest wyjątkiem i kocha kobiety uzależnione i żebym usunęła to coś, co wygląda jak lechtaczka, która wyrosła w niewłaściwym miejscu. No i w końcu wyszło na to, że nie jestem jednak kobietą

uzależnioną, bo jak wiadomo mężczyźni takowych nie cierpią, albo ewentualnie moje małżeństwo jest zupełnie nietypowe.

15 kwietnia 2003

Nie wiem, co jest w wiosnie, ale ta pora roku ma w sobie coś rozleniwiającego. Wiem oczywiście, że to twierdzenie jest znane od prawieków, ba, nawet w tak odległych czasach jak te, gdy ja chodziłam do szkoły, było już rozpowszechnione. Nadchodził maj i frekwencja w klasach natychmiast niepokojąco malała. Teraz wprawdzie nie chodzę na wagary, ale na wiosnę widocznie się nie uodporniłam. Zresztą, wraz z wiosną nadchodzi przemiła pora grillowania, ognisk, imprez pod gołym niebem, jednym słowem, sama rozkosz. Ostatnio właśnie byliśmy z Sebastianem na ognisku u jednej naszej znajomej. Znajoma była również znajomą Marty, więc z zadowoleniem przyjęliśmy do wiadomości, że wieczór ten spędzimy razem. Ognisko jak ognisko - kupa ludzi, ganiających się dzieci, zapach kiełbasek i alkoholu. Najpierw usiadliśmy z Martą na drewnianej ławeczce i zaczęliśmy codzienne narzekanie, jak to nam się nic nie chce, że dzieci są zadziwiająco pyskate i przebiegłe jak na swój wiek, i takie tam zwykłe babskie sprawy. Koniec końców doszliśmy do wniosku, że wprawdzie pracować się nie chce, ale lepsze to niż siedzenie w domu.

- A wiesz - powiedziałam, popijając drinka - że przed ślubem całkiem podobała mi się wizja siedzenia w domu i wychowywania dzieci? Co więcej, widziałam w tym szczyt marzeń. Głupie, co?

- Wcale nie - mruknęła Marta, wbijając w nadzianą na kij kiełbaskę mordercze spojrzenie. - Wszystkie tak myślimy. Tyle że przed ślubem życie kur domowych jawi nam się jako jedna wielka cudowna baśń. No wiesz, my czekamy w domu, ubrane w najmodniejsze ciuchy, delikatne jak kwiatuszki, on wraca, chwyta nas w ramiona, rzuca na wielkie łoże, potem karmi winogronami tudzież innymi egzotycznymi owocami i zapewnia, jakie jesteśmy piękne. A w rzeczywistości, pomijając już szorowanie garów i inne aspekty bycia panią domu, nasi mężczyźni pierwsze, co robią po powrocie z pracy, to zamiast nas chwytają pilot od telewizora i oglądają w nim jakieś Pamele Anderson z wielkimi cyckami i płaskimi brzuchami, i jeszcze potrafią powiedzieć, że powinnyśmy o siebie zadbać. Dla nich liczą się tylko zgrabne tyłki i duże cycki.

- O przepraszam - odezwał się nagle z boku mąż Marty.

-Nie zgadzam się z wami. Mężczyźni cenią w kobietach przede wszystkim intelekt.

Już miałyśmy mu odpowiedzieć, ale podeszła do nas znajoma od ogniska. Była to młoda istota tuż po ślubie, jeszcze zapatrzona w swojego męża jak w obrazek.

I zapewne szczytem jej marzeń było rodzenie mu dzieci i umiłanie życia. Z całą pewnością nie nadawała się do dyskusji na temat podłości mężczyzn. Jeszcze

nie.

- No i jak się bawicie? - zapytała, przysiadając się do nas.

- Świetnie - odpowiedziałyśmy zgodnie.

- Macie przemiłe dzieci - powiedziała, z rozczeniem patrząc na nasze córki.

Spojrzałam na nią z niejakim zdziwieniem, a potem z pewną dozą niepokoju skupiłam uwagę na naszych dzieciach, które z upiornym wrzaskiem goniły jakiegoś chłopca, wymachując przy tym grubymi patykami.

- Hm - chrząknęłam dyplomatycznie - zapewne, ale ja osobiście wolę podziwiać je z pewnej, najlepiej dość dużej odległości.

- Och, masz wspaniałe poczucie humoru! - Młoda i niedoświadczona znajoma roześmiała się rozkosznie. - Ja to już nie mogę doczekać się swojego dzidziusia - dodała z głębi serca, a my z Martą spojrzaliśmy po sobie. - A wy kiedy planujecie drugie?

- Nigdy - odpowiedziałam, czując jak po plecach przelatuje mi dreszcz grozy na samą myśl o małym śliniącym się, plującym i w kółko sikającym potworku, który przybiera kształt uroczego niemowlęcia.

- No coś ty - powiedziała nasza wspólna znajoma tonem przygany. - Nie można skazywać dziecka na samotność. - Popatrzyłyśmy na nią z Martą ze współczuciem i odrobiną niechęci. Tematu dzieci osobiście miałam dość w domu i nie miałam ochoty psuć sobie nim humoru na przemiłym ognisku. - No, muszę iść. - Młoda zerwała się nagle. - Najwyższy czas podgrzać bigosik. Mój Sławuś wprost go uwielbia.

- Boże - szepnęłam do Marty - czy my kiedyś też byłyśmy takie?

- Niestety, obawiam się, że odpowiedź będzie twierdząca - odszepnęła moja przyjaciółka. - No, ale za jakiś czas jej przejdzie - dodała tonem doświadczonej staruszki.

A potem popatrzyłyśmy na siebie i parsknęłyśmy śmiechem.

- Wiesz co - powiedziałam, gdy już wyśmiałyśmy się do woli - zachowujemy się jak zgorzkniałe stare panny. Tak naprawdę to mężowie w sumie nie są takim złym wynalazkiem.

- W sumie nie są - przyznała Marta. - Ale co do dzieci, to ja poczekam, aż ona będzie miała już swoje. Wtedy pogadamy o skazywaniu tych biedactw na samotność.

- O tak. I mam nadzieję, że nasze samotne biedactwa nie zatłukły kijami tego biednego chłopca.

Pomilczaliśmy chwilę.

- Wiesz co - powiedziała nagle Marta, popatrując na panów, którzy byli już dobrze wstawieni i obejmując się czule, śpiewali coś, wpatrzeni tęsknie w ognisko.

- Donek miał całkowitą rację.

- Z czym? - zapytałam zaciekawiona.

- No z tą inteligencją. Spójrz na nich. Oni muszą cenić w kobietach intelekt. Bo inaczej po prostu by zginęli.

W milczeniu kiwałam głową, bo oczywiście zgadzałam się z nią w stu procentach.

22 kwietnia 2003

O trzeciej w nocy dzwoniła do mnie moja mama. Radosna i świeżutka jak skowronek, czego absolutnie nie można powiedzieć o mnie. O trzeciej w nocy jestem w najgorszej fazie nie-świeżości, jaką można sobie wyobrazić. Najpierw, usłyszawszy jej głos w słuchawce, przeraziłam się, że coś się stało. Wydawało mi się, że moja reakcja jest jak najbardziej typowa. Niestety, mama była innego zdania.

- A dlaczego jak ja do ciebie dzwonię, to od razu musi się coś stać? - zabręczała pretensją jej lekko urażony ton. - Jakbyś nie wiedziała, to nie jestem jeszcze zgrzybiałą i zbzikowaną staruszką.

- No wiesz... - wymamrotałam niewyraźnie, tłumiąc ziewanie. - Zwykle nie dzwonisz do mnie o trzeciej nad ranem, by zapytać o zdrowie.

Wzmiankę o zgrzybiałej i zbzikowanej staruszce pominęłam dyskretnym milczeniem.

- Dziecko, o jakiej trzeciej nad ranem? Ach, no tak, tatusiu, masz rację... Tatuś mi właśnie przypomniał o różnicy czasu. Bo wiesz, twój ojciec zabrał mnie na wycieczkę.

Wydaliśmy na nią całą jego emeryturę i wszystkie oszczędności, w związku z czym zapewne będziemy musieli poprosić was o pożyczkę. Ale po co mówić o drobiazgach...

- Mamo, poczekaj, powoli. Chcesz mi powiedzieć, że nie ma cię w kraju? I że chcesz po powrocie pożyczyć pieniędzy? Tak?

- Och, o tym porozmawiamy, jak wrócimy. Jesteśmy właśnie w pięknym oceanarium i pożeramy delfiny - zabrzmiał mi w uchu radosny głos mojej mamy. Zaraz, moment! Zrozumienie tego, co usłyszałam, przychodziło mi z niejakim trudem. Na pewno musiałam się przesłyszeć - wytłumaczyłam sobie i uznałam, że z racji senności najrozsądniej będzie zakończyć tę rozmowę.

- Mamo, pogadamy kiedy indziej, dobra? Zadzwoń o jakiejś ludzkiej porze, co?

- No wiesz co! To ja dzwonię do ciebie, chcę się podzielić pięknymi wrażeniami, a ty jak się zachowujesz? No, doczekałam się wdzięczności od dzieci, nie ma co!

- Oj, mamuś, nie denerwuj się! - Westchnęłam zrezygnowana, bo wiedziałam,

że nie mam innego wyjścia, jak wysłuchać wszelkich achów i ochów mojej matki. - No to co ty tam mówiłaś?

- Ach, zaczęłam właśnie opowiadać ci o delfinach - szczebiotała mamusia, a ja skamieniałam przy aparacie. Więc jednak się nie przesłyszałam? Moja matka

pożera delfina? Chryste, albo to ja zwariowałam, albo ona.

- Mamo, dlaczego pożerasz delfina? - wypaliłam z grubej rury. - Przecież to nielegalne. Nie wiesz, że te zwierzęta są pod ochroną?

- Dziecko, o czym ty mówisz? - zdziwiła się moja matka. - Mówiłam tylko, że podziwiamy delfiny. Nie masz pojęcia, jakie to piękne i wdzięczne zwierzęta.

I tu moja kochana rodzicielka oddała się swemu ulubionemu zajęciu - mówieniu.

W pewnym momencie nawet przysnęłam przy aparacie, ale widocznie musiałam zachrapać, bo na równe nogi poderwał mnie wrzask, który rozległ się w moim uchu:

- Ty chyba nie śpisz Nataszo, co?!

- Aaaależ skąd - wyjęczałam półżywa ze strachu. - Ale wiesz co mam - zbuntowałam się nagle - zadzwoń do mnie za cztery godziny. Wtedy będę już na nogach i może jeszcze zdążę się chociaż trochę przespać. Opowiesz mi wtedy wszystko o delfinach, orkach i czymś tam jeszcze. Będziesz mi mogła opowiedzieć o wszystkim. Nawet o fokach, obiecuję! Ale teraz daj mi wrócić do łóżka, błagam!

- Wiesz co? Nieraz mam wrażenie, że to ja jestem młoda, a ty stara. Jakoś za mało w tobie radości życia. No, zaraz dam ci spokój, tylko powiedz mi, co ci przywieźć.

Przecież muszę ci kupić jakąś pamiątkę z naszej wycieczki. Dla Gosi i Sebastiana już coś mam. A ty co byś chciała?

- Wszystko mi jedno - zajęczałam i rzuciłam tęskne spojrzenie w kierunku sypialni.

- Naprawdę może być cokolwiek. Nawet dmuchany delfin. Zawsze o takim marzyłam - klepałam, co mi ślina na język przyniosła. - Jak chcesz. - W głosie mojej matki pobrzmiwało zdziwienie. - W sumie to zawsze podejrzewałam, że ty nigdy do końca nie dorosłaś. No, dam ci jeszcze tatusia.

O Boże - jęknęłam w duchu - to chyba noc, którą ktoś przeznaczył na sprawdzenie mojej wytrzymałości psychicznej.

- No cześć, córeczko - zagrzmiał mi w ucho baryton ojca.

- Tato, litości - jęknęłam. - Jest trzecia nad ranem! Chcę spać. Błagam, nie chciej mi opowiadać o pingwinach, bo tego nie zniosę.

- O jakich pingwinach? - zdziwił się ojciec. - Ty chyba rzeczywiście jesteś zmęczona. To wiesz, nie będę cię już męczył. Ale mama chce jeszcze słuchawkę, poczekaj momencik.

-No, córeczko...

- Nie, mam, kończymy tę rozmowę. Po pierwsze, u nas jest trzecia nad ranem, po drugie, zapłacisz majątek za telefon. Nie mogę pozwolić, żebyś się zrujnowała - powiedziałam chytrze.

- Jak to miło, że się o nas troszczysz - rozczuliła się w słuchawce moja mama

- ale nie martw się. Nie zapłacę za telefon ani grosza.

- Nie? - zdziwiłam się uprzejmie, wyobrażając sobie jednocześnie, jak kładę się pod ciepłą kołdrę i błogo zasypiam.

- Nie, bo wiesz, dzwonię na twój koszt - powiedziała słodko, a ja dostałam nagle ataku kaszlu, w czasie którego moja mamusia szybko się pożegnała i odłożyła słuchawkę.

Gdy wróciłam do łóżka, najpierw długo nie mogłam zasnąć, a potem śnił mi się gadający pingwin, który dzwonił do mnie z koła podbiegunowego, a ja widziałam, jak rachunek telefoniczny zjada małym plastikowym widelczykiem moje konto.

29 kwietnia 2003

To zadziwiające, ale mój własny mąż zaproponował mi spędzenie romantycznego weekendu. Nie chodzi mi o to, że nie wierzę w istnienie czegoś takiego jak romantyczny weekend. Owszem, widziałam takie rzeczy w filmie, nawet rozmawialiśmy o tym cudownym zjawisku dawno, dawno temu, jakoś tuż po ślubie. Jednak jak do tej pory pozostało to w sferze moich najskrytszych marzeń i nic nie wskazywało na to, by miało się w jakikolwiek sposób ziścić. Aż tu Sebastian sam wyszedł z tą propozycją.

- Co byś powiedziała - zapytał późnym wieczorem - żebyśmy spędzili nastrojowy weekend tylko we dwoje?

- To raczej niemożliwe - mruknęłam, wpatrując się ze znudzeniem i obrzydzeniem w ekran telewizora, na którym jakiś wariat całował jadowite pająki.

- Dlaczego? - zapytał mój mąż krótko i celnie. No właśnie, dlaczego? - zapytałam się w duchu. I natychmiast sobie przypomniałam.

- Z trzech powodów - powiedziałam, poprawiając sobie pod głową poduszkę.

- Z powodu naszej córki Małgorzaty i z powodu dwóch kotów. Nie możemy zostawić owej trójki bez opieki.

- Ale ona może zostawić nas - odpowiedział natychmiast Sebastian.

- Nie rozumiem - westchnęłam, choć wizja romantycznych chwil już przemykała mi przed oczami.

- No, Gosię możemy podrzucić do twojej mamy, a koty chyba nie będą nam przeszkadzać, co?

- Ale tak w domu? - skrzywiłam się.

- No to co. Chyba nie myślisz, że nie potrafimy dobrze bawić się w domu.

Zresztą obiecuję ci, że nic nie będziesz musiała robić.

- Zupełnie nic? - zainteresowałam się mimowolnie.

- Zupełnie - potwierdził! mój mąż.

Tak więc dałam się skusić. W sobotę wieczorem zjedliśmy kolację przy świecach, potem słuchaliśmy nastrojowej muzyki i gdy już mieliśmy przejść do najbardziej romantycznej części weekendu, zadzwonił dzwonek przy furtce.

- Pójdę zobaczyć, kto to - mruknął mi Sebastian do ucha.

- Spławię go i zaraz wracam.

Poleciał jak na skrzydłach, a ja czekałam na niego zmysłowo wyciągnięta na łóżku. Przecież miał wrócić lada moment.

I wrócił. Tyle że nie sam, a ze swoją cudowną koleżanką Sylwią, która wtargnęła wprost do naszej sypialni. I oczywiście ujrzała mnie ubraną jedynie w skąpe majteczki i stanik, którego bardziej nie było niż był. Na jej widok zerwałam się jak oparzona i cała owinęłam się kocem. Szczerze mówiąc, złość i zaskoczenie

spowodowały, że zaniemówiłam. Oczywiście nie można było tego powiedzieć o tej potworze, przyjaciółce mojego wyrodnego męża.

- Cześć Natasza - powiedziała ze złośliwym uśmiechem, obrzucając moją okutaną w koc postać ironicznym spojrzeniem. - Nie wiedziałam, że jesteś - dodała obłudnie i oparła się o drzwi.

- Rzeczywiście dziwne - wycedziłam z wściekłością - przebywać o dziesiątej wieczorem we własnym domu. Wprost niespotykane, prawda? Czy przypadkiem nie słyszałaś, że o wizycie należy wpierw uprzedzić tego, kogo ma się zamiar odwiedzić?

W tej chwili do sypialni wszedł Sebastian. Obrzucił nas czujnym spojrzeniem i powiedział:

- Dziewczyny, uspokójcie się. Może napijemy się wina, co? - dorzucił błagalnie, patrząc na mnie przepraszającym wzrokiem.

Miałam ochotę go zabić.

- Macie wino? - Sylwia była w świetnym nastroju. - Ty, Sebastian, zawsze pamiętasz, co lubię.

- Oczywiście, że pamiętam - rozpromienił się mój mąż, po czym spojrzawszy na mnie, natychmiast spochmurniał. - Ale wiesz, Sylwia - zdobył się na odwagę i spróbował ratować sytuację - jest trochę niezręcznie...

- Trochę, kochanie? - zapytałam słodko.

- No tak, rozumiem. - Sylwia domyślnie się uśmiechnęła, a ja pomyślałam, jak by to było dobrze, gdybym żyła w mniej cywilizowanym świecie. Mogłabym jej

wtedy dać w ten uśmiechnięty dziób bez obawy, że ktoś pomyśli, że brak mi oglądy towarzyskiej. - Natasza chce się ubrać. Dobra, poczekam na was w saloniku.

I poszła. Patrzyłam za nią oniemiała. W głowie mi się nie mieściło, jak można być tak bezczelnym. Nie pojmowałam również, jak mój mąż może na to pozwalać.

Byłam wściekła i rozgoryczona. Odwróciłam się do Sebastiana.

- Nie mogłem przecież zostawić jej przed furką - szepnął skruszony.

- Za to mnie mogłeś postawić w takiej sytuacji? - zapytałam i z furią wbiłam się w dżinsy.

- Przecież nie wiedziałem, że będziesz prawie naga. Jak wychodziłem, byłaś ubrana - tłumaczył się mętnie.

- To miał być nasz romantyczny weekend - powiedziałam, patrząc mu w oczy i zapinając flanelową koszulę - i czuję się potwornie oszukana, mój drogi. Więc albo pójdiesz teraz do saloniku - złość sprawiała, że mówiłam coraz szybciej - i ją wyprosisz, a ja być może kiedyś ci wybaczę, albo ja osobiście wyrzucę ją ze swojego domu, ale nie odezwę się do ciebie już nigdy w życiu.

Wybieraj, tylko szybko!

- Dobrze, załatwię to - powiedział smętnie mój małżonek i poszedł.

Nie mam pojęcia, co powiedział tej wrednej harpii, ale skutek był taki, że wyszła od nas, trzaskając drzwiami. Byłam tak zła, że na mojego męża nawet nie chciałam spojrzeć. Dopiero w połowie nocy dałam się trochę udobruchać, a nad ranem dałam się przeprosić zupełnie. Nawet zaczęłam myśleć o tym, że mamy jeszcze przed sobą całą niedzielę, która może być bardzo, bardzo miła. Niestety, w nocy padał deszcz, a nam właśnie zaczął przeciekać dach. Romantyczną niedzielę spędziłam ze ścierką w jednej, a wiaderkiem w drugiej ręce. Mój skruszony małżonek rzucał mi przepaszające spojrzenia ze szczytu dachu, gdzie usiłował zrobić coś z dziurą. Po naszym cudownym i romantycznym weekendzie byłam tak wykończona, jak po tygodniu ciężkiej pracy. Na zakończenie mogę tylko dodać, że takowe weekendy radzę wszystkim spędzać poza domem, najlepiej w dzikiej głuszy.

11 maja 2003

Ostatnio przyjechali do nas dawno niewidziani znajomi. Na stałe mieszkają w małym miasteczku pod Wrocławiem i są z niego bardzo dumni. Ile się o tym miejscu nasłuchiwałam przez telefon! Wanda zawsze wychwalała je pod niebiosa. Bo to podobno sklepów mnóstwo - na dodatek tanich - park z jej opisów przypominał rajski ogród (nawiasem mówiąc, nawet jeżeli przesadzała, to niewiele, bo widziałam zdjęcie - było cudne), kawiarni całe mrowie i to do wyboru: jedne przytulne i romantyczne, inne z ogródkami dla dzieci i specjalnymi małymi stoliczkami, gdzie dzieciaki mogły do woli mazać się soczkami i keczupem, a rodzice spokojnie siedzieć w dorosłej części, unikając niepotrzebnego stresu, że za chwilę zostaną ubabrani przez swe pociechy. Jak słuchałam o wszystkich tych cudach (kwietniki w całym mieście, ławeczki pomalowane na bajeczne kolory, niezdemolowane latarnie), ujmowałam się honorem i mówiłam, że u nas też ładnie, zielono i cicho. No i pech chciał, że przyjechali całkiem niespodziewanie, nie dając nam czasu na zaplanowanie ich pobytu. Przywieźli ze sobą swoje dwie pociechy: Patryka i Malwinę. Dzieciaki były mniej więcej w wieku Gosi, więc od razu się dogadały. Rezultatem sojuszu był postulat pójścia na lody, przez rodziców przyjezdnych przyjęty z dzikim entuzjazmem. Zrobiłam w dużym popłochu przegląd miejsc, w jakie może pójść czwórka dorosłych ludzi z trójką dzieci. Wyszło mi, że jest tylko jedno: cukierenka o słodkiej nazwie U Misia Puchatka. W Puchatkowie - jak nazywaliśmy między sobą to miejsce - były stoliki na zewnątrz i w zasięgu wzroku był plac zabaw dla dzieci. Poszliśmy więc rojną i gwarną gromadą. Bardzo rojną i bardzo gwarną. Jak na mój gust oczywiście. W głębi ducha cieszyłam się, że pokażę Wandzie i jej mężowi Puchatkowo, bo to naprawdę przyjemna cukierenka. I cóż z tego, że jedyna w naszym miasteczku? Zaraz potem okazało się, że jest to bardzo istotne. Rzeczony lokal bowiem miał właśnie urlop. Stanęliśmy przed zamkniętymi drzwiami, a ja w popłochu zaczęłam myśleć, co dalej.

- Chodźmy po prostu gdzie indziej - zaproponował radośnie mąż Wandy, Sławek.

- Hm... - chrząknęłam wymownie.

- Aaa - zrozumiała mnie Wanda - to może w takim razie pójźmy do parku?

- Jesteśmy w parku - warknął Sebastian, w którym patriotyzm lokalny zaczął brać górę nad uprzejmością.

- Naprawdę? - Sławek rozejrzał się z niedowierzaniem. - U nas jest trochę więcej tego, no, miejsca. I staw jest i kaczki.

Z niepokojem patrzyłam, jak Sebastian robi się czerwony i zaciska szczęki.

Też coś, kaczek im się zachciewa - zezłościłam się w duchu, mając

jednocześnie przykrą świadomość, że jednak w dużej mierze ich negatywne zaskoczenie jest uzasadnione. I nagle znalazłam rozwiązanie! Skojarzyło mi się ze stawem i kaczkami.

- Wiecie co - powiedziałam miłym i uspokajającym głosem - mam pomysł.

Chodźcie na spacer. Pokażemy wam jeden z piękniejszych zakątków. Rezerwat na Torfach. Jest tam jezioro i kaczki, i łabędzie. No wszystko, czego można zapragnąć - kusiłam, modląc się gorąco, by okazali się zagorzałymi miłośnikami przyrody.

Innego pomysłu naprawdę nie miałam. Moje modły widocznie zostały wysłuchane, bo zgodzili się z ochotą. Dobry nastrój powrócił.

Nawet Sebastian uśmiechał się pod nosem. Przypuszczałam, znając mojego męża, że jest to uśmiech raczej złośliwy. Nasi znajomi oczywiście nie mieli pojęcia, że cudowne miejsce położone jest dosyć daleko. Szczególnie dla dziecięcych nóżek. Gosia była przyzwyczajona do takich spacerów, bo mój mąż jako zagorzały harcerz dbał o to, by była świetnym piechurem. No więc poszliśmy. W połowie drogi ich dzieci zaczęły jęczeć i marudzić, że bołą je nogi, więc Sławek wziął na barana Patryka, a Sebastian - któremu wrócił dobry humor - Malwinę. I tu rozpętało się piekielko, ponieważ Gosia poczuła się zagrożona. Po prostu okazała się prawdziwą kobietą, która z ni kim nie miała zamiaru dzielić się swoim mężczyzną.

Gdy w końcu rozwiązaliśmy ten problem, pojawił się następny. Otóż drugą połowę drogi przebyliśmy, prawie biegnąc w panicznej ucieczce przed chmarą meszek, które najwyraźniej bardzo ucieszyło pojawienie się nieoczekiwanego obiadu. Gdy w końcu dobiegaliśmy zdyszani i ledwo żywi do jeziora, optymistycznie pomyślałam sobie, że tylko tego brakowało, żeby nagle okazało się, że łabędzie zdechły, a kaczki wystrzelali miejscowi kłusownicy. Jednak przynajmniej w tym wypadku los okazał się łaskawy.

Łabędzie były tak łabędziowate jak tylko łabędzie mogą, kaczki pływały po całym jeziorze, w którym odbijały się smukłe sylwetki brzoź.

Było pięknie i cicho. Aż w tej ciszy przesiąkniętej upałem wszyscy umilkliśmy i zapatrzyliśmy się w nieruchomą taflę wody. Nawet natrętne meszki gdzieś znikły.

Drogę powrotną przebyliśmy w wolnym tempie, gwarząc sobie kulturalnie. I w sumie był to bardzo mile spędzony czas. Jednak gdybym miała wybór, to wolałabym, żeby w naszym mieście było więcej miejsc, do których można zaprowadzić wymagających znajomych.

Tym bardziej, że mimo wycieczki i tak wszyscy domagali się lodów...

20 maja 2003

Boże, Boże, Boże!!! To jedyne kulturalne słowo, które przychodzi mi obecnie do głowy. Reszta, która tam jest, albo nie zalicza się do normalnych dźwięków - znajduje się tam na przykład wieloznaczny dźwięk wrrry, grrrry - albo do słów, które nadają się do powtórzenia. Obecny mój stan jest ściśle związany z posiadaniem córki lat sześć. Kto ma dziecko w podobnym wieku, zapewne mnie zrozumie.

Gosia, która wprawdzie zawsze miała wyraźnie zarysowany charakter, teraz znacznie straciła na słodkości i miłej przytulności. Przeprawy, jakie muszę z nią przechodzić, zaczynają się z reguły rano, kiedy to nasza córka niespiesznym krokiem udaje się do łazienki, gdzie z całym majestatem zasiada na sedesie i pozostaje tam około piętnastu minut, głucha i ślepa na moje błagalne nawoływania i prośby o pośpiech. Ze stoickim spokojem siedzi na tym swoistym tronie i udając ogromne zainteresowanie, przegląda książeczkę o krasnoludkach i sierotce Marysi. Gdy zapytałam ją kiedyś, dlaczego przegląda tylko tę książeczkę, odpowiedziała, że krasnoludki na obrazkach wyglądają na mocno przetrawione, co nieodmiennie kojarzy jej się z tematyką łazienkową. Kiedy uda mi się już wywabić Gosię z łazienki (najczęściej metodą na tak zwanego wabia, co oznacza mniej więcej tyle, że udaje mi się ją skusić kremem czekoladowym, ulubionym serkiem czy czymś podobnym; mam w tym niejaka wprawę, bo metodę tę musiałam kiedyś stosować na Oprycha, który wlaź pod wannę i nie chciał wyjść) i w końcu Gosia opuszcza to pomieszczenie, natychmiast wpada do mego Sebastiana, zgrzytając ze złości zębami. Nasze rozkoszne dziecko tymczasem w tempie rasowego flegmatyka wlecze się do pokoju, gdzie rozpoczyna żmudny proces ubierania się, która to czynność zabiera kolejny cenny kwadrans poranka. Ja w tym czasie dobiegam do łazienki, poganiając Sebastiana i wywołując falę spieć i stresów. Tak jest pięć razy w tygodniu. Prawdę mówiąc, tego dnia nic nie odbiegało od normy. Tyle tylko, że Gosia była bardziej naburmuszona niż zwykle i zamiast zakładać naszykowaną do ubrania sukienkę, z ogromnym zainteresowaniem oglądała swoje stopy. Ale w końcu wszystkie trudności zostały przezwyciężone i szczęśliwie udało mi się wypchnąć dziecko za furtkę. I pech chciał, że właśnie w tej samej chwili z sąsiedniej posesji wychodziła nasza sąsiadka, pani Lonia. Pani Lonia jest osobą starszą i bardzo dystyngowaną. Otóż owa kobieta, widząc moją córkę stojącą za furtką i gniewnie kopiącą słupek bramy, zagadnęła ją z miłym uśmiechem:

- A dokąd ty kochanie idziesz, co? Moje dziecko gniewnie milczało.

- Pewnie wybierasz się gdzieś z mamusią, tak ślicznie wyglądasz, masz taką ładną sukieneczkę - nie rezygnowała sąsiadka.

I w tym momencie Gosia podniosła zagniewaną buzię do góry i patrząc

prosto w oczy pani Loni, wypaliła:

- A pani to nikt nigdy nie nauczył, że nie należy być wścibskim? Podszuchując zza uchylonych drzwi, czułam, jak kamienieję. Po prostu mnie zamurowało. Zamurowało też panią Lonię (widziałam to po jej zgorzzonej minie). I tu muszę powiedzieć, że stchórzyłam. Cicho zamknęłam drzwi i postanowiłam, że nie wyjdę, dopóki moja droga sąsiadka nie oddali się na bezpieczny dystans. Bo co ja mogłam w tej sytuacji zrobić? Nawet nie bardzo miałam za co krzyczeć na Gosię, bo wielokrotnie sama jej powtarzałam, że nie należy się nadmiernie wypytywać ani być wścibskim. Gdy obrażona sąsiadka znikła z pola widzenia, wypadłam z domu i złapałam moją córkę za rękę, kierując ją władczo w stronę przedszkola. Nie spotkało się to oczywiście z jej aprobatą i wywołało falę narzekań. Kulminacja złości nastąpiła, gdy moje rozkoszne dziecko potknęło się o wystającą płytkę chodnikową.

- Głupia płytka! - wrzasnęła Gosia, tupiąc nogą.

- Kochanie - powiedziałam tonem męczennika - płytka nie może być głupia z racji tego, że nie umie myśleć.

- I co z tego! - Wrzaski mojego dziecka stopniowo zaczęły przechodzić w chlipanie, a co za tym idzie - przyciągać uwagę przechodniów. Moja cierpliwość, wystawiona na tak dotkliwą próbę, w pewnym momencie zawiodła.

- Przestań robić cyrk - mruknęłam i chciałam ruszyć z miejsca. Ale słodkie dziecko stawiało opór. - Chodź natychmiast - wysyczałam, bo wokół nas zaczął gromadzić się tłumek, a dodatkowo czas mnie naglił coraz bardziej.

- Ja nie chcę - zawyła moja córka głośniej.

- Czego nie chcesz? - Mój ton zaczął się niebezpiecznie podnosić.

- Niczego nie chcę! - produkowała się moja dziecina. - Po prostu mam zły humor! Nie mogę mieć złego humoru?

- Nie możesz! - ryknęłam, wyprowadzona zupełnie z równowagi.

- Czemu na mnie wrzeszczysz? - odryknęła na to moja córka.

- Właśnie, właśnie - wtrąciła się jakaś gruba baba z ogromnym koszem wspartym na nie mniej ogromnym brzuchu. - Myśli sobie taka, że jak jest starsza, to może się bezkarnie na dziecko wydzierać!

W tym momencie pomyślałam sobie, że albo natychmiast oddalimy się z tego miejsca, albo ja niechybnie kogoś pobiję. Widocznie Gosia wyczuła mój stan ducha, bo już bez oporu pozwoliła się uprowadzić z miejsca konfliktu. A po chwili, wchodząc do przedszkola, prezentowała już zgoła inny humor. Zmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki: była uśmiechnięta, miła i pogodna. Miała również cichutki i słodki głos. Ja, niestety, nie umiałam tak prędko dojść do siebie i siedząc przy biurku, powtarzałam sobie w duchu wszystkie niecenzuralne wyrazy, jakie znam. Potem zostałam pocieszona przez koleżankę, że ten wiek tak ma i trzeba to po prostu przeżyć. Tak więc twardo postanowiłam przetrwać te trudne

chwile.

Znając życie (i siebie), postanowienia dotrzymam do przyszłego poranka,
kiedy to wszystko zacznie się od początku.

10 czerwca 2003

Hura! Życie jest wspaniałe! Cudowne! Nie może być lepsze! Tak, tak - od samego rana myślę wykrzyknikami. Dodać do nich powinnam jeszcze dwie rzeczy:

Mam wspaniałego męża! Oraz równie wspaniałych rodziców! No dobrze, a teraz wyjaśnię, co wprawiło mnie w tak szampański nastrój.

Otóż mój cudowny mąż sprawił mi nie lada niespodziankę. Obudziłam się dzisiaj rano i zamiast jak co dzień rozpocząć dzień od wywlekania wszystkich z łóżka, ze zdziwieniem zauważyłam, że Sebastian już wstał i pluszcze się w łazience. Dawało mi to kilka dodatkowych minut, które natychmiast postanowiłam wykorzystać na pięciominutową drzemkę. Zamknęłam więc oczy i zapadłam w błogi półsen. Po chwili zostałam obudzona przez Sebastiana, który stał przy łóżku z tacą ze śniadaniem w ręku.

Przetarłam z niedowierzaniem oczy, zastanawiając się, czy postać mojego męża nie należy przypadkiem do świata snu. Gdy okazało się, że jest on w stu procentach rzeczywisty, natychmiast zrobiłam się czujna i zaczęłam zastanawiać się, co też on musiał nawywijać, że aż tak się poświęca. Śniadanie do łóżka! Bardzo podejrzane.

Tak podejrzane, że natychmiast się rozbudziłam.

- No co tam? - zapytałam podejrzliwie.

- No jak to co? - Mój mąż uśmiechnął się słodko. - Zrobiłem ci śniadanko, nie cieszysz się?

- Eee, no cieszę się jak cholera, tylko zastanawiam się, czym sobie zasłużyłam - mruknęłam, wpatrując się w tacę i jednocześnie zastanawiając, z jakiej to okazji mamy dziś dzień dobroci dla zwierząt. Z moich doświadczeń wynikało, że niechybnie coś musiało się stać, coś, o czym mój małżonek nie ma odwagi mi normalnie powiedzieć.

- Kochanie, ty nie musisz sobie zasługiwać. Wystarczy, że jesteś - powiedział ze śmiechem Sebastian.

Przez moment miałam wrażenie, że ten uśmiech przypomina mi wizerunek rekina, który ostatnio widziałam w jakiejś ilustrowanej książce. Potem jednak pomyślałam, że popadam w paranoję i że nawet jeżeli moje przypuszczenia okażą się słuszne, to nie należy pozbawiać się przyjemności zjedzenia śniadania w łóżku.

- A ty nie będziesz jadł? - zapytałam.

- Nie, ja sobie popatrzę, jak wcinasz - rzekł z uśmiechem Sebastian i zapatrzył się we mnie jakimś dziwnym wzrokiem.

Śniadanie śniadaniem, ale sytuacja była dziwna. Mój mąż nigdy nie odmawiał jedzenia. Więc to, co się stało, musiało być naprawdę straszne. Nabrałam w płuca powietrza, odetchnęłam dla dodania sobie odwagi i zapytałam:

- Stało się coś? Chcesz mi może coś powiedzieć?

- Nic się nie stało - odpowiedział mój mąż, wciąż śmiejąc się wesoło. - Ale rzeczywiście chcę ci coś powiedzieć. Ale dopiero jak zjesz.

Za bardzo wesolutki jesteś kochasiu - myślałam, nadgryzając świeżą bułeczkę.

Byłam zdenerwowana do granic możliwości, a co za tym idzie, śniadanie podane przez mego męża traciło nieco na romantycznym uroku. Coś tu nie grało, a ja nie znosiłam niepewności. Zresztą przyznacie sami, że kiedy facet - w szczególności własny mąż - staje się zbyt miły, musi wydać się to podejrzane.

- No, zjadłam już - powiedziałam ożywionym i radosnym tonem. Wypadło to dość słabo. - Czy możesz mi teraz powiedzieć, dlaczego jesteś tak bardzo tajemniczy?

- W sumie mogę, ale mam ochotę potrzymać cię jeszcze w niepewności - powiedział Sebastian, zacierając ręce z zadowoleniem.

- Nie radzę, kochanie - powiedziałam ze słodkim uśmiechem. Moja cierpliwość była już na krańcach wytrzymałości. - Mów, co masz do powiedzenia, bo zacynam podejrzewać, że nie jest to nic miłego.

- No wiesz? Jesteś okropna - zdenerwował się mój mąż.

- To ja staram się spełniać twoje marzenia, chcę, żeby było naprawdę przyjemnie, a ty mi tak odpłacasz?

Same podejrzania! I czym ja sobie na to zasłużyłem? Czym, pytam? Tym, że wykupiłem nam dwutygodniową wycieczkę do Francji?

Tym, że pamiętałem, że właśnie o tym marzysz od kilku lat?

- Co takiego? - zapytałam, wyskakując z łóżka i patrząc na niego z niedowierzaniem.

- Jedziemy do Francji?! - zakrzyknęłam radośnie i rzuciłam się mu na szyję.

- Jesteś najukochańszym mężem na świecie - powiedziałam, patrząc mu w oczy.

- No, to mi się podoba - mruknął Sebastian. - Wybaczam ci nawet tę twoją podejrzliwość, ty podła jaszczurko.

- A ja wybaczam ci tę jaszczurkę - odpowiedziałam ze śmiechem. - A teraz mów! Kiedy jedziemy i co to za wyjazd.

- Wycieczka jest za dwa tygodnie. Jest to oferta z last minutę, więc jest w miarę tania, a co za tym idzie, nie będziemy całkowicie zrujnowani po powrocie z wakacji.

Gosia zostaje z twoimi rodzicami. Wszystko jest załatwione. No, a teraz czekam na czułe podziękowanie.

- Jak sobie życzysz - mruknęłam i już miałam go pocałować, gdy za naszymi plecami rozległ się głos Gosi:

- Nie chciałabym przeszkadzać - mówiła właśnie nasza córka - ale moglibyście mnie poinformować, czy idę dziś do przedszkola?

Potem możecie całować się do woli - zezwoliła łaskawie.

I tym sposobem wróciłam do rzeczywistości, w której to zegarek okrutnie pokazywał, że jestem już spóźniona o dobre pół godziny.

Tak więc zaczęłam się gorączkowo przygotowywać do wyjścia, a rozmowę o wyjeździe oraz podziękowanie przełożyliśmy z Sebastianem na późny wieczór.

15 czerwca 2003

Jaka ja jestem nieszczęśliwa! Jestem najbardziej nieszczęśliwą osobą na całym ziemskim globie. Wszystko jest przeciwko mnie!

Wszyscy się dogadali, żeby mi dokuczyć. Jak ja ich wszystkich nienawidzę! A najbardziej nienawidzę mojego szefa Mateusza. Żeby w naszych czasach istniały czarownice, niechybnie bym się do takowej udała i zamówiła jakiś urok na tego obrzydliwego pacana. Otóż dziś udało mi się wejść do mojego szefa i zastać go na tyle niezajętego, że mógł poświęcić mi pięć minut swego drogiego czasu. Weszłam cała w skowronkach i z uśmiechem od ucha do ucha powiedziałam:

- Mateusz, słuchaj, przyszedłam prosić cię o urlop. - Tu przerwałam, bo jego mina mówiła mi, że powiedziałam coś nie tak.

- O urlop, tak? - zapytał, mrużąc oczy.

- No tak. Jakbyś zapomniał, mamy lato, wakacje i te sprawy. Wtedy najlepiej się wypoczywa - wyjaśniłam cierpliwie.

- Nie zapomniałem, słonko - odpowiedział lodowatym tonem. - Nie zapomniałem nawet na moment. Nie zapomniałem również, że nasza gazeta wychodzi co tydzień i jakoś nie mogę sobie wyobrazić, by mogła ona ukazać się bez graficzki i korektorki oraz kilku dziennikarzy.

-Aleja tylko...

- Żadnych tylko! Wszyscy powariowali! Jak jeden mąż uparliście się, że weźmiecie urlop na początku lipca! Nie ma mowy! Może jeszcze niedługo powiecie mi, że sam mogę wydać te dwa numery gazety? Co?

Jakbyś zapomniała, to ty jeszcze poza korektą masz listy, na które powinnaś dawać odpowiedzi. A to najbardziej gorący okres! Piszą zrozpaczeni rodzice, których gnębią koszmary na temat wyjazdów ich dzieci, bazgrzą nastolatki, które przeżyły zawód miłosny, zaszły w ciążę pod namiotem i takie tam. Czy ja wyglądam na kogoś, kto umie udzielić dobrych rad takim bachorom?

- Nie, tak naprawdę to wyglądasz na kogoś, kto nie umie w ogóle udzielać żadnych rad! - odpowiedziałam z urazą, bo z jakiej racji się na mnie darł? - Potrzebny mi jest urlop na dwa tygodnie. Mój mąż wykupił wycieczkę do Francji!

Jest to moje marzenie od niepamiętnych czasów, więc jeżeli mi nie udzielisz zgody na te wolne dni, będziesz winien niespełnienia moich marzeń.

- No to już czuję się winny! - wrzasnął Mateusz, którego moja przemowa wytrąciła zupełnie z równowagi. - Nie wiem, jak to przeżyję, ale zapewniam cię, że jakoś sobie z tym poradzę! Ponadto, jak masz zamiar gdzieś wyjeżdżać, to zanim wykupisz wycieczkę, upewnij się, że będziesz miała możliwość z niej skorzystać! Nie przyszło ci do głowy, że możesz nie dostać urlopu? Wszyscy jesteście niezdyscyplinowani! To jest praca, a nie wczasy pod gruszą do cholery!

- Wycieczkę wykupił mój mąż - powiedziałam lodowatym tonem. - To miała być niespodzianka, więc jak się możesz domyślić, nic mi o niej wcześniej nie powiedział, a ja nie jestem jasnowidzem. Gdybym o niej wiedziała, z całą pewnością załatwiłabym wszystko najpierw z tobą.

- A tak będziesz musiała załatwić wszystko z biurem podróży i zwrócić za ten zakichany wyjazd albo przełożyć go na połowę sierpnia.

O wcześniejszym terminie nie ma mowy! Koniec dyskusji - powiedział stanowczo, widząc, że szykuję się do głośnej obrony. - Wracaj do pracy. I tak już dość czasu zmarnowałaś. Nie płacimy ci za ucinanie sobie ze mną pogawędek.

No i co miałam robić? Poszłam, zastanawiając się, jak powiedzieć Sebastianowi, że z wyjazdu nici. Przy swoim biurku zastałam Martę, Łucjana i Rafała, którzy patrzyli na mnie współczująco.

- No co? - zapytałam agresywnie, bo wściekłość się we mnie aż gotowała.

- No nic. - Marta uśmiechnęła się niewyraźnie. - Jak się domyślamy, ty też poszłaś prosić szefa o urlop.

- Jak to też? - zdenerwowałam się jeszcze bardziej.

- No tak. Akurat tak się złożyło, że byliśmy już tam wszyscy. Zgadnij kiedy?

- Dzisiaj? - zapytałam słabym głosem.

- Aha! I wszystkich potraktował w taki sam sposób.

Wrzeszczał i się wściekał.

A wiesz dlaczego?

- No wiem. - Westchnęłam. - Z powodu gazety.

- Ano właśnie nie. Nie zgadłaś.

- No to co go ugryzło? - zapytałam, patrząc na uradowane twarze moich kolegów.

- Nigdy byś na to nie wpadła - zaśmiał się Łucjan. - Otóż naszego drogiego szefa dręczą wakacyjne koszmary. Jego droga córka siedemnastolatka wyjechała ze swoim facetem pod namiot.

- I Mateusz - wpadł mu w słowo Rafał - trzęsie się ze strachu, że zostanie niespodziewanie dziadkiem.

- Summa summarum - dokończyła Marta - my nie dostaniemy urlopu. Jakoś musi się facet rozładować.

- No to ja idę odpisywać na listy - powiedziałam. - A wszystkie te, które będą zawierać słowo „ciąża”, zostawię Mateuszowi do wglądu.

22 czerwca 2003

Po wielkiej awanturze o urlopy w pracy zapanowała atmosfera pełna napięć i stresów. Mateusz chodził zasępiony i kiedy dzwonił telefon, rzucał się do niego z miną zaaferowanego wariata. Niestety, jego córka nie miała widać ochoty kontaktować się ze swoim tatusiem na samym początku wakacji i z dnia na dzień nasz szef chodził coraz bardziej wściekły. Odbijało się to na wszystkich, bo czepiał się niemilosiernie. Nigdy w życiu nie widziałam pociechy Mateusza, ale coraz bardziej zaczynałam jej nie lubić. Gdy zostałam któryś raz wezwana na dywanik, nie wytrzymałam i powiedziałam zirytowanym tonem:

- Słuchaj Mateusz, każdy przeżywa stresy. Ja na przykład mam pogrążonego w żałobie męża, bo nie mógł on zrealizować swoich planów wakacyjnych. Ale czy przychodzę tu do ciebie i czepiam się wszystkiego? Nie, nie przychodzę, bo jestem człowiekiem rozumnym i wiem, że nic by to nie zmieniło w mojej sytuacji. Ty natomiast masz córkę, która w przeciwieństwie do mnie mogła zrealizować swoje plany na lato i to jest powodem twoich stresów. Ale czy ktokolwiek z redakcji jest temu winien? Weź stary na wstrzymanie.

- Skąd wiesz? - warknął na to mój szef.

- Co wiem? - zamrugałam zdeorientowana rzęsami i nagle zorientowałam się, że wygadałam się o jego córce.

- Skąd wiesz o mojej córce?

- A tak jakoś obilo mi się o uszy.

- To znaczy, że jestem u wszystkich na językach i wszyscy wiedzą - wyszeptał Mateusz nieszczęśliwym głosem. - A ja już nie mogę - ciągnął. - Wszędzie natykam się na małe paskudne dzieci i wyobrażam sobie, że za dziewięć miesięcy moja małaletnia córka przyniesie mi takiego bekającego śmierdziela do domu. Wczoraj byłem na zakupach i wiesz co? Chyba wszystkie matki z naszego osiedla umówiły się, że będą robić zakupy w tym właśnie czasie.

Wszędzie było pełno beczących i wrzeszczących dzieci w wózkach. Wyszedłem stamtąd czym prędzej. Wszedłem do mieszkania i z westchnieniem ulgi zamknąłem za sobą drzwi. Pomyślałem, że przynajmniej tu będę miał święty spokój i nareszcie sobie odpocznę i może trochę się odstresuję. Siadłem na kanapie, włączyłem telewizor i zgadnij, co zobaczyłem?

No?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałam, patrząc na niego ze współczuciem.

- Reklamę pieluszek, które mają ponoć wchłaniać jeszcze większą ilość rzadkiej kupki. Rozumiesz? Samo to zestawienie słów wywołuje we mnie dreszcz obrzydzenia.

- Rozumiem - przytaknęłam z przekonaniem, bo we mnie dreszcz

obrzydzenia wywoływało już samo słowo pielucha. Szczerze mówiąc, jedną z najszcześniejszych chwil w moim życiu była ta, kiedy Gosia postanowiła porzucić swe dziecięce przyzwyczajenia i zacząć nowe życie pod znakiem żółtego nocnika.

- No więc sama widzisz. - Mateusz patrzył na mnie wzrokiem zamkniętego w klatce zwierzęcia. - Ale to jeszcze nie koniec - dodał ponuro.

- Nie? - zapytałam ze współczuciem.

- Nie. Pełen złych przeczuć wyłączyłem telewizor i postanowiłem się zdrzemnąć.

Usnąłem prawie natychmiast i wiesz, co mi się śniło?

- Nie bardzo - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

- Śnił mi się mały rozkoszny dzidzius zapluty do samego pasa i wołający do mnie dziadku! Obudziłem się z uczuciem, że zupełnie zwariowałem! A jeszcze do tego wszystkiego ona w ogóle nie dzwoni. Nie wiem, co się z nią dzieje. Czy w ogóle żyje! Tyle teraz się dzieje, a ona sama pod tym namiotem z tym, pożałuj Boże, Wojtusiem, który jest namiastką mężczyzny. Co ona w nim widzi? Zresztą ma na to jeszcze czas! Teraz powinna myśleć o nauce!

- I może jeszcze jej to wszystko powiedziałeś? - zapytałam, czując się nareszcie na znajomym gruncie, bo wszystkie objawy, jakie demonstrował Mateusz, widziałam wielokrotnie u Sebastiana, gdy tylko przyszedł mu na myśl jakiś przyszły chłopak Gosi.

- Oczywiście! - wykrzyknął, łapiąc się za głowę. - Musiałem przecież ją ostrzec.

- No to, niestety, nie zrobiłeś za mądrze, mój panie - mruknęłam. - Przecież ona dorasta i chce być traktowana jak odpowiedzialna osoba. Musisz okazać jej trochę zaufania. Nie znam twojej córki, ale mniemam, że zrobiłeś wszystko, by miała dobrze poukładane w głowie. Więc na pewno nie zrobi głupstwa. Żeby zajść w ciążę, nie trzeba koniecznie wyjeżdżać na wakacje.

Gdyby chciała, udałoby się jej i tutaj, na miejscu - powiedziałam i uśmiechnęłam się pokrzepiająco. - I przestań się zamartwiać! Na pewno niedługo zadzwoni!

- Myślisz? - zapytał, patrząc na mnie z nadzieją.

- Pewnie! - Uśmiechnęłam się i wstałam. - Mogę iść, czy nadal chcesz na mnie wrzeszczeć?

- No coś ty, daj spokój - mruknął zmieszany. I w tym momencie zadzwonił telefon.

Mateusz w pierwszej chwili zrobił nagły wyrzut do przodu, ale potem spojrzał na mnie, chrząknął i powiedział:

- Możesz odebrać?

- Słucham, redakcja - rzuciłam do słuchawki i uśmiechnęłam się do Mateusza.

- Dzień dobry, chciałam rozmawiać z Mateuszem Kubickim, to mój tata - usłyszałam w słuchawce wesoły głos. Wyciągnęłam do niego słuchawkę i powiedziałam:

- To do ciebie. Córka. Widzisz, mówiłam, że zadzwoni. - I w doskonałym nastroju wyszłam z gabinetu i pospieszyłam powiadomić wszystkich, że czas terroru redakcyjnego prawdopodobnie został zakończony.

29 czerwca 2003

Niezbadane są wyroki boskie. Tak zwykła mawiać moja babcia. Oczywiście kiedy jeszcze żyła. Potem, gdy umarła, nie raczyła powiedzieć czegokolwiek (na całe zresztą szczęście). Myślę, że gdyby wtedy przemówiła, moje wątle nerwy nie wytrzymałyby tego. Od razu chcę zaznaczyć, że mimo tej całej pozbawionej sensu paplaniny jestem zdrowa na ciele i umyśle (przynajmniej tak mi się wydaje, bo całkowitej pewności nigdy mieć nie można). I na potwierdzenie moich słów już wyjaśniam, o co mi chodzi. Otóż wieczorem siedziałam sobie spokojnie w wannie, rozkosznie się relaksując, gdy nagle na równe nogi poderwał mnie ryk dobiegający z pokoju. Ryk miał postać słowną i brzmiał mniej więcej tak:

- Naataaasza!!! Chodź no tu, tylko szybko!!!

Należy tu dodać, że ryk wydał mój szanowny małżonek. A ja zamiast natychmiast lecieć i zobaczyć, co się stało, względnie ratować go przed bliżej nieznanym niebezpieczeństwem, w pierwszym momencie po prostu znieruchomiałam i ledwo zipiąc, usiłowałam zmusić moje sztywne nagle nogi do posłuszeństwa. Tak to właśnie moją od dawna zaplanowaną relaksującą kąpiel trafi! nagle szlag. Gdy tylko odzyskałam władzę w członkach, pognałam do pokoju.

Mojego męża nikt jednak nie mordował ani nie działo się nic, co mogłoby usprawiedliwiać podobne wrzaski.

Sebastian siedział jak zwykle na kanapie z miną wielce zaaferowaną i oniemiały gapił się w ekran telewizora.

- No i czego tak wrzeszczysz? - zapytałam potwornie zirytowana.

Mój mąż machnął tylko ręką.

-Cicho bądź i posłuchaj!

Natychmiast zirytowałam się jeszcze bardziej, bo co mi taki nieczuły drań, niezważający na to, że biorę relaksującą kąpiel, będzie machał przed nosem.

- Nie machaj na mnie, dobrze? - syknęłam. - Co ty sobie myślisz, że ja jestem jakąś muchą, że możesz sobie tak po prostu na mnie machać?

- Boże kochany, kobieto, zamilcz na chwilę i posłuchaj.

Mówią właśnie o naszej niedoszłej wycieczce.

- A co ty mi będziesz oczy mydli! jakąś wycie... - I tu przerwałam, bo załapałam, o co mu chodzi, i posłusznie umilkłam, ale, niestety, było już za późno i ekran wypełniły twarze jakichś nadętych facetów.

- No i widzisz? Gdybyś była cicho, to byś wszystko wiedziała - powiedział Sebastian tonem pełnym wyrzutu.

- No dobra, masz rację - przyznałam posłusznie. - Jestem potworną jędzą. Ale powiedz mi, co mówili?

- Otóż, moja droga, powiedzieli właśnie, że ta wycieczka to był jeden wielki przekręt.

- Jak to? - zapytałam mało inteligentnie.

- No tak to. Gdy turyści przyjechali na miejsce, okazało się, że nie ma miejsc w hotelach, spali w jakichś strasznych barakach, bez wody i ubikacji. Ponadto nie dotarli wcale do Paryża, tylko zostawiono ich w jakiejś małej miejscowości. Nie mieli nawet czym wrócić do domu.

- O Boże! - mruknąłam wstrząśnięta. - To prawdziwy cud, że my tam nie pojechaliśmy!

Nie ma co, ale byśmy użyli.

- No cóż, za ten cud to chyba należy podziękować twojemu szefowi - mruknął Sebastian. - Poczulem właśnie do niego nagły przyływ sympatii. Biedny facet, skląłem go, na czym świat stoi, a dzięki niemu nie musieliśmy przechodzić przez to całe piekło.

- Raczej dzięki jego córce - sprostowałam, czując jak strumyk wody spływa mi lodowatą strużką po plecach.

- Córce? - zdziwił się Sebastian. - A co ma do tego jego córka?

- Uwierz mi kochanie, że bardzo dużo - powiedziałam, owijając się ciasno szlafrokiem.

- Czy ktoś tu mówił o córce? - rozległ się za moimi plecami głos Gosi.

- Tak, kochanie, ale mówiliśmy o innej córce, nie o tobie - powiedziałam, a moje dziecko spojrzało na mnie z wyrzutem.

- No tak - mruknęła Gosia zrezygnowana. - Zawsze wiedziałam, że coś przede mną ukrywacie. Więc gdzie ona jest?

- Kto? - zapytałam, bezradnie popatrując na Sebastiana.

- No ta wasza druga córka - drażzyła Gosia głosem pełnym pretensji. - Sami przed chwilą się do tego przyznaliście.

- Ja nie przyznawałam się do niczego - zaparłam się stanowczo. - I nie ma żadnej drugiej córki.

- Jak nie ma, to o kim mówiliście?

- O córce mojego szefa - powiedziałam i poczułam się potwornie głupio, musząc tłumaczyć się przed własnym dzieckiem.

- Coś mi tu śmierdzi - wyraziła się obrazowo Gosia, kiwając z politowaniem głową - ale ja dojdę, co to jest. - I patrząc na nas nieufnie, wycofała się do swojego pokoju.

Spojrzeliliśmy na siebie z Sebastianem i nagle złapał nas atak śmiechu. Bo w sumie to dziecko nie jest złe, szczególnie na rozweselenie. A co do wycieczki, to powtórzę za moją babcią: niezbadane są wyroki boskie. I wyroki szefa, rzecz jasna.

1 lipca 2003

Czy może być coś gorszego od dorosłego pesymisty, który snuje się po domu i psuje wszystkim nastrój? Otóż stwierdzam z całą pewnością, że może: gorszy mianowicie od dorosłego pesymisty jest mały pesymista. Moje dziecko, które do tej pory miało jedynie czasem gorsze dni, prezentuje ostatnio postawę zniechęconego i znudzonego swoją obecną egzystencją. O kłopotach z porankami już wspominałam, ale sytuacja zamiast się poprawiać, uległa krańcowemu pogorszeniu.

I tak dzisiaj rano wyglądało to mniej więcej tak:

Jak zwykle poranek rozpoczęłam od ściągnięcia Gosi z łóżka. Potem popędziłam robić śniadanie. Z kuchni słyszałam, jak moje dziecko kłóci się przez zamknięte drzwi z Sebastianem:

- Gośka, wychodź już! - darł się pod drzwiami łazienki mój mąż.

- Czy ja nawet w łazience nie mogę mieć spokoju? - zapytał obrażony głosik.

- Nie dyskutuj, tylko wychodź, bo spóźnię się przez ciebie do pracy!

- Jak zwykle przesadzasz - zaopiniowała Gosia tonem zirytowanego flegmatyka.

- Gośka!!! - ryknął Sebastian, wytrącony zupełnie z równowagi.

- No dobrze, dobrze, już wychodzę - łaskawie poinformowała go nasza córka i po chwili skrzypnęły drzwi, oznajmiając, że Gosia raczyła opuścić łazienkę.

- Chodź na śniadanie - zawołałam z kuchni.

- Nie będę jadła - poinformowała mnie moja córka, siadając z nadętą buzią przy stole.

- Oczywiście, że będziesz jadła - powiedziałam, wznosząc oczy do nieba i błagając moce niebieskie o większy przydział cierpliwości.

- Po co? - zapytało moje dziecko tonem męczennika. - Przecież to bez sensu.

Jutro też bym musiała jeść i pojutrze. Tak samo nie zamierzam sprzątać swojego pokoju. I tak się w nim brudzi. W ogóle wam to dobrze!

Jeżeli nie chcecie jeść, to nie jecie, nie chcecie sprzątać, to nie sprzątajcie. A dzieci? Muszą robić to, co wy im powiecie.

- No cóż, takie jest życie - mruknęłam filozoficznie. - Mogę cię pocieszyć, że kiedyś odbijesz to sobie na własnych dzieciach.

- Ja nie będę miała dzieci! - oznajmiła kategorycznie moja córka, grzebiąc flegmatycznie w serku. - Ani męża.

- A to dlaczego? - zapytałam z zainteresowaniem.

- Bo to bez sensu. Faceci tylko jęczą, a dzieci marudzą, sama tak mówisz - wytknęła mi Gosia. - Ja przez całe życie będę mieszkać z wami.

Cudowna perspektywa - pomyślałam, a głośno powiedziałam:

- Pogadamy o tym za jakieś dziesięć lat, a teraz kończ jedzenie, bo musimy już wychodzić. Spóźnisz się na półkolonie. - Nie chcę iść na półkolonie - zajęczało płaczliwie moje dziecko. - Nasza pani jest głupia, a dzieci wredne. Wszyscy są przeciwko mnie. Proszę, mamusi, ja nie chcę!

- Ależ Gosiu, przecież wiesz, że nie możesz zostać w domu, bo nie ma kto do ciebie przyjść. Zresztą pani Dorotka wydaje się całkiem miła.

- Aha! Ta stara jędrza się maskuje - powiedziała Gosia tonem doświadczonego starca.

- Chryste, daj mi cierpliwość! Gosiu, jak ty się wyrażasz o swojej opiekunce?

- Tak jak ty o naszej sąsiadce - odpowiedziało mi nasze słodkie dziecko, a ja zachłysnęłam się herbatą. Gdy doszłam do siebie, postanowiłam bardziej uważać na to, co mówię.

- No dobra, dość gadania, musimy wychodzić.

- Wiesz co - powiedziała Gosia, wpijając we mnie oczy pełne pretensji - ty mnie w ogóle nie kochasz. Nikt mnie nie kocha!

- Czyś ty zwariowała?! - zdenerwowałam się natychmiast. - Przecież wszyscy cię kochamy, tylko każdy ma swoje obowiązki i musi je wypełniać. Ja z tatusiem chodzimy do pracy, a ty na półkolonie. I tyle.

- Akurat - mruknęła moja córka sceptycznie i z miną maltretowanego stworzenia udała się do łazienki umyć zęby.

Gdy w końcu udało mi się ją odstawić na półkolonie, byłam najszczęśliwszą osobą pod słońcem. Wracając z pracy, wstąpiłam do koleżanki, która miała córkę w tym samym wieku. Co więcej, miała też starsze dzieci, więc istniała szansa, że poradzi mi, co mam zrobić, by przekonać Gosię, że jest dla nas najważniejsza na świecie. Iza wysłuchała mnie uważnie, a potem powiedziała:

- Nic nie rób. Widzisz, z moich obserwacji wynika, że to taki wiek. Nikt ich nie lubi, nikt nie kocha. Wszyscy są źli i wredni. Ale z czasem to minie.

- To ma tak po prostu być? - zdziwiłam się. - I to wcale nie znaczy, że jestem potworem, każąc jej uczęszczać na te półkolonie?

- Daj spokój. - Iza machnęła ręką. - Przecież nie zwolnisz się z pracy, by ją uszczęśliwić. Zresztą - dodała ze śmiechem - ktoś musiałby wtedy zastąpić ową wredną panią. Zakład, że ty wskoczyłabyś na jej miejsce.

Zawsze musi być ten zły.

Gdy trochę później odbierałam Gosię z półkolonii i usłyszałam od niej to co zwykle, powiedziałam z uśmiechem:

- Wiesz co, córko, to, na co cierpisz, powszechnie nazywa się manią prześladowczą.

Ale podobno jest szansa, że z tego wyrośniesz - dodałam, ściskając pokrzepiająco jej rączkę.

- Nic nie rozumiem - powiedziało z wyrzutem moje dziecko. - Ale wiem, że ty tak specjalnie mówisz, żebym nic nie rozumiała. A potem tylko słyszę, że to czy tamto. A jak ja mam dobrze robić, jak ja nie pojmuję, co do mnie mówicie? - zapytała, a ja wzniosłam oczy do nieba i pomyślałam, że albo Gosia szybko wyrośnie z tej przypadłości, albo ja przedwcześnie osiwieję.

8 lipca 2003

Nigdy w życiu nie sądziłam, że spotka mnie coś takiego! I za co? Chyba jedynie za to, że całe życie byłam uczciwa (przynajmniej w 90 procentach). Wiem, że zdarzało się to moim przyjaciółkom, moim znajomym, a nawet rodzonemu ojcu, ale czy to jest wystarczający powód, żebym i ja musiała to przeżywać? A jeszcze tydzień temu byłam szczęśliwą mężatką. Mężatką jestem nadal, ale teraz można o mnie powiedzieć wszystko, tylko na pewno nie to, że jestem szczęśliwa. Otóż kilka dni temu Sebastian powiedział mi, że ma delegację z pracy, na którą koniecznie musi wyjechać. Oczywiście nie byłam zachwycona, bo niby dlaczego on ma sobie gdzie jeździć, pić piwo i dobrze się bawić, podczas gdy ja będę pracować i zajmować się dzieckiem?

- Kochanie - powiedział mój mąż - ja naprawdę nie jestem z tego powodu zachwycony - (akurat, tylko mu się oczka świeciły) - ale jak trzeba, to trzeba.

- No tak - powiedziałam z ociąganiem - a gdzie jedziesz? - Miałam nadzieję, że będzie to jakieś szare i nieciekawe miejsce, z którego z przyjemnością wróci do domu.

- W Bieszczady - powiedział krótko mój podły małżonek.

- A z kim? - zapytałam, wijąc się z zazdrości. - Co z kim?

- No, z kim jedziesz?

- A... No... Z Romanem - odpowiedział z lekkim niepokojem, który trochę mnie zdziwił, ale nie aż tak, żebym zaraz o tym nie zapomniała.

No i tak sprawa delegacji została wyjaśniona, a ja przyjąłam do wiadomości, że mój mąż pojedzie beze mnie w moje ukochane góry.

Postanowiłam nawet się nie przejmować i być dobrą i wyrozumiałą żoną. Zresztą miałam nadzieję, że dostanie dodatkowe pieniądze. I tak od czterech już dni mój szanowny małżonek przebywał na rzeczonyj delegacji, aż tu dzisiaj rano zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę i usłyszałam w niej głos... Romana.

Trochę się zdziwiłam, że to on do mnie dzwoni, a nie Sebastian, ale jakoś nie zastanowiło mnie to głębiej.

- Słuchaj Natasza - huknął ze słuchawki bas Romana. - Poszukaj mi u was takiej dyskietki z czerwonym napisem i jakbyś mogła, to podrzuć mi ją w najbliższym wolnym terminie. Aby w miarę szybko, bo jest mi bardzo potrzebna.

- Jesteś pijany? - zainteresowałam się uprzejmie, bo jak niby miałam mu ją podrzucić w Bieszczady.

- Bardzo bym chciał - odpowiedział marzącym głosem - ale nie każdy, tak jak twój mąż, może mieć teraz urlop. Swoją drogą, to macie bardzo ładną kuzynkę. Sam bym chciał się taką zajmować.

- Urlop? - zapytałam ze ściśniętym gardłem - Kuzynka?

O czym ty mówisz?

-No, jak to o czym? Widziałem ostatnio Sebastiana na dworcu i wyjeżdżał właśnie z waszą kuzynką, by pokazać jej Bieszczady.

Nieźła lala.

- Zaraz, zaraz - powiedziałam wolno, bo w głowie miałam taki szum, jakby ktoś rąbnął mnie czymś ciężkim. - A gdzie ty teraz jesteś?

- No jak to gdzie? W pracy. A ty się dobrze czujesz?

Jesteś jakaś dziwna.

- Wspaniale - odpowiedziałam, czując, jak łyzy podchodzą mi do gardła. - Posłuchaj, mam do ciebie jeszcze jedno pytanie. Czy byłeś ostatnio na jakiejś delegacji?

- Wiesz co Natasza, z tobą rzeczywiście jest coś nie tak.

Idź może do lekarza albo odpocznij sobie trochę. Może powinnaś pojechać w te Bieszczady razem z Sebastianem?

- Posłuchaj Roman - powiedziałam, zgrzytając zębami, bo nagle moje uczucie rozpaczy przerodziło się we wściekłość. - Czy mógłbyś przy mnie już nigdy nie używać tego słowa na be? A teraz, o ile sobie przypominam, zadałam ci pytanie:

czy byłeś ostatnio na jakiejś delegacji? Błagam, odpowiedz mi jasno i krótko, chociaż obawiam się, że to pytanie wcale nie jest potrzebne.

- Nie byłem na żadnej delegacji - odpowiedział posłusznie i się rozłączył.

A więc to tak, mój mąż mnie zdradza. Jestem zdradzoną i porzuconą kobietą!

I to z kim - z kuzynką! Gdy tylko to pomyślałam, uświadomiłam sobie, że niema żadnej kuzynki i że to tylko wymówka, wymyślona naprędce dla Romana. Gdy tylko to do mnie dotarło, poczułam się nagle mała i bezbronna, co natychmiast spowodowało napłynięcie fali wściekłości, bo czego jak czego, ale bycia małą i bezbronną szczerze nie znoszę. Potem wyrzuciłam wszystkie rzeczy z szafy tego oślizgłego padalca mojego męża i wpakowałam je w walizki. Następnie po chwili zastanowienia wyrzuciłam je z walizek (szkoda ich dla takiego drania) i powrzucałam do czarnych worków na śmieci. Przez moment miałam ochotę wyrzucić je na podwórko, ale pomyślałam, że byłoby mu za łatwo, mógłby tam po prostu wejść i wszystko zabrać bez chociażby spojrzenia mi w oczy. Potem poczułam się potwornie zmęczona i zadzwoniłam do mojej mamy z prośbą, by zabrała Gosię z półkolonii i zostawiła ją na parę dni u siebie. A potem poszłam do pracy, obiecując sobie, że jak tylko wrócę, zaleję się w trupa. Ostatecznie musiałam się przygotować na bycie samotną kobietą.

15 lipca 2003

Biorąc pod uwagę moje zachowanie, jestem dziś skłonna uznać możliwość, że to jednak Ewa zerwała w raju jabłko. Oczywiście nie wierzę, aby musiała nadmiernie nim Adama kusić. Znając zamiłowanie mężczyzn do jedzenia, przypuszczam, że sam jej wyrwał rzeczony owoc z dłoni. Ale odbiegam od tematu. Otóż chcę powiedzieć, że kobiety są dosyć skłonne do czynów nieprzemyślanych oraz do rzucania różnorodnych oskarżeń. Z całą skruchą przyznaję, że do wniosków takich doszłam na swoim własnym przykładzie. Otóż po telefonie od Romana byłam przekonana, że mój mąż mnie zdradza. Z moją przyjaciółką Martą upiliśmy się jakimś tanim winem, bo w moim stanie ducha byłam przekonana, że muszę koniecznie zacząć oszczędzać, więc za nic na świecie nie chciałam się zgodzić na nic droższego. Skutki mojej oszczędności były fatalne i nazajutrz byliśmy ledwo żywe. Zadzwoniliśmy do pracy i powiedziałyśmy, że się czymś zatruliśmy (po części była to przecież prawda). Mateusz był widocznie w miłosiernym nastroju i dał nam wolne, po czym Marta poszła do siebie, a ja padłam ledwo żywa na kanapę, modląc się o szybkie przejście kaca lub rychłą śmierć. I traf chciał, że właśnie wtedy wrócił Sebastian. Jeśli wziąć pod uwagę dalszy przebieg naszej rozmowy, to może i dobrze, że nie miałam siły, żeby natychmiast wyrzucić go za drzwi. Gdy mój mąż wszedł do domu, miałam w sobie jedynie tyle samozaparcia, by podnieść na niego rozmazane spojrzenie i niewyraźnie wymamrotać:

- Wynoś się, ty podły gadzie.
- Co ty mówisz, kochanie? Chyba nie najlepiej się czujesz, co?
- Jak tam czuje się nasza kuzynka? - wysyczałam jadownicę. - Podobały się jej Bieszczady?
- Co takiego? - Sebastian zamrugał szybko oczami. - No tak! - zawołał i uderzył się dłonią w czoło, wybuchając śmiechem. - Pewnie Roman się z tobą skontaktował i powtórzył ci tę bajeczkę, którą mu opowiedziałem.
- I jeszcze bezczelnie się do tego przyznajesz? - zapytałam, zamykając jednocześnie oczy, bo przez moją głowę przebiegło właśnie stado słoni.
- No pewnie! - roześmiał się mój mąż. - Dlaczego miałbym nie przyznać się do znajomości z panią Alą?
- Tak, to może mi jeszcze powiesz, że to z nią byłeś na tej cholерnej delegacji - wymruczałam gniewnie, a do słoni w mojej głowie dołączyło ogromne stado antylop.
- Coś ci muszę teraz powiedzieć, kochanie - zaczął Sebastian z głupim uśmiechem. - Nie było żadnej delegacji.
- Bezczelność niektórych nie zna granic - wygłosiłam grobowym tonem do

sufitu.

- No tak, ale zaraz wszystko zrozumiesz i będziesz najszczęśliwszą osobą pod słońcem.

- Czy ty się w ogóle nie poczuwasz do winy? - zapytałam, unosząc się na łokciu, i natychmiast opadłam z powrotem na kanapę, bo słońce i antylopy w mojej głowie zamontowały karuzelę.

- No wiem, wiem, okłamałam cię z tą delegacją, ale nie mogłam inaczej.

Przecież w innym wypadku o wszystkim byś się dowiedziała i nici z całej niespodzianki.

- Jakiej niespodzianki? I kto to jest ta cała pani Ala? - Pani Ala jest prawnikiem. I pojechała ze mną, żeby załatwić wszystkie sprawy.

- Ja wiem, że się źle czuję, ale miałam wrażenie, że z moją głową jest wszystko w porządku, a tymczasem nie rozumiem, co mi chcesz powiedzieć.

Wiem natomiast, że pojechałeś sobie na urlop, o którym nic mi nie powiedziałeś, co jest zupełnie niezrozumiałe, i zabrałeś ze sobą jakąś obcą babę, o której też nic mi nie powiedziałeś, co jest wprawdzie bardziej zrozumiałe, ale zupełnie nie do przyjęcia. Jak mogłeś mnie tak podle zdradzić?

- A kto tu mówi o zdradzie? - Sebastian wytrzeszczył na mnie oczy. - Jak mogłaś coś takiego pomyśleć?

- A ty co byś pomyślał na moim miejscu? Co?

- No, w sumie masz rację, sytuacja była rzeczywiście dwuznaczna, ale to tylko pozory, bo tak naprawdę to pojechałem spełnić twoje marzenie. Spójrz tylko - mówiąc to, Sebastian wyjął z koperty plik zdjęć, na których był dom otoczony górami.

- Po co mi pokazujesz dom ciotki Gryzeldy? Chcesz, żebym tak jak ona zabrała się już z tego świata? Jeżeli tak, to bardzo jesteś subtelny, wiesz? - powie działałam, a w głębi ducha czułam, że nic a nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

-Kobietko, zamilcz wreszcie - powiedział stanowczo mój mąż. - Może wtedy będę mógł ci wszystko wyjaśnić. Ciotka Gryzelda zostawiła testament. Jak wiesz, mój ojciec miał nadzieję odziedziczyć po niej całą schedę, ale ciotka nigdy nie lubiła mojej matki, natomiast przepadała za tobą.

- Jak mogła za mną przepadać, skoro widziała mnie dwa razy w życiu? - zdziwiłam się.

- Nie wiem. To była szalona staruszka. I otóż ciotka w testamencie zapisała cały domek mnie, zamieszczając dopisek, że byłaby zadowolona, gdybym zechciał ci go podarować. I teraz, kochanie, to właśnie jest twój własny domek.

- To mój własny domek? - wydukałam mało inteligentnie.

- No tak. Pani Ala pomagała mi załatwiać wszystkie formalności spadkowe.

Musisz jeszcze wprawdzie podpisać parę dokumentów, ale to już naprawdę formalność.

Zaraz pojedziemy, by to załatwić. A teraz powiedz mi jeszcze, co to za worki stoją w przedpokoju?

- A, to - wymamrotałam speszona. - To ubrania odłożone dla biednych - dokończyłam w natchnieniu, a później, nie zważając na słonie i antylopy hulające w mojej głowie, zerwałam się, aby uścisnąć mojego męża.

- Czy wiesz, że cię kocham nad życie? - zapytałam.

- No, ja mam nadzieję - odpowiedział i zatonęliśmy w najśłodszym ze słodkich pocałunków.

A potem pojechaliśmy dokończyć załatwianie formalności. Podpisując te wszystkie papiery, poczułam jakiś cień niepokoju. Jakby ktoś lub coś mówiło mi, że właśnie w ten bardzo niewinny sposób zaczyna się nowy rozdział w moim życiu.

Szybko jednak otrząsnęłam się z tego wrażenia, bo jeżeli nawet byłoby prawdziwe, to przecież to, co nowe, nie musi być złe, a na pewno jest inne. A jak powszechnie wiadomo, receptą na szczęśliwe życie jest brak monotonii.

